

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126

51 2012



„Dobroczynność jest nie tylko ważna,
lecz przede wszystkim radosna.”

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Sił tych nam jeszcze wystarczy. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie, ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Oddziały i Koła naszego Związku oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im za ten wyraz troski.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności redakcyjnych oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (\pm 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii związków polsko-syberyjskich dawnych oraz nowszych, aż po współczesność, bo ciągle przecież mieliśmy i mamy związki z Syberią, gdzie od lat mieszkają nasi Rodacy. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok, Kamczatkę i Sachalin, to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617

Wiesław K r a w c z y ń s k i
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 51 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2012

Spis treści

- **Agata Markiewicz**
*Wygnańczy los czy samotność
w ojczyźnie – rodziny zesłańców
styczniowych wobec przygotowań
do wyjazdu na wygnanie* 3
- **Anna Maria Stogowska**
*Okretem na zesłanie.
Edmund Płoski na Sachalinie* 19
- **Damian Bienias**
*„Lodowy marsz” V Dywizji
Syberyjskiej oraz okoliczności
powrotu jej żołnierzy
do Polski na statku „Jarosław”* 37
- RELACJE Z ZESŁANIA**
- **Aleksandra Śmigielska**
„Jak wrócimy do Ojczyzny” 57
- KRONIKA**
- **Agnieszka Kaniewska**
*„Syberia – w poszukiwaniu
przeszłości i przyszłości”* 87
- **Regina Madej-Janiszek**
*Promocja książek na temat
duchownych zesłańców
syberyjskich w 1863 roku...* 89
- *Pożegnanie Sybiraczki* 92
- **Lala Rosenthal (Szczanowska)**
Śp. Urszula Paszkowska (Trella) 93
- REGAŁ Z KSIĄŻKAMI**
- **Wacław Sieroszewski.** *Zesłaniec –
etnograf – literat – polityk,
Wrocław 2011.*
(Tomasz Dudek) 95

Od redakcji

Tradycyjnie już zgodnie z przyjętą zasadą także i ten numer „Zesłańca” dzieli się na bloki tematyczne dotyczące kontaktów polsko-syberyjskich w XIX oraz XX stuleciu. Wszystkie one mają kluczowe znaczenie dla czytelniczego odbioru z racji wielorakich odniesień, które oplatają złożone dzieje Polaków za Uralem. Tak więc i w tym numerze znalazły się interesujące tematy polsko-syberyjskie. Pomieszczone teksty są poznawczo interesujące, mają bowiem charakter historyczno-kulturowy oraz wspomnieniowy o bogatej wielowątkowości odnoszącej się do różnych elementów zesłańczego bytowania. Myślę więc, że możemy i tym razem oczekiwać czytelniczego zainteresowania tymi zagadnieniami oraz ich użyteczności poznawczej przydatnej w pracy dydaktycznej wśród uczniów szkół średnich a także studentów historii i stosunków międzynarodowych.

Tematyka prezentowana w poszczególnych tekstach wpisuje się w trudną, a zarazem bardzo potrzebną ze względów społecznych i historycznych lekturę dotyczącą losu Polaków w syberyjskim „domu niewoli”, z odwołaniem się do dokumentacji faktograficznej, mieszczącej się rzecz można między „dawnymi a nowymi laty”. Przypomnieć tu wypada, że przez długie lata Polski Ludowej tematyka związków polsko-syberyjskich, a zwłaszcza zesłań i deportacji w okresie drugiej wojny światowej była skutecznie ograniczana przez cenzurę. Dodajmy, że artykuły publikowane na łamach „Zesłańca” poszerzają wiedzę z zakresu związków polsko-syberyjskich, rzucają bowiem nowe świa-

- Krystyna Orzechowska-Juzwenko,
*Dlaczego? – Wspomnienia
syberyjskie i inne*,
Wrocław 2011
(Franciszek M. Rosiński)

LISTY DO REDAKCJI

Na okładce: Pomnik Matki Sybiraczki
w Zielonej Górze (s. 1); strona tytułowa
folderu „Wrocławskiej Fundacji Edukacji
Europejskiej i Współpracy Międzynarodowej
FREYA” (s. 4).

**Zeszyt opublikowany dzięki dotacji
Rady Ochrony Pamięci
Walk i Męczeństwa**

Wydawca: Zarząd Główny
Związku Sybiraków,
ul. Mazowiecka 12
00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,
A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,
A. Kuczyński (red. nac.), S. Sikorski,
P. Zworski
Sekretarz redakcji: M.B. Kuczyńska

Wykonawca: Skład, druk i oprawa –
QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”
by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

97

99

to na tę rozległą problematykę. Tu zwracam uwagę na nowe wątki dotyczące np. V Syberyjskiej Dywizji czy zesańczego życia Edmunda Płoskiego na Sachalinie znajdujące się w artykułach publikowanych w tym numerze naszego pisma.

Odnotowuję też z przyjemnością zainteresowanie autorów podejmujących problematykę wschodnioznawczą możliwością publikowania swoich opracowań na łamach „Zesłańca”. Już choćby z powyższego powodu można powiedzieć, że mimo trudności finansowych jakie ciągle doskwierają redakcji istnieje nadzieja na przetrwanie naszego pisma, jedyne w tej chwili periodyku ukazującego i popularyzującego dzieje Polaków na Syberii, nie tylko w aspekcie martyrologicznym ale i ich wkładu w jej zagospodarowywanie oraz rozwój. Dostrzegają to i odnotowują z uznaniem nasi Czytelnicy w listach do redakcji i to zarówno z kraju jak też ze Wschodu oraz Zachodu, w tym ostatnim przypadku byli zesłańcy z okresu drugiej wojny światowej, których los rozrzucił potem po świecie. Myślę, że zagadnienie pamięci o dziejach Polaków za Uralem stanowi współcześnie – gdy ogranicza się w programach szkolnych nauczanie historii – ważny element refleksji historycznej i społecznej oraz pojmowania tych dziejów jako ważnego doświadczenia w sferze narodowego patriotyzmu.

Kończąc mam nadzieję, że lektura tego numeru naszego kwartalnika przyjęta będzie z zainteresowaniem przez młodszych i starszych a każdy z nich znajdzie w nim ciekawe wiadomości. Dziękuję też wszystkim darczyńcom za finansowe wspieranie „Zesłańca” wydawaniu, którego towarzyszy nadzieja, że jego tematyka jeszcze bardziej przybliży Czytelnikom syberyjskie dzieje naszych Rodaków.

**Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków**

AGATA MARKIEWICZ

**WYGNAŃCZY LOS CZY SAMOTNOŚĆ W OJCZYŹNIE –
RODZINY ZESŁAŃCÓW STYCZNIOWYCH WOBEC
PRZYGOTOWAŃ DO WYJAZDU NA WYGNANIE**

Bohaterka opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza pt. „Noc czerwcową”, hrabina Ewelina ma wyruszyć na zesłanie w ślad za swoim mężem. Nieorientowana w realiach polskich francuska bona prowadzi z innymi domownikami następującą rozmowę:

- [...] Niech pan pomyśli, w jaką straszną podróż musi wybierać się Ewelina!
- Dlaczego musi? Chce.
- Niby pan nie wie.
- Rzeczywiście musi. Męża pognali na Sybir, kochające żony jadą za mężami.
- A dlaczego nie mogą zostać w domu?
- Pani jako cudzoziemka na pewno nie bardzo rozumie. Jest poniekąd obowiązkiem żony być przy mężu. Jedzie za mężem. „Że cię nie opuszczę aż do śmierci” – tak przysięgała
- Śmieszna formuła
- Mówiliśmy o tym, panno Florentyno. Ewelina jest nie tylko katoliczką, ale jeszcze Polką. Nie wyobrażam sobie, jaka byłaby jej sytuacja towarzyska, gdyby nie ruszyła śladem pana Piotra”¹.

Ostatecznie wspomniana powyżej pani Ewelina nie pojechała za mężem. W dodatku uległa porywowi serca i wyszła ponownie za mąż za rosyjskiego porucznika. Przypłaciła to samotnością i ostracyzmem towarzyskim. Wspomniane opowiadanie jest prawdopodobnie zbeletryzowaną historią małżeństwa Piotra Moszyńskiego skazanego na zesłanie za kontakty z Dekabrystami². Iwaszkiewicz powielił w tym dialogu pewien funkcjonujący stereotyp dotyczący powinności żon, których mężowie zostali zesłani na wygnanie. Jednak analiza źródeł wcale nie potwierdza, że tego typu myślenie było powszechne przy podejmowaniu decyzji w rodzinach.

Pomysł towarzyszenia mężom jadącym na zesłanie narodził się wśród żon rosyjskich Dekabrystów. To właśnie wtedy jednaście kobiet opuściło rodzinne domy wraz ze skazanymi na wygnanie mężami, czym wzbudziły powszechny podziw i szacunek³. Wkrótce, podobne decyzje zaczęły podejmować żony polskich zesłańców

¹ J. Iwaszkiewicz, *Noc Czerwcową*, Warszawa 2008, s. 5-6.

² A. Iwański, *Pamiętnik 1832-1876*, Warszawa 1968, s. 37; por. T. Bobrowski, *Pamiętnik mojego życia*, Warszawa 1979, t. 2, s. 424.

³ M. Wołkońska, *Pamiętniki*, Kraków 1974.

Spiski jakie tworzyły się w okresie międzypowstaniowym powodowały nowe fale zesłańców. Wraz ze skazanymi podążały ich żony. Teresa Bułhakowa, Ludwika Leśniewiczowa, Antonilla Roszkowska, Łucja Rucińska – to te kobiety, które stworzyły na zesłaniu otwarte dla innych polskie domy i zapisały się we wdzięcznej pamięci zesłańców⁴. Ich decyzje o wyjeździe nie były łatwe, gdyż prawo zabraniało im zabierania dzieci. Często decydowały się zatem na wyjazd dopiero po kilku latach rozłąki z mężem, kiedy dzieci były na tyle odchowane, że można było je pozostawić pod opieką krewnych⁵. Może właśnie dlatego sytuacje, kiedy żony jechały z mężami na zesłanie należały wtedy raczej do rzadkości. W latach 1824-1861 wśród osób przybyłych na Syberię, skazani stanowili 92,4%, a towarzyszące im osoby – 7,6%⁶.

Wkrótce nadeszły czasy, że kolejne rzesze żon, sióstr, matek musiały stanąć przed podobnym dylematem – jechać z zesłanym czy pozostać w kraju. Doświadczenia ich poprzedniczek mogły mieć niewątpliwie wpływ na podejmowane przez nie decyzje.

Czynniki, które rozważano przy podejmowaniu decyzji

Przy rozważaniu decyzji o wyjeździe na zesłanie z bliską osobą należało uwzględnić wiele czynników. Od tego, który z nich był priorytetem często zależał ostateczny wybór dotyczący przyszłości całej rodziny.

Pierwszą ważną okolicznością, jaka mogła pojawić się w trakcie procesu podejmowania decyzji odnośnie, wyjazdu rodziny, była postawa urzędników carskich. Zdarzały się bowiem z ich strony próby nacisków na skazańców. Taką presję usiłowano wywierać na przetrzymywanego w lubelskim więzieniu Antoniego Filipowskiego. Zaraz po odczytaniu wyroku pojawił się u niego w celi adiutant Aleksandra Chruszczowa, wojennego naczelnika okręgu lubelskiego, z sugestią, że powinien na zesłanie zabrać ze sobą żonę i córkę. Ich podróż miały się odbyć na koszt państwa. Filipowski nie uległ jednak naciskom i zdecydował, że uda się na Sybir bez rodziny⁷.

Jednak większość rodzin podejmowała takie decyzje samodzielnie. Jednym z pierwszych czynników, który rozważano była sytuacja prawna rodzin na zesłaniu. Jak to zwykle w rosyjskim prawie bywało nie była ona jednoznaczna. Od czasów Piotra I prawo pozostawiało żonom wybór, czy chcą podążać za skazanymi na Sybir, czy może chcą skorzystać z prawa unieważnienia małżeństwa (w takim przypadku respektowała je nawet cerkiew). Ukaz z 1821 roku uściślił to prawo, precyzując, że żony mogły towarzyszyć mężom tylko wtedy, gdy ci nie byli skazani na tzw. śmierć cywilną, czyli pozbawienie wszelkich praw. Pozostałe zasady odnoszące się do zesłań osób towarzyszących pojawiały się w przepisach różnego szczebla. Dotyczyły one zakazu zabierania dzieci,

⁴ W. Śliwowska, *Polskie zesłanki na Syberii w dobie międzypowstaniowej*, [w:] „Miscelenea Historio-Archivistica”, Warszawa 1996, s. 175-194.

⁵ Ibidem.

⁶ S. Maksimow, podają za E. Kaczyńska, *Syberia największe więzienie świata*, Warszawa 1991, s. 88.

⁷ A. Filipowski, *Pamiętnik*, [w:] *Nadziei Promienie trzy pamiętniki z XIX w.*, opr. J. Pocięcha Kraków 1978, s. 87; por. M. Dederko, *Listy z Sybiru zesłańców chełmskich z 1863*, „Rocznik Chełmski”, 1999, s. 305.

ograniczenia wolności w poruszaniu się osób towarzyszących, rozciągania na nie nadzoru politycznego. Wszystkie te przepisy były jednak bardzo nieściśle i niejednoznaczne. Czasami udawało się je ominąć, w innych zaś przypadkach mnożono dodatkowe trudności. Póki prawo to dotyczyło przestępców kryminalnych i ich rodzin, fakt ten nie zwracał specjalnie nikomu uwagi. Dopiero żony i narzeczone Dekabrystów rozpoczęły nowy etap w historii zsyłek na Syberię. Wówczas bowiem takiemu prawu zaczęły podlegać również kobiety z arystokracji. Część z obowiązujących wtedy przepisów utrzymano do czasów powstania styczniowego. Wiadomo było, że rodzina decydująca się na wyjazd ze skazanym podlegać będzie tym samym przepisom prawnym co on. Czyli będą trzymani pod strażą, będą musieli ubiegać się o zgodę na wyjazd czy zmianę miejsca zamieszkania (nawet w momencie śmierci skazanego małżonka). Złagodzone jednak stanowczo przepisy dotyczące zabierania dzieci. Nie egzekwowano ich już przy zesłaniach postyczniowych⁸.

Kolejnym czynnikiem jaki rozważano były warunki zesłania. Klimat i sytuacja cywilizacyjna danych terenów miały mieć przecież ogromny wpływ na życie całej rodziny. Łatwiej zatem było się zdecydować na wyjazd, gdy miejscem pobytu miała być część europejska Rosji niż tereny położone za Uralem. Ponieważ niektóre miejsca zsyłek znane były już poprzednim pokoleniom zesłańców czasami udawało się wcześniej zebrać jakieś wiadomości na temat warunków panujących w miejscu przeznaczenia. Ojciec Władysława Zahorskiego został skazany na wyjazd do Orenburga. „Ci co znali to miejsce radzili ojcu aby starał się o zmianę ponieważ klimat Orenburga mógł się stać zabójczym dla żony i dzieci”⁹. Podjął on zatem starania aby zamieść Orenburg na jakiś zdrowszy region. Dzięki znajomościom w Petersburgu dostał ostatecznie przydział do Ufy¹⁰.

Nie zawsze takie starania jednak odnosiły skutek. Ludwik Czetwertyński cierpiał na gruźlicę. Został skazany na wyjazd do Penzy. Istniało niebezpieczeństwo, że w tamtym klimacie choroba się rozwinie. Oboje z żoną, z pomocą rodziny, podjęli starania aby zesłano ich gdzieś w południowe regiony państwa rosyjskiego. Generał Bezak, który był władny podjąć taką decyzję, zarządził konsylium lekarskie. Lekarze potwierdzili, że choroba jest zaawansowana i wydawało się, że jest to wystarczające uzasadnienie na zmianę miejsca zesłania. Generał Bezak stwierdził jednak, że w takim razie to nie ma znaczenia w jakim miejscu skazany będzie umierał i podtrzymał wcześniejszą decyzję. Ludwik wraz z żoną Marią pojechali więc do Penzy.

W kilka miesięcy później skończył nieszczęśliwy w Penzie a pielęgnująca go żona na przeziębienie przechodząc przez nieopalany stale korytarz, dostała anginy i umarła na dwa dni przed nim o czym nawet przed śmiercią mu nie doniesiono¹¹.

Podejmując decyzję uwzględniano zapewne geograficzne i klimatyczne warunki oraz czynniki etnograficzne danego obszaru Syberii. Teoretycznie pod-

⁸ E. Kaczyńska, op. cit., s. 92-93.

⁹ W. Zahorski, *Moje wspomnienia*, rkps., BN III10455.

¹⁰ Ibidem.

¹¹ W. Czetwertyński, *Na wozie i pod wozem (1837-1917). Wspomnienia z lat ubiegłych wnukom i wnuczkom opowiedziane*, Poznań 1939, s. 156.

stawowy zasób takich informacji zdobywali uczniowie w szkołach. Korzystano z podręczników do geografii Rosji i geografii powszechnej, oba autorstwa Arseniewa. Na kilku stronach autor przedstawił podział administracyjny Syberii, charakterystykę klimatu, opisy miejscowości i ich mieszkańców. Uczniowie mogli zaznajomić się z nazwami takich miast jak Tobolsk, Tomsk, Krasnojarsk, Irkuck¹². Polska młodzież nie była szczególnie zainteresowana wiadomościami z zakresu geografii i historii Imperium Rosyjskiego. Z tego względu należało założyć, że kiedy przyszło dorosłym już absolwentom szkół podejmować decyzję o wyjeździe, wiadomości szkolne, które pamiętali były mocno ograniczone. Istniały jednak też pozapodręcznikowe źródła wiedzy o geografii i warunkach syberyjskich. Przed powstaniem stycznim ukazało się drukiem kilka pozycji autorstwa byłych zesłańców, w których czytelnik mógł znaleźć wiele ciekawych informacji geograficznych¹³. Powracający po 1858 roku Sybiracy, którzy osiedlali się nie tylko w Warszawie, ale i w wielu małych miejscowościach byli zapewne także ogromnym źródłem wiedzy o tamtejszych terenach. Pomimo wszystko znajomość geografii i warunków Syberii była ciągle dosyć ograniczona. Zwłaszcza jej powierzchnia była po prostu niewyobrażalna dla Polaków¹⁴. Do wyjeżdżającej do Ufy, rodziny Zahorskich przyszedł jakiś staruszek z paczką dla syna zesłańca, który odbywał karę nad Amurem. Trudno mu było zrozumieć, że ta rodzina może mieć problem z przekazaniem jej adresatowi, ze względu na odległość, jaka dzieli Ufę od rzeki Amur¹⁵. Zresztą podobny brak świadomości odnośnie odległości syberyjskich wykazywał Józef Ignacy Kraszewski w swoich listach do zesłanego brata Lucjana¹⁶. Nikła była też świadomość różnic warunków socjalnych panujących w miejscowościach Rosji europejskiej i różnych częściach Syberii. Brak czasu i towarzyszące podejmowaniu decyzji emocje raczej nie pozwalały na uzupełnienie informacji poprzez doczytywanie jakichś pozycji. Zwykle bazowano na krążących plotkach i dziwacznych opowieściach, takich jak na przykład te o Ufie, miejscu skądinąd zupełnie przyjaznym zesłańcom.

W owym czasie niewiele wiedziano o Ufie, opowiadano zaś niestworzone rzeczy, że pół roku panuje tam noc i zima, że ludzie są dzicy, odziewają się w skóry zwierzęce, że na ulicach można się spotkać z niedźwiedziem i wilkami że trzeba zabrać tam zapasy wszelkich cywilizowanych rzeczy – ubrań, herbaty cukru, świec parafinowych, bo tam nic się takiego nie dostanie¹⁷.

¹² J. Wołczuk, *Wiedza o Syberii w szkołach Królestwa Polskiego okresu między-powstaniowego*, [w:] *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, red. A. Kuczyński, Wrocław 1998.

¹³ Na przykład: [J. Kobyłecki], *Wiadomości o Syberii i podróże w niej odbyte w latach 1831, 1832, 1833, 1834 przez J.K.*, Warszawa 1837. [E. Felińska], *Wspomnienia podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i w Saratowie*, spisane przez Ewę Felińską, t. 1-3, Wilno 1850, wyd. II poszerzone i zmienione 1852-1853; R. Piotrowski, *Pamiętniki z pobytu na Syberii*, t. I-III, Poznań 1860-1861.

¹⁴ Powierzchnia Syberii wynosi 10 milionów kilometrów kwadratowych. Jest zatem o 1/3 większa od terytorium Australii, większa niż terytorium USA – A. Kuczyński, *Syberyjskie szlaki*, Wrocław 1972, s. 90.

¹⁵ W. Zahorski, op. cit.

¹⁶ J.I. Kraszewski, *Listy do rodziny. Cz. 2, Na emigracji 1863-1886*, Wrocław 1993, s. 32.

¹⁷ W. Zahorski, op. cit.

Ten chaos informacyjny, przemieszany z plotkami, powodował, że trudno było na ich podstawie podjąć jakąś racjonalną decyzję.

Czynnikiem, który mógł ułatwić rodzinom zesłańców postyczeńowych decyzję o wyjeździe była natomiast zmiana w warunkach odbywania podróży. Od 1862r. prawie wszyscy zesłańcy z Królestwa Polskiego i zachodnich guberni Cesarstwa Rosyjskiego przybywali do Moskwy koleją. Dopiero stąd zaczynał się prawdziwy marsz etapami. Być może, że świadomość poprawy warunków podróży wpływała na ostateczne decyzje niektórych rodzin¹⁸.

Ci rodzice, którzy rozważali wyjazd z dziećmi, poza klimatem musieli wziąć pod uwagę jeszcze jeden fakt, mianowicie możliwość ich wykształcenia. Zaplanowanie jakiejś sensownej drogi kształcenia było prawie niemożliwe. Poziom szkół na Syberii był bardzo niski. Z drugiej zaś strony, duża liczba ludzi wykształconych pomiędzy zesłańcami, mogła rodzić nadzieję na porządną edukację domową. Wszystko jednak miało zależeć, od szczęśliwego przypadku czyli od tego z kim przyjdzie dzielić zesłańczy los¹⁹.

Niezwykle istotną kwestią przy podejmowaniu decyzji, była także kwestia pozostawianego w kraju majątku. Żony warszawskich kupców – Salingera lub Krupeckiego – musiały czuwać nad prowadzonymi wcześniej przez mężów interesami²⁰. W rodzinach ziemiańskich sprawy majątkowe były również niezwykle istotne. Pozostawienie majątku w rękach obcej osoby było często ryzykowne i mogło skończyć się zadłużeniem lub jego utratą. Wspomnienia z tamtego okresu pełne są opisów niesolidnych rządców, którzy doprowadzili do ruiny swoich przebywających na zesłaniu chlebobawców. Ponadto majątki brane były często w sekwestr i tylko pozostając w kraju można było jeszcze próbować o nie walczyć²¹.

Na decyzje wyjazdów całymi rodzinami wpływ miały także różne inne czynniki, związane zwykle z indywidualnymi sytuacjami życiowymi. Doktor Józef Łagowski ożenił się z Rosjanką. Kiedy został skazany na zesłanie nie chciał pozostawić żony w obcym kraju, bez krewnych i rodziny, zdecydował się więc zabrać ją i dzieci ze sobą²².

Proces podejmowania decyzji

Sam proces podejmowania decyzji o wyjeździe, bądź pozostaniu w domu był trudny i złożony. Mógł prowadzić ponadto do rodzinnych sporów i nieporozumień.

Trudno powiedzieć, czy funkcjonujący już po poprzednich zesłaniach, a przytoczony wyżej przez Iwaszkiewicza obraz powinności Polki katolickiej, czy zwykła ludzka chęć nie rozstawania się z bliskim mężczyzną powodowały, że kobiety decydowały się na wyjazd w sposób dosyć spontaniczny. Konstancja

¹⁸ E. Kaczyńska, op. cit., s. 88.

¹⁹ B. Jędrzychowska, *Polscy zesłańcy na Syberii (1830-1883). Działalność pedagogiczna, oświatowa, kulturalna*, Wrocław 2000, s. 37-77.

²⁰ L. Krupecki, *Listy zesłańca na Sybir 1863-65*, opr. E i A Jakaccy, Tarnów 1998, s.10.

²¹ J. Prendowska, *Moje Wspomnienia*, Kraków 1962, s. 324, B. Jędrzychowska, *Wszystkim obcy i cudzy. Feliks Zienkiewicz i jego listy z Syberii 1864-1881*, Wrocław 2005, s. 104.

²² Ibidem, s. 178.

z Kraszewskich Łozińska w liście do ojca napisała o swojej decyzji wyjazdu z mężem: „...Inaczej być nie może, samego Bolesława zostawić nie mogę”²³. Jadwiga Łuszczewska, późniejsza pisarka Deotyma tak przedstawiała motywy swojej decyzji dotyczącej towarzyszenia ojcu w zesłaniu:

Jak tylko dowiedzieliśmy się, że mój ojciec ma być wywieziony, w tejsze chwili zajaśniała mi myśl jechania z nim razem. Niecierpliwość mnie ogarnia, kiedy ludzie nazywają ten krok poświęceniem. To nie było żadne poświęcenie, to było dogodzenie najgwałtowniejszej potrzebie serca, to było uchwycenie się jedynej pociechy, jaka mi w tym nieszczęściu zostawała. Zresztą czyż to nie był najprostszy obowiązek?²⁴

Te kobiece decyzje często napotykały na opór mężczyzn. W liście do żony Władysław Padlewski pisał:

Gdybym został zesłany – Jechać ze mną prócz kilku stacji do Kozielca lub Czer-nigowa, dalej nie tylko nie chcę, ale Ci zabraniam prawem męża i przyjaciela²⁵.

Padlewscy byli już ludźmi starszymi, ale podobne stanowisko prezentował także Jarosław Dąbrowski pisząc do swojej młodziutkiej żony:

... pozwalam sobie zrobić przypuszczenie, iż Tobie kochana Pelciu, pozwolą przyjechać do Niżnego, aby pożegnać się przed moim wyjazdem do Syberii. Z jakąż rozkoszą uściskałbym Ciebie, jakże wiele mielibyśmy do pogadania ze sobą, rozłączając się znowu na długo, bo nigdy nie zgodzę się, abyś jechała ze mną. Zresztą mówiliśmy już kiedyś o tym i jeśli się zobaczymy to pomówimy o tym obszerniej²⁶.

Kobiety musiały czasami polemizować z takimi decyzjami gdyż echa tego typu dyskusji widoczne są w niektórych źródłach. Niekiedy udawało im się spowodować zmianę decyzji. Feliks Zienkowicz tak pisał w jednym z listów o Piotrze Czekotowskim i jego młodej żonie.

Ten nie miał siły odrzucić jej poświęcenia, lecz obecnie w każdej chwili drży na myśl, że choroba lub śmierć jego może ją zostawić w zupełnym osamotnieniu wśród stepów Sybiru o własnych słabych siłach²⁷.

Opór mężczyzn wynikał zapewne z lepszego rozeznania warunków panujących na Syberii. Rozdarci zatem byli pomiędzy poczuciem odpowiedzialności za rodzinę, a chęcią dzielenia z nią zesłańczego losu, co wyrzucali sobie jako egoizm.²⁸ Ciekawe jest zdanie jakie wyraził w tej kwestii August Iwański, który wyjeżdżając na Syberię był jeszcze kawalerem:

W czasie rozpraw w więzieniu byłem gorącym przeciwnikiem wciągania rodzin i żon do warunków zgoła nieznanymi, na jakie wędrówka na Syberię nara-

²³ K. z Kraszewskich Łozińska, rkps. BJ 6940 III.

²⁴ J. Łuszczewska, *Pamiętniki*, Warszawa 1968, s. 122.

²⁵ W. Padlewski, *Listy przedzgonne*, oprac. S. Kieniewicz, „Regiony”, 1977, nr 1, s. 5-42.

²⁶ J. Dąbrowski, *Listy*, opr. R. Gerber, Warszawa 1960, s. 52.

²⁷ B. Jędrzychowska, *Wszystkim obcy...*, s. 178.

²⁸ Takie rozterki targały w więzieniu Janem Jeziorańskim, zob. J. Jarzębowski, *Jan Jeziorański. Zapomniany bohater 1863 roku*, Londyn 1874, s. 148.

żała. Pomijając niewygody, najważniejszym było, że jeżeli na nieuniknione w stosunkach z władzami przykrości, my mężczyźni musieliśmy być z góry przygotowani, to widok niniejszej zniewagi, żonie czy siostrze uczyniony, mógł z równowagi najspokojniejszego i ściągnąć niepożądane dla rodziny następstwa, a były niestety fakty, które słuszność moim poglądom przyznały²⁹.

U kobiet za to, świadomość syberyjskiej rzeczywistości była prawdopodobnie bliższa opinii, do której po latach przyznała się Deotyma:

Byliśmy przekonane, że ojciec zostanie zesłany do jakiegoś większego miasta, na drodze kolejowej [...]. Było to złudzenie. Ach jeszcze nie miałyśmy pojęcia ani owych dróg, ani owych osiedli! Ale w każdym razie było to szczęśliwe złudzenie, kiedy nam na długo dodało odwagi³⁰.

Wśród rodzin, podejmujących decyzje o wspólnym życiu na Syberii, były i takie, które czyniły to z pełną świadomością czekającego ich losu. Jechali bowiem tam po raz kolejny. W takiej sytuacji było małżeństwo Bułhaków. Z toczącej się między nimi korespondencji podczas pobytu Bułhaka w Cytadeli, wyraźnie wynika, że oboje rozważali możliwość wspólnego wyjazdu. Kiedy jednak w początku stycznia kwestia zesłania Tomasza Bułhaka została już przesadzona, mąż zajął następujące stanowisko:

Nie pozostaje mi nic innego jak pożegnać wszystkich krewnych i znajomych a Ciebie Moja Droga zawiadomić, że się nie zgadzam na Twój wyjazd razem ze mną oraz stanowczo zabraniam Ci robić przygotowania w tej porze. Znam bowiem słabe Twe zdrowie i chorobę, której podlegasz lepiej przeto będzie gdy zostaniesz do cieplejszego czasu. Przyjedziesz do mnie na samo miejsce przeznaczenia jak i w 1836 roku³¹.

Były także takie rodziny, w których to właśnie żony obawiały się wyjazdów. Wówczas także prowadzono gorące, rodzinne dyskusje. Echa jednej z nich pobrzmiwają w pamiętnikach Jakuba Gieysztor. Jakub i Tekla Gieysztorowie mieli pięciu synów i jedną córkę. Jeden z nich, czteroletni Witold zmarł podczas pobytu ojca w wileńskim więzieniu. W takiej to niełatwej sytuacji rodzina miała podjąć decyzję o swoich dalszych losach. Początkowo zdecydowali, że wszyscy dojadą do ojca podczas jego drogi, najprawdopodobniej do Petersburga. Jakub wyjeżdżając z Wilna żegnał się z rodziną myśląc, że wkrótce ich zobaczy. Listy, które zaczęły do niego napływać podczas drogi wskazywały, że żona nie jest przekonana co do słuszności decyzji. Wielu ludzi odradzało jej tę podróż. Przekonywano ją, że dzieci na Syberii zmarują się, obiecywano pomoc w ich wychowywaniu na miejscu. J. Gieysztor pisał:

Ja byłem zawsze zdania, że nie warto rozdzielać się, że w kraju znajdzie się ktoś życzliwy, co resztki, jeśli się uda ocali, poprowadzi interesa żony, a że łątwiej będę znosić razem i dzieci wychować przy sobie³².

²⁹ A. Iwański, op. cit., s. 187.

³⁰ J. Łuszczewska, op. cit. s. 122.

³¹ Listy i papiery Bułhaka, rkps BN, III 6555, k. 32 v; por W. Śliwowska, *Zesłańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*, Warszawa 1998, s. 87.

³² J. Gieysztor, *Pamiętniki z lat 1857-1865 r.*, Warszawa 1960, s. 222.

Trwał cały czas na tym stanowisku, odrzucając pomysł, jaki się wkrótce pojawił aby rozdzielić synów i rozesłać ich po rodzinie. W drogę zaś miałyby wtedy wyruszyć tylko żona z córeczką. Ostatecznie pani Tekla podjęła decyzję pozostania w majątku. Pojechała do Petersburga zakomunikować ten fakt mężowi i pożegnać się z nim.

Gdy więc żona moja przybyła z synami, bez Leokasi i z postanowieniem niejchania, mocno to na mnie podziałało. Był to pierwszy straszny cios³³.

Żał był tak wielki, że relacje między małżonkami już nigdy nie były takie jak dawniej³⁴. Podobny spór zaistniał w rodzinie Antoniego Jeleńskiego. Żona nie chciała opuszczać dzieci, ale mąż wymógł na niej wyjazd³⁵. Była też grupa kobiet, dla których wyjazd wiązał się z podjęciem dodatkowej decyzji dotyczącej ślubu. Zestanemu miała prawo towarzyszyć tylko rodzina a narzeczone nią jeszcze nie były. Należało zatem przyspieszyć planowane ceremonie. Odbywały się one raczej w niewesołej atmosferze, nawet jeśli udało się je urządzić na wolności, tak jak było w przypadku ślubu Tadeusza Korzona z Jadwigą Kulwicz czy Ludwika Czetwertyńskiego z Marią Zagórską.

Smutny to był ślub, niepewność tego co może nastąpić przynębiająco na wszystkich działała i mroziła radosne uczucia³⁶.

Jednak takie ceremonie na wolności były raczej rzadkością, najczęściej odbywały się one w więzieniu, w obecności tylko dwóch świadków. Anna Radlińska czekała bardzo długo na pozwolenie na ślub z doktorem Felicjanem Jakimowiczem. Nadeszło ono w ostatniej chwili, tak, że narzeczeni ledwo zdążyli pobrać się przed wyruszeniem grupy skazanych w podróż. Ślub ich odbył się o północy, nie zezwolono wejść do Twierdzy Kijowskiej nikomu z rodziny, wobec tego świadkami byli towarzysze z celi pana młodego³⁷. Taka ceremonia odbiegała na pewno od pragnień i wyobrażeń młodych kobiet³⁸.

Nie wszystkie więzienne śluby były dowodem wielkiej miłości i oddania dziewcząt. Dla niektórych panien dramatyczne położenie tyłu młodych mężczyzn było pretekstem do znalezienia męża. August Iwański dostawał w więzieniu tajemnicze listy, potem paczki wreszcie dostał zdjęcie nadawczyni tych przesyłek. Okazało się, że była to panna, poznana dwa lata wcześniej, która wedle jego opinii, była mało atrakcyjna i nudna. Podarł zdjęcie i w ten sposób przeciął niechcianą znajomość. Jak jednak zaznaczył, nie wszyscy okazali tyle zdrowego rozsądku i „przez miękkość serca padli ofiarą egzaltacji patriotycznej, czy też wprost popędu do hymenu zrozpaczonych starych panien”³⁹.

³³ Ibidem, s. 223.

³⁴ Por. W Śliwowska, *Syberia w życiu i pamięci Gieysztorów – zesłańców postyczniowych, Wilno – Sybir – Wiatka – Warszawa*, Warszawa 2000.

³⁵ J. Gieysztor, op. cit., s. 226.

³⁶ W. Czetwertyński, op. cit., s. 156.

³⁷ A. Iwański; op. cit., s.183; por. M. Bruchnalska, *Ciche bohaterki. Udział kobiet w Powstaniu Styczniowym*, Miejsce Piastowe 1932, s. 395.

³⁸ Podobne śluby wzięły Hipolita z Sobańskich Sobańska, która wyszła za kuzyna w więzieniu Kamienieckim, Maria Niemierzycka z Tadeuszem hr Steckim w więzieniu w Żytomierzu, Wiktoria Władczyńska z Ludwikiem Pieńkowskim w Grodnie, Kazimiera Bulewska z doktorem Piotrem Czekotowskim w więzieniu św. Jakuba w Wilnie i Ewa Huszczówna z Walerym Kulikowskim w Libawie – M. Bruchnalska, op. cit., s. 396.

³⁹ A. Iwański, op. cit. s 180-181; por. W Czernik, *Pamiętniki Weterana 1864*, Wilno 1914, s. 22.

Przygotowania do wyjazdu

Rodziny, które podjęły decyzję o wspólnym wyjeździe musiały rozpocząć solidne i niełatwe przygotowania. Najpierw należało załatwić zezwolenie na wyjazd. Czynność ta okupiona była zwykle wielkim stresem i upokorzeniami. Sabina z Gembickich Trębicka wspominała, że aby dostać pozwolenie na wyjazd za ojcem pojechały z matką na audiencję do Nikołaja Murawiowa, urzędującego w Kownie. Musiały pamiętać, aby nie pojawić się tam w żałobie narodowej, ponieważ wówczas niczego by nie uzyskały.

Po długim i denerwującym czekaniu w sali przyjęć dały się słyszeć kroki z przyległego salonu.[...] Zdawało mi się, że stoję na rozżarzonych węglach, cała sala i Murawiov zaczęły mi wirować w oczach. Nareszcie padło jedno słowo – Czego? Wtedy matka oddała prośbę, której nie tknął, lecz skinął na adiutanta. Oddalili się obaj a po jakimś czasie adiutant wrócił i zawiadomił, że mamy na drugi dzień stawić się w kancelarii pułkownika Żrebcowa, tam otrzymamy odpowiedź⁴⁰.

Kobiety dostały pozwolenie, ale musiały podpisać dokument, że wyjeżdżają bezpowrotnie. Osobom bardziej zapobiegliwym udawało się ominąć ten przymus. Wacław Lasocki, również planował swój wyjazd z żoną. Przebywał on w żytomierskim więzieniu wraz z innymi skazańcami, którzy planowali wyjazdy rodzinne, z Julianem Morzyckim i Józefem Łagowskim a także z byłym, doświadczonym Sybirakiem, Michałem Gruszeckim. Mężczyźni, wymieniając się doświadczeniami, uradzili, że żony muszą załatwić sobie specjalne paszporty. Dokumenty powinny obowiązywać na terenie całego cesarstwa, mają zawierać prawo wjazdu do stolic z jednoczesną adnotacją, że kobiety towarzyszą mężom, idącym etapem na Sybir. Tak sporządzony dokument umożliwiałby im widywanie się z mężami, ale gdyby podróż okazała się zbyt ciężka, w każdej chwili mogłyby wrócić do kraju bez specjalnych formalności. Należy zaznaczyć, że tak skonstruowane paszporty nie istniały wśród rosyjskich dokumentów urzędowych, ale jak napisał Lasocki – „zawdzięczaliśmy je uprzejmości życzliwych”⁴¹.

Zesłańcy, którzy mieli pozwolenie na własny transport starali się zapewnić sobie jak najwygodniejszy pojazd.

By nie mieć w podróży kłopotów z naprawą wozów, uprosiliśmy wuja mojej żony, Michała Schabickiego, niedawno uwolnionego z więzienia w Owrczu, aby u siebie w majątku kazał zrobić na urząd tarantas (zastosowany do złych dróg Rosji i Syberii) na drągach, z wielką ilością waliz i miejsc na pakunki. Do powozu tego ofiarowała mojej żonie najukochańsza jej matka parę silnych koni cugowych. Do tego miałem moją budkę jednokonną, którą miałem prawo jechać na mocy świadectwa lekarskiego⁴².

W podobne powozy zaopatrzyły się przed wyjazdem pozostałe rodziny wyruszające z Żytomierza. Z kolei inni gromadzili po prostu zapasy – cukier,

⁴⁰ S. z Gembickich Trębicka, *Wspomnienia Sabiny z Gembickich Trębickiej z podróży na wygnanie w roku 1863/1864 do Jadrynia w guberni kazańskiej*, [w:] *Na nieznanne losy. Między Ołońcem a Jadryniem. Dwa pamiętniki z zesłania po powstaniu styczniowym*, opr. A. Brus, Warszawa 1999, s. 298.

⁴¹ W. Lasocki, *Wspomnienia z mojego życia*, Kraków 1933, 1934, t. 2, s. 19.

⁴² Ibidem s. 20.

herbatę czekoladę. Często produkty te znosili krewni i znajomi próbując w ten sposób wspomóc wyjeżdżającą rodzinę. We wdzięcznej pamięci Jadwigi Ostromięckiej zapisała się Eliza Orzeszkowa, która obdarowała jadące za ojcem na zesłanie dzieci Witalisa Ostromięckiego, koszykiem pełnym łakoci⁴³. Zaś rodzinie doktora Lubiczankowskiego wdzięczni pacjenci przysyłali nawet kufry i pieniądze⁴⁴.

Należało spakować najbardziej niezbędne rzeczy; ubrania, naczynia podstawowe sprzęty codziennego użytku. Pozostały majątek można było spieniężyć. Niekorzystna często sytuacja finansowa rodziny, wręcz wymagała tego kroku by właściwie przygotować się do wyjazdu. Tego typu sytuacje bywały bolesne. Pozbywano się przecież przedmiotów o charakterze sentymentalnym i pamiątkowym. Olga Gołębiowska, szwagierka Jana Jeziorańskiego, w spiswanym na gorąco dzienniczku opisała historię dotyczącą przygotowującej się do drogi na Syberię Wandy Jeziorańskiej:

Wandzia zaczęła więc powoli sprzedawać meble. Jeden stolik, w którego zufladce, w chwilach szczęśliwych wyrzynał szczyrykiem – Wanduś, Wandeczek, Wandusieczek, zoneczek mój najmiłszy – to poleciła stolarzowi wykroić te cienkie deseczki i schowała na pamiątkę, a stolik sprzedała⁴⁵.

Pozostawienie przedmiotów rodzinnych w kraju, pod opieką krewnych, też nie dawało gwarancji na ich odzyskanie w przyszłości. Rodzice Władysława Zahorskiego przygotowując się do wyjazdu sprzedali dom i większość ruchomego majątku. Najbardziej pamiątkowe przedmioty spakowali w kufry i oddali na przechowanie. Kiedy matka pamiętnikarza wróciła z zesłania znalazła wszystkie kufry odpieczętowane i w dużej części opróżnione⁴⁶.

Likwidacja majątku i pakowanie na wyjazd niezbędnych przedmiotów, wymagały dokładnego przemyślenia. W perspektywie rysował się przecież długoletni pobyt na Syberii. Niełatwo jednak było przewidzieć, co okaże się niezbędne w takim zesańcym gospodarstwie. Pośpiech, który na ogół towarzyszył tym czynnościom nie sprzyjał rozsądnym decyzjom. Ocena przydatności konkretnych przedmiotów stanowiła problem szczególnie dla mężczyzn. Raczej nieudolnie poradził sobie z tym zadaniem, dojeżdżający na zesłanie do żony, Józef Prendowski. Wziął bowiem, wedle słów żony Jadwigi: „trochę rupieci najniepraktyczniej obmyślanych, wcale nieprzydatnych, sukien parę, dywan, srebrne nakrycie na trzy osoby”⁴⁷.

Ogromny problem do rozstrzygnięcia stanowił dla rodzin wyjazd dzieci. Powszechnie było wiadomo, że to właśnie dla dzieci podróż i pobyt na Syberii może mieć bardzo poważne konsekwencje. O ile problem ich kształcenia zdawał się realny do rozwiązania, ponieważ na wygnanie udawały się całe rzesze

⁴³ J. Ostromięcka, *Pamiętnik z lat 1862-1911*, opr. A. Brus, Warszawa 2004, s. 35.

⁴⁴ B. z Lubiczankowskich Chomska, *Pamiętnik Bronisławy z Lubiczankowskich Chomskiej z zesłania w guberni ołonieckiej w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX wieku*, [w:] *Na nieznanie losy...*, s. 76; por. W. Zahorski, op. cit.

⁴⁵ J. Jarzębowski, op. cit., s. 215, Wanda Jeziorańska nie pojechała ostatecznie z mężem na Sybir, gdyż ten został skazany na karę śmierci i wyrok wykonano.

⁴⁶ W. Zahorski, op. cit.

⁴⁷ J. Prendowska, op. cit. s. 282.

osób wykształconych, które mogły zająć się edukacją dzieci zesłańców, to przerażająca była wizja surowego klimatu, fatalnych warunków i trudnego dostępu do lekarzy. Były rodziny, które jednak podejmowały to ryzyko. Z kolei inni decydowali się pozostawić dzieci u swoich rodziców. Przyszła pisarka, Maria Rodziewiczówna miała dziesięć dni, kiedy jej rodzice udali się na zesłanie powierzając ją i jej starszą siostrę opiece dziadków⁴⁸. Prendowscy i Skirmuntowie także wyjechali bez dzieci⁴⁹. Rodzina Łagowskich zabrała ze sobą trójkę z czwórki dzieci (w wieku 11, 7, 6 lat). Najmłodszego synka Mikołaja pozostawili u krewnych i dopiero, jako pięcioletka sprowadzono go do Irkucka⁵⁰. Poniwkowscy zaś rozesłali wszystkie swoje dzieci po rodzinie. Witkiewiczowie zdecydowali pozostawić w kraju, pod opieką dorosłego syna najbardziej chorowitą córkę, Anielkę⁵¹.

Stresy i silne emocje towarzyszyły dzieciom już od początku zesłańczej drogi. Rodzina Lubiczankowskich na Syberię udawała się z szóstką pociech. Najstarsza córka miała sześć lat, najmłodsza – zaś parę miesięcy. Całą rodzinę przewieziono z ich majątku do więzienia wileńskiego, gdzie mieli oczekiwać na rozpoczęcie podróży.

Małe dzieci płakały, prosiły jeść, a my starsze ze zgrozą patrzyłyśmy na kraty, okna zabielone, nary drewniane⁵².

Aby oszczędzić dzieciom stresu przebywania w więzieniu, ich stryj wyjednał pozwolenie zabrania ich do siebie. W ten sposób najstarsza czwórka trafiła do krewnych, samych zaś małżonków rozdzielono, pozostawiając przy matce dwie najmłodsze dziewczynki. Dzieciom, które przez parę tygodni przebywały u wujostwa, konsekwentnie odmawiano widzenia się z rodzicami. Cała rodzina spotkała się ponownie dopiero w dniu wyjazdu, na dworcu.⁵³

Kiedy wspomina się o rodzinie towarzyszącej zesłańcom, głównie bierze się pod uwagę żonę wraz z dziećmi. Tak bywało najczęściej, ale na ten trudny krok decydowali się także inni członkowie rodzin. Były to przede wszystkim matki, które towarzyszyły dorosłym synom, albo niezamężne siostry jadące za rodzeństwem⁵⁴. Na towarzyszenie ojcom lub matkom decydowały się też dorosłe, niezamężne córki, jak na przykład wspomniana wcześniej Jadwiga Łuszczewska. Niektórzy bezdzietni zesłańcy zabierali ze sobą czasem siostrzenice lub swoje wychowanki⁵⁵. Konsekwencją powstania i zsyłek, była niewielka

⁴⁸ J. Skirmuntówna, *Pani na Hruszczowej. Dwadzieścia pięć lat wspomnień o Marii Rodziewiczównie*. Warszawa 1994, s. 20.

⁴⁹ Por. J. Prendowska, op. cit., H. Skirmuntowa, *Z Życia Litwinki 1827-1874. Z listów i notatek złożył B. Zaleski*, Poznań 1876.

⁵⁰ B. Jędrychowska, *Wszystkim obcy...* s. 180.

⁵¹ M. Witkiewiczówna, *Wspomnienia o Stanisławie Witkiewiczu*, Warszawa 1936, s. 29.

⁵² B. z Lubiczankowskich Chomska, op. cit., s. 78.

⁵³ Ibidem, s. 81.

⁵⁴ Ze swoimi dziećmi udały się na Syberię m. in. Modesta Cholewo, Antonilla Roszkowska (która w okresie miedzypowstaniowym towarzyszyła mężowi na zesłaniu), Katarzyna Trzaska. Zazwyczaj zsyłanymi byli bracia, za którymi podążały siostry. Z Marią Zebrowską udała się na zesłanie także siostra Józefa. – J. Prendowska, op. cit., s. 198.

⁵⁵ Por. T. Korzon, *Mój pamiętnik przedhistoryczny*. Kraków 1912, J. Prendowska, op. cit. s. 264.

liczba mężczyzn w kraju, którzy mogliby być kandydatami na mężów dla młodych kobiet. Być może niezamężne dziewczęta decydowały się na towarzyszenie bliskim w zesłaniu, gdyż taki los był jednak lepszy, choćby pod względem ekonomicznym, niż samotne staropanieństwo w kraju. Wyjazd niósł także nadzieję na znalezienie męża wśród zesłańców.

Są też w źródłach przykłady mężów, którzy pojechali za żonami⁵⁶. Nieraz w podróż wybierały się wielopokoleniowe rodziny. W partii, z którą Wandalin Czernik podążał etapami, szedł niejaki Gieniuk z Grodna, któremu towarzyszyła żona, dwaj synowie, córka z zięciem i dwoje wnucząt⁵⁷.

Wbrew obrazowi Polki-katoliczki, jaki powielił Iwaszkiewicz w swoim opowiadaniu, sytuacje, kiedy żony, bądź inni członkowie rodzin, decydowali się na towarzyszenie zesłańcowi w odbywaniu jego kary, nadal w latach 60-tych, należały raczej do rzadkości. Wśród Polaków, którzy znaleźli się na Syberii w wyniku powstania styczniowego, osoby towarzyszące stanowił tylko 9,8 %⁵⁸. Zatem większość pozostawała w domu. Przed nimi zaś stały inne, równie trudne wyzwania.

Pożegnania

Kiedy zapadał wyrok o zesłaniu, czasami usiłowano jego realizację odroczyć. Tytus Pusłowski, po przeprowadzonej w domu rewizji, został oskarżony o posiadanie nieprawomyślnych papierów i skazany na zamieszkanie w Ufie. W grudniu 1863 roku udało się jego żonie Paulinie wyjednać u władz ośmiomiesięczne odroczenie wyjazdu (a wyjeżdżał z domu, nie z więzienia) ze względu na jego stan zdrowia. Na dwa dni przed upływem terminu przepustki Paulina napisała ponownie prośbę o jej przedłużenie, argumentując nie tylko stanem zdrowia męża, ale również powołała się na swoją ciążę. W ten sposób udało się przesunąć wyjazd na zesłanie aż do maja 1864 roku⁵⁹.

Kiedy jednak wyjazd nieuchronnie już się zbliżał rozpoczynano starania o odpowiednie wyposażenie zesłańców na drogę. Tak o przygotowaniu ekwipunku pisał jeden z młodych wówczas więźniów:

Ojciec mój zawiadomiony przez życzliwych o zapadłym wyroku pospieszył do Radomia – zbolęły nieszczęściem. W ciągu kilku ostatnich miesięcy pobierał zupełnie, chociaż szósty krzyżyk niedawno rozpoczął. Zajął się wyprawą moją na oczekującą mnie podróż. Była to pora zimowa – koniec stycznia. Trzeba więc było zaopatrzyć się w obuwie, jak ciepłą odzież, przewidywana piesza wędrówka tysiąca mil o czym wiedzieliśmy od dawniejszych sybiraków nakazywała uekwipować się odpowiednio – więc długie buty, krótki kozuch i tornister na bieliznę i drobiazgi⁶⁰.

Niektórzy więźniowie instruowali, z niezwykłą precyzją swoje rodziny, co dokładnie mają przygotować na zbliżający się wyjazd:

Gąbkę białą, nie krajową, u Mrongowiusa lub innym sklepi, – Arnikę i inne podręczne lekarstwa. Manierkę blaszaną lub mosiężną z uszkami i paskiem – Do mego sac de voyage dokupić zameczek i dorobić dwa paski obciskające go. [...]

⁵⁶ Za swoją żoną na zesłanie pojechał Józef Prendowski – J. Prendowska, op. cit.

⁵⁷ W. Czernik, op. cit., s. 27.

⁵⁸ E. Kaczyńska, *Syberia Największe ...*, s. 89.

⁵⁹ B. Jędrzychowska, *Wszystkim obcy...*, s. 94.

⁶⁰ H. Wiercieński, *Pamiętniki*, Lublin 1973, s. 219

Koszulę wełnianą moją szarą. Igły, nici, guziki. Przyrząd piśmienny. Wierzchnie okrycie z kapiszonem. Bałochan letni wisi w garderobie. Dwie zmiany bielizny, skarpetek par kilka. Chustek do nosa. Dwie pary noszonego płótna, mogące zastąpić skarpetki. Kapelusz bawoli. Basztyk. – Pończochy ciepłe – Proszek mój do zębów – Grzebuszek mały⁶¹.

Zrealizowanie tak drobiazgowych poleceń, często w bardzo krótkim czasie, było nie lada wyzwaniem dla rodzin.

Niektórzy bliscy stanowczo przesadzali z wyposażeniem skazańca na drogę. Matka młodego Zygmunta Sumińskiego zapakowała go w ogromny kufer, w który włożyła nie tylko świetnie zaopatrzoną apteczkę, ale także pościel, dywany, ubrania w dużych ilościach i wiele książek⁶². Taki bagaż był tylko pozornie przydatny, ponieważ często przysparzał wielu problemów podczas drogi. Trudny był bowiem do umieszczenia w ciasnych kibitkach, a ponadto czas pochłaniający jego przenoszenie do budynku etapu uniemożliwiał zajęcie dobrego miejsca do spania.

Po przygotowaniach następował najtrudniejszy moment, dla pozostającej w kraju rodziny, czyli czas pożegnania. Większość zesłańczych wspomnień zawiera jego opis. Nawet jeśli spisano je po kilkudziesięciu latach, to zwykle fragmenty dotyczące pożegnań z rodziną wydają się być najbardziej żywe w pamięci zesłańców. Szczególnie w sytuacji jeśli pożegnanie to miało okazać się ostatnim widzeniem kogoś z bliskich. Niezwykle długi czas kary, na jaki skazywano powstańców i spiskowców, nie dawał wielu nadziei na ponowne spotkanie rodziców z żegnanymi przez nich dziećmi.

Pożegnania z rodzinami mogły następować dwuetapowo. Pierwsze pożegnalne spotkanie odbywało się w więzieniu. Jego forma i długość zależały od miejsca skąd wyruszał zesłaniec i od wpływów jakich użyła rodzina aby je przedłużyć. W Cytadeli tylko niektórym udawało się doprowadzić do dłuższego widzenia przed drogą. Mąż Jadwigi Prendowskiej dotarł do jednego z rosyjskich pułkowników, który ożeniony był z Polką, córką ich sąsiadki. Ten przywiózł go do więzienia i umożliwił mu godzinne pożegnanie z żoną⁶³. Podobnie długie widzenie z rodziną przed wyjazdem udało się zorganizować dla Władysława Daniłowskiego. Dorożka, która wiozła go na dworzec po drodze, zatrzymała się na Krakowskim Przedmieściu przy Ordynhauzie. Tam w środku czekali na niego ojciec, bracia, bratowa i przyjaciele. Przybyli w to miejsce po raz kolejny bo wcześniej mieli wiadomość, że więzień będzie wywożony poprzedniego dnia. Od najbliższych Daniłowski dowiedział się, że miejscem jego zesłania nie będzie Wiatka, miasto w europejskiej części Rosji tylko gubernia Jenisejska na Syberii. Pozwolono mu cieszyć się rodziną bez świadków aż pełne dwie godziny⁶⁴. Zapewne i w tym przypadku w grę wchodziły znajomości lub łapówka. Nie wszyscy jednak mieli tego typu możliwości. Jakub Salinger, warszawski drobny kupiec ubolewał w swoim prowadzonym na gorąco dzienniczku, że miał tylko jedno widzenie z rodziną, i to na wiele dni przed wyjazdem⁶⁵.

⁶¹ J. Kalinowski, *Listy*, Lublin 1978, s. 107.

⁶² B. Dybowski, *Pamiętnik od roku 1862 zacząwszy do roku 1878*, Lwów 1930, s. 35.

⁶³ J. Prendowska, op. cit., s. 213.

⁶⁴ W. Daniłowski, *Notatki do pamiętników*, Kraków 1908, s. 490.

⁶⁵ J. Salinger, *Etapem z Warszawy do Krasnoufimska*, Kraków 1983, s. 31.

W innych ośrodkach wykazywano więcej zrozumienia dla opuszczających kraj więźniów. W Radomiu zezwalano na spędzenie całego dnia z rodziną. Skorzystał z takiej szansy Władysław Zapałowski:

Dzień przed wysyłką (do cytadeli) był to ostatni dzień, który razem z rodziną mieliśmy spędzić – nic zatem dziwnego, że był smutny. Przyszłość rysowała się czarna, ponura, bez promyka nadziei, nikt nie wiedział, jaki los go czeka, i nie wiedział czy z ukochanymi się spotka jeszcze w życiu. Rozpacz malowała się na wszystkich twarzach, z oczu łzy strumieniami płynęły a z potworzonych grup słychać było jęki. Siódma godzina wieczór – godzina, do której wolno było przebywać w koszarach odwiedzającym, szybko się zbliżała. Głos dzwonka dał znać o tem, i jednocześnie oficer, który trzymał wartę z żołnierzami wkroczył do bagażanu. Żegnani i żegnający rzucili się sobie w objęcia⁶⁶.

Na podobnie długie pożegnalne widzenia z rodzinami zezwalały również władze wileńskich więzień. Edward Czapski mógł nawet spędzić kilka godzin z żoną na osobności. Ten dzień zapamiętał ze wszystkimi szczegółami:

W dzień wyjazdu pozwolono żonie mojej godzin parę widzieć się ze mną w pokoiku przeznaczonym dla oficerów.. Wspomnienie tej chwili stoi mi wiecznie na myśli, zapadło tak głęboko do serca, że w chwili śmierci niezawodnie walczyć jeszcze będzie z trwogami ostatecznego żywota. Moja Antosia nie przeczuwała może, że to było ostatnie nasze spotkanie na ziemi, ale wiedziała, że rozłączenie nasze może potrwać kilka lat. Bohaterskie tedy wysilenie, przezwytyczające wszystko co ziemskie, opromieniło ją niezwykłym blaskiem, zdała się nie pamiętać przez kilka godzin o naszym nieszczęściu, o sercu zranionym najboleśniej. Szczęśliwa zwycięstwem nad sobą, szczęśliwa nadmiarem miłości...

Z domu przynieśli obiad, zastałem tam potrawy, które kiedyś lubiłem.

Kazała mi się ubrać w strój podróży, który sama dla mnie zrobić kazała na drogę.

Po obiedzie panna Tenczyńska przywiozła dzieci: Weronikę, Florka, Zosię i Stasia. Po kolei błogosławiłem smutne dziatki, a kiedym ostatnie niemowlę ścisnął nie wiedziałem, że to już na wiečność, umarł w 1868 r. potem żona z piersi każdego dziecka i ze swoich odjęła po jednym medaliku, związała pięć razem i zawiesiła je na mojej szyi⁶⁷.

Ostatni raz rodzina mogła zobaczyć skazanego bezpośrednio przed wyruszeniem jego w drogę. Więźniów z Królestwa przewożono najpierw do Warszawy, najczęściej do Cytadeli a następnie na Dworzec Praski, skąd transportowano ich do Petersburga. Ten transport więźniów odbywał się w środku nocy (na ogół między drugą a trzecią w nocy). Skazańcy nie znali daty swojego wyjazdu a jednak ku swojemu zdziwieniu odkrywali, że ich rodziny oczekiwały na dworcu.

Teodora Heurich-Kiślańska wspominała, że o dacie wyjazdu Bronisława Szwarcego doniósł im znajomy strażnik⁶⁸. Zapewne z podobnych źródeł informacji korzystały inne rodziny. Po to, aby ostatni raz zobaczyć bliskich, przychodzono na wiele godzin przed pojawieniem się więźniów na dworcu. Żołnierze jednak nie wpuszczali nikogo na perony, póki nie umieszczono wszystkich zesłańców w wagonach. Dopiero wtedy rodziny rozpoczynały próby odnalezienia w tłumie wyjeżdżających swoich bliskich. W tym gorączkowym pożegnaniu

⁶⁶ W. Zapałowski, *Pamiętniki z roku 1863-1870*, Wilno 1913, s. 35.

⁶⁷ E. Czapski, *Pamiętniki Sybiraka*, Londyn 1964, s. 256.

⁶⁸ T. Heurich-Kiślańska, *Pamiętnik matki i córki*, Warszawa 1918, s. 73.

uczestniczyły najczęściej całe rodziny, żony, dzieci, rodzeństwo, rodzice. Wówczas również próbowano przekazać rzeczy, najbardziej przydatne w trakcie podróży. Nielegalnie, po kryjomu podawano pieniądze a czasem też wódkę. Nie wszystkim udawało się dotrzeć do swoich bliskich. Rosjanin, Paweł Ogrodnikow był świadkiem takiej sceny:

W oknach budynku dworcowego dostrzegłem kilka dam Polek, większa ich liczba tłoczyła się przy drzwiach: to krewne wygnańców. [...] Lecz gorzko się rozczarowały nie tylko do tego nie dopuszczono lecz nawet nie pozwolono im wyjść z budynku dworcowego, aby chociaż z daleka spojrzeć na drogie im istoty⁶⁹.

Inaczej wyglądały pożegnania wyprawianych na Syberię z ziem zabranych. Z Kijowa lub Wilna więźniowie wychodzili pieszo i nie w nocy, jak to miało miejsce w Warszawie, a właśnie w dzień. Gubernator Murawiov uważał bowiem, że wyprowadzenie więźniów z miasta było dodatkową formą zastraszania miejscowej ludności. Toteż skazańców żegnały nie tylko rodziny ustawione wzdłuż ulic miasta, ale i inni jego mieszkańcy. Oczywiście żegnającym wolno było tylko patrzeć na podążające kolumny skazańców. Wszelka inna forma kontaktu była zakazana. Kiedy słabowidzący ojciec Apolinarego Święto-rzeckiego, nie mogąc dostrzec wśród wyruszających zesłańców syna, zaczął głośno go nawoływać, strażnicy nie zezwolili Apolinaremu na jakikolwiek gest pozwalający ojcu go zlokalizować⁷⁰.

O ile w samych miastach kontakt wyruszających w podróż z żegnającymi był niemożliwy, to już poza obrębem miasta, gdzie nie było już takich tłumów, zezwalano jeszcze na ostatnie wymiany uścisków. Właśnie z tego powodu rodziny wyruszających z Mińska, bądź z Kijowa jechały jeszcze nawet przez wiele dni za maszerującymi partiami, aby móc na etapach zamienić parę słów z bliskimi. Brat Augusta Iwańskiego dojechał aż do Kremieńczuka, czyli do etapu, do którego zesłańcy doszli dopiero po dwóch tygodniach marszu⁷¹. Podobnie władze Mińska zezwoliły żegnającym zesłańców kobietom, na przygotowanie sutego posiłku dla bliskich poza terenem miasta⁷². Po tych dramatycznych pożegnaniach rodziny, głównie kobiety, pozostawały same i jak słusznie zauważa Barbara Jędrychowska:

Trzeba pamiętać, że pozostałe w domach kobiety były zupełnie nie przygotowane do nowych warunków oprócz bólu rozstania niejednokrotnie spadały na nie zawile i kosztowne procesy sądowe związane z konfiskatą majątku, orzeczną zazwyczaj jako kara dodatkowa. Tym samym codziennością stawała się dla nich walka o zapewnienie sobie i dzieciom środków do życia⁷³.

⁶⁹ P. Ogrodnikow, *Dziennik więźnia 1862-1863*, Warszawa 1986, s. 478.

⁷⁰ Z. Kowalewska, *Ze wspomnień wygnańca z roku 1863*, Wilno 1911, s.79.

⁷¹ A. Iwański, op. cit., s. 187.

⁷² Z. Kowalewska, op. cit., s.79.

⁷³ B. Jędrychowska, *Wszystkim obcy ...*, s. 19.

ANNA MARIA STOGOWSKA

**OKRETEM NA ZESŁANIE.
EDMUND PŁOSKI NA SACHALINIE**

Edmund Walenty Płoski (1859-1942) pochodził z guberni płockiej. Urodził się w rodzinie ziemiańskiej w Turowie koło Ciechanowa. Na jego postawę moralną wpłynęło zapewne wychowanie nie w domu rodzinnym, lecz w rodzinie Onufrego Płoskiego w Długołęce-Osyskach w powiecie ciechanowskim. Wychowywał się razem ze swymi kuzynami Eugeniuszem Płoskim, później prawnikiem i katolickim działaczem społecznym, Władysławem Płoskim działaczem endeckim, ziemianinem, prezesem Towarzystwa Rolniczego w Płocku i Aleksandrem Kakowskim arcybiskupem metropolitą warszawskim. Naukę podjął w progimnazjum w Pułtusku, a w 1874 roku przeniósł się do Płocka, gdzie uczęszczał do Gimnazjum Gubernialnego. Zrusyfikowana szkoła zmuszała młodzież polską do podejmowania różnych form walki o polskość. Jedną z nich były koła samokształceniowe, gdzie uczono się języka polskiego i ojczystej historii. Z zachowanych wspomnień Ludwika Krzywickiego¹ i Aleksandra Dębskiego² zamieszczonych w *Księżde Pamiątkowej Koła Płocczan*³ wydanej

¹ Ludwik Krzywicki (1859-1941) socjolog, ekonomista. Urodził się w Płocku, gdzie wychowywali go dziadkowie ze strony matki. Ukończył Gimnazjum Gubernialne w Płocku w 1878 r. W szkole działał w kółkach samokształceniowych. Studiował na Wydziale Matematycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W 1882 roku skończył studia i pozostał na uczelni. W 1893 r. został wydalony w związku z protestem przeciw rusyfikacji. W latach 1884-1885 studiował nauki społeczne i przyrodnicze w Lipsku i Paryżu. W Szwajcarii tłumaczył dzieła Marksa i Engelsa. Był redaktorem „Walki Klas” i „Przedświtu”. W 1886 r. powrócił do Warszawy, gdzie prowadził zajęcia na tzw. „Latającym Uniwersytecie”. Pracował też jako bibliotekarz w Berlinie i British Museum, gdyż nie mógł dostać pracy w Królestwie Polskim. W czasie rewolucji 1905 r. został aresztowany i osadzony w Cytadeli Warszawskiej. W 1906 r. uzyskał doktorat na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego. W czasie I wojny światowej został członkiem Komitetu Obywatelskiego m. Warszawy. Pracował też w Radzie Regencyjnej jako statystyk. Od 1919 r. wykładał statystykę na Uniwersytecie Warszawskim, a od 1922 r. kierował katedrą historii ustrojów społecznych, a następnie prowadził wykłady w Wyższej Szkole Handlowej. Był członkiem wielu towarzystw naukowych, np. Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Towarzystwa Antropologicznego, Towarzystwa Ekonomistów. Pozostawił duży dorobek naukowy w postaci 1000 prac naukowych z różnych dziedzin. A. Papierowski, J. Stefański, *Płocczanie znani i nieznan*, Płock 2002 s. 321

² Aleksander Dębski (1857-1935) działacz polityczny. Urodził się w Mogielnicy w pow. płockim w rodzinie szlacheckiej. W latach 1869-1878 uczył się w Gimnazjum Gubernialnym w Płocku, gdzie zakładał tajne kółka samokształceniowe. Studiował w Petersburgu na Uniwersytecie oraz na Politechnice w Zurychu. W Petersburgu należał do „Gminy Polskiej” a od 1881 r. działał w Polsko-Litewskiej Partii Socjalistycznej razem

w okresie międzywojennym poznajemy ten trudny okres w życiu młodych chłopców, którzy za swą nielegalną działalność mogli ponieść najwyższą karę z zesłaniem na Syberię włącznie. Szczęśliwie jednak tak się nie stało. Edmund, podobnie jak jego koledzy ukończył gimnazjum i uzyskał w 1878 r. maturę z wyróżnieniem srebrnym medalem. Za namową, jak sam pisze we wspomnieniach, Aleksandra Dębskiego obydwaj udali się na studia do Petersburga⁴. Edmund początkowo zamierzał studiować w Instytucie dla Inżynierów lecz egzaminy były konkursowe. W końcu zdecydował się na Wydział Prawny tamtejszego Uniwersytetu. Dębski natomiast studiował matematykę. Okres studiów był dla późniejszego działacza nie tylko czasem nauki lecz również uczestnictwa w życiu konspiracyjnym „Gminy Polskiej”, założonej przez studentów polskich. Płoski poprzez samokształcenie zapoznawał się z zasadami socjalizmu, brał udział w życiu politycznym uczelni. Został nawet zatrzymany w 1879 roku przez: ochranę za uczestnictwo w wiecu na uczelni: „Sąd udzielił mi upomnienia” – jak po latach napisał we wspomnieniach na innych zaś posypały się różne aurowe kary dyscyplinarne łącznie z wydaleniem z Uniwersytetu itp.⁵

Mimo wielu represji w Petersburgu rozwijał się ruch rewolucyjny, który przeniesiony został na teren Królestwa Polskiego przez Ludwika Waryńskiego. Aresztowania, które miały miejsce w 1881 r. rozbiły działalność konspiracyjną, wielu członków „Gminy” znalazło się w więzieniach. Płoskiego natomiast, szczęśliwie ominęły te restrykcje. Dalsze aresztowania miały miejsce w marcu tego roku, po zamachu na cara Aleksandra II. Zesłano wówczas na Syberię 20 członków „Gminy” i organizacja właściwie przestała istnieć. Płoski wymienia swych kolegów z konspiracji, którzy później pełnili odpowiedzialne funkcje: Józefa Stankiewicza, później dyrektora gimnazjum polskiego, Adama Zakrzewskiego prezesa Towarzystwa Dobroczyńności w Warszawie, Marię Koplewską żonę Józefa Piłsudskiego, Józefę Czarnowską dyrektorkę gimnazjum żeńskiego we Lwowie, dwóch braciach Manólskich Tadeusza i Józefa, senatora RP oraz o Zofię Onufrowiczową⁶ później żonę, towarzyszkę zesłania.

ze Stanisławem Kunickim, Tadeuszem Rychniewskim i Edmundem Płoskim. Utrzymywał bliskie kontakty z Ludwikiem Waryńskim i wspierał jego działalność w Wielkim Proletariacie. Po aresztowaniu Waryńskiego razem z Kunickim stanął na czele Proletariatu. Był socjalistą i opowiadał się za walką z caratem w formie zamachów terrorystycznych. Zagrożony aresztowaniem w 1884 r. wyjechał z kraju. Przebywał w Paryżu i Genewie, gdzie ze Stanisławem Mendelsonem wydawał „Walkę Klas” oraz „Przedświt”. W 1897 r. powrócił do kraju w celu odbudowy partii Proletariat lecz został aresztowany. Udało mu się jednak wyjechać do Szwajcarii i do Paryża, gdzie studiował na Sorbonie. Brał udział w międzynarodowych zjazdach socjalistów w Sztokholmie 1888 i Brukseli 1891. Założyciel Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich 1892 r. W 1899 wyjechał na 20 lat do USA, gdzie założył Związek Socjalistów Polskich. Wydawał „Wici” i „Telegram Codzienny”. Współpracował z Józefem Piłsudskim, na jego polecenie powrócił do kraju 1919 r i został sekretarzem generalnego biura werbunkowego PPS. W 1930 r. zasiadał w senacie RP. A. Papierowski, J. Stefański, *Płocczanie...*, op. cit. s. 120

³ *Księga Pamiątkowa Koła Płocczan*, pod. red. S. Dembego, Warszawa 1931.

⁴ E. Płoski, *Wspomnienia. Czasy uniwersyteckie*, Płock 1938.

⁵ *Ibidem*, s. 9.

⁶ Maria Zofia Płoska z domu Onufrowicz (1856-1922) żona E. Płoskiego działaczka ruchu robotniczego, W latach 1880-1881 członkini gminy socjalistycznej w Petersburgu, następnie w I Proletariacie. W latach 1882-1883 prowadziła działalność konspiracyjną w Galicji. Oskarżona w procesie krakowskim 1884 r. przekazana władzom carskim w 1885 skazana na zesłanie. Karę odbyła z mężem na Sachalinie.

Po ukończeniu Uniwersytetu w Petersburgu E. Płoski powrócił do Królestwa Polskiego. Należał do bliskich współpracowników Ludwika Waryńskiego i w roku 1882 był jednym z założycieli „Wielkiego Proletariatu”, pierwszej polskiej partii robotniczej, głoszącej współdziałanie mas robotniczo-chłopskich z inteligencją, wprowadzenie socjalizmu metodą terroryzmu politycznego i ekonomicznego. Zorganizowano wówczas szeroką sieć kółek robotniczych. Założono kilka drukarni, które drukowały ulotki i odezwy propagujące idee marksistowskie. Również pisma „Proletariat”, „Robotnik” i „Walka Klas” propagowały idee założenia programowe Proletariatu – walkę klas oraz powszechną rewolucję. Edward Płoski redagował „Proletariat”, „Kurier Codzienny” i „Przegląd Tygodniowy”. Partia organizowała strajki w obronie robotników. Po zawarciu sojuszu z „Narodną Wolą” występowały tendencje terrorystyczne, zamachy na prowokatorów i szpiegów.

W 1883 r. zostali aresztowani: L. Waryński, A. Jentysówna, H. Dulęba, T. Rechniewski i pomimo tych dokuczliwych strat w łonie „Proletariatu”, szybko jednak wznowiono partyjną działalność programową. Toczyły się liczne procesy, wśród nich 29 proletariataczyków w roku 1885. Posypały się ciężkie kary, z karą śmierci włącznie. Na stokach Cytadeli Warszawskiej zostali straceni: S. Kunicki, P. Bardowski, J. Pietrusiński i M. Ossowski. Kilkuset działaczy powędrowało na zesłanie, wśród nich Edmund Płoski i Maria Bohuszewiczówna, która zmarła w drodze na zesłanie. Wielu osadzono w więzieniach między innymi Ludwika Waryńskiego, który zmarł w twierdzy szlisselburskiej. E. Płoski po aresztowaniu przez rok był więziony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Biografowie piszą, że podczas śledztwa załamał się i złożył obciążające zeznania⁷. Jednak wkrótce je odwołał. Został skazany na pozbawienie wszelkich praw i 16 lat katorgi. Miejscem jego zesłania była wyspa Sachalin. Tam przebywał przez 12 lat razem z żoną. Następne lata spędził w Błagowieszczeńsku. Po rewolucji 1917 roku udało mu się wyjechać do Japonii, skąd przedostał się do kraju i osiadł w Limanowej w Galicji, gdzie pracował jako urzędnik. Po odzyskaniu niepodległości został prezesem Sądu Okręgowego we Włocławku. W II Rzeczypospolitej był senatorem. W roku 1930 przeszedł na emeryturę. Utrzymywał bliskie kontakty z inteligencją płocką, zwłaszcza z Towarzystwem Naukowym Płockim. Był członkiem tego stowarzyszenia podobnie, jak jego krewni: Władysław Płoski, Władysław Lutyński czy Eugeniusz Płoski. Szczególne więzy łączyły go z prezesem Aleksandrem Macieszą, który sam był synem zesłańców syberyjskich i urodził się w Tomsku⁸.

W 1937 roku Edmund Płoski wygłosił w Towarzystwie Naukowym Płockim odczyt o czasach studenckich na Uniwersytecie w Petersburgu. Mówił w nim o pierwocinach polskiego ruchu socjalistycznego i własnych przeżyciach. Prelekcja ta oparta na wspomnieniach autora znanego wszakże działacza ruchu robotniczego, zesłańca na Sachalin, spotkała się z wielkim zainteresowaniem miejscowego społeczeństwa i już w rok potem (1938) ogłoszono je drukiem pt. *Wspomnienia. Czasy Uniwersyteckie*. Druga wojna światowa przekre-

⁷ A. Papierowski, J. Stefański, *Płocczanie...*, op. cit., s.477.

⁸ A. Stogowska, *Rodak z Tomaska doktor Aleksander Macieszka*, [w:] *Polacy w nauce i kulturze Tomaska oraz Syberii Zachodniej* pod. red. A. Kuczyńskiego i M. Marczyka, Wrocław 2008 s. 183-192.

śliła plany wydania kolejnych części tych ciekawych wspomnień z zesłania, i do dni dzisiejszych pozostały on w rękopisie. Otrzymałam je dzięki uprzejmości rodziny Lutyńskich związanej z Płockimi. Pamięć o zesłańcu w Płocku nie zaginęła, gdyż w latach siedemdziesiątych jedna z ulic, na nowym osiedlu, otrzymała Jego imię.

Wspomnienia Edmund Płoskiego stanowią interesujące źródło do dziejów zesłań Polaków w XIX i XX wieku. Autor, z wykształcenia prawnik reprezentuje inteligencję polską. Sam przebywał w kręgu ludzi wykształconych, choć jako działacz partii politycznych miał do czynienia z innymi warstwami społecznymi zwłaszcza z robotnikami. Redaktor polskich czasopism był przygotowany do tego typu narracji. Nie upiększa swych przeżyć, mimo że pisze po latach, doskonale pamięta rzeczywistość. Pisze językiem żywym, wprowadzając czytelnika w arkania życia zesłańczego.

Płoski we wspomnieniach opisuje podróż na zesłanie, swój pobyt w różnych więzieniach etapowych dla zesłańców oraz trzyletni pobyt na Sachalinie. Charakteryzuje przy tym towarzyszy swej niedoli oraz rosyjskich urzędników zajmujących się skazańcami. Pisze o drobiazgach życia zesłańczego o pożywieniu i ubiorze zesłańców. Opisuje miejscową przyrodę i stosunki panujące wśród miejscowej społeczności. Interesująca zwłaszcza jest jego podróż morską okrętem oraz pierwsze lata pobytu na Sachalinie, gdzie spotkał się z Bronisławem Piłsudskim⁹. Swą podróż na zesłanie rozpoczął w końcu marca, gdy jeszcze trwała zima. Pisał o tym po latach:

Żegnaliśmy Warszawę, jak sądziłem wówczas, na zawsze. Czyż można było mieć nadzieję przetrwania kilkunastu lat katorgi, skoro i dość łagodne więzienie w Cytadeli stało się w końcu nie do wytrzymania! Ja takiej nadziei nie miałem, choć udawałem przed kolegami, aby nie siać w ich duszach ziarna rozpacz, nie tylko nadzieję, ale nawet pewność powrotu. Czy mieli tę nadzieję moi współtowarzysze nie wiem? Udawali jednak wszyscy, zapewne tak samo, jak i ja aby zagłuszyć ból i tęsknotę, tym więcej podniecali w sobie wesołość, na pewno sztuczną. Wesołe rozmowy i żarty zapanowały w ich gronie, gdyśmy się znaleźli wreszcie, po długich i męczących „poniewierkach” (sprawdzaniach listy) w wagonie, który wyprowadzono nocą poza obręb stacji i postawiono pod liczną strażą w otwartym polu na jakiejś mijance. Tam pozostaliśmy do rana, do czasu

⁹ Bronisław Piłsudski (1866-1918) brat Józefa Marszałka Polski. Urodził się w Zułowie na Litwie. Już z gimnazjum został wydalony za działalność polityczną. W Petersburgu ukończył gimnazjum i wstąpił na Wydział Prawa tamtejszego Uniwersytetu. Skazany za udział w spisku na życie cara Aleksandra III w 1887 r. Pierwotnie na karę śmierci, zamienioną na 15 lat katorgi na Sachalinie. Swe zesłanie spędził w większości we wsi Rykowskijskoje. Tam rozpoczął prowadzenie obserwacji meteorologicznych. Opublikował w miejscowych pismach kilka prac. Zajął się też studiami nad językiem i kulturą Ajnów. Po amnestii w 1898 roku zaproponowano Bronisławowi stanowisko kustosa muzeum we Władywostoku, stwarzając warunki do badań etnograficznych. Był autorem wielu prac. Brał udział w wyprawie na Hokkaido z Wacławem Sieroszewskim. Powrócił na Sachalin, gdzie miał swoją rodzinę. Dopiero w 1905 roku wyjechał z wyspy przez Japonię, Amerykę i Francję dotarł do Polski, zamieszkał w Galicji. Wyjeżdżał do Belgii, Francji, Anglii i Szwajcarii. Zmarł w Paryżu, popełniając samobójstwo. B. Piłsudski, *Zbliżyłem się do tych ludzi wymierających i krzywdzonych*, [w:] A. Kuczyński, *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1993 s. 304-306 i 304-417.

przybycia normalnego pociągu pasażerskiego, do którego nasz wagon doczepiono. Ruszyliśmy w nieznaną drogę¹⁰.

Więźniowie nie wiedzieli dokąd jadą. Jedni uważali, że do Moskwy inni twierdzili, że do Odessy. Płoski opowiadał się za kierunkiem południowym, wierząc, że jego przeznaczeniem etapowym będzie więzienie w guberni charkowskiej. Przez dwa dni bacznie obserwował swych towarzyszy: cieślę Adama Sieroszewskiego, cukiernika Hilarego Gostkiewicza, terminatora ślusarskiego Jana Popławskiego, tokarza z Wiedeńskiej Kolei Józefa Szmausa, którego znał jeszcze z konspiracji i z Cytadeli, tkacza z Żyrardowa Adama Słowika, stolarza Adolfa Formińskiego, Leona Degórskiego ze Zgierza, Jana Kelnera, Teofila Blocha, tkacza Kazimierza Tomaszewskiego z Żyrardowa, Stanisława Bugajskiego i szewca Piotra Dąbrowskiego oraz innych¹¹. Podczas podróży doszedł do kontrowersyjnych wniosków:

Mimo dość długiego obcowania z robotniczą warstwą podczas swej działalności, duszy robotnika, jak się coraz bardziej obecnie przekonałem nie znałem. Miałem w sobie zbyt wiele ideologii i entuzjazmu doktrynerskiego, co kazało patrzeć na robotnika jako na nosiciela, może nieświadomego, wszelkich zalet, jakie powinien posiadać człowiek przyszłości. Wewnętrzne życie ich nie znałem. A podczas krótkich stosunkowo kontaktów na zebraniach kółkowych poznawało się tylko strony najlepsze, pokazowe. Stąd też ludzi się zazwyczaj idealizowało. Zresztą w normalnym życiu byli oni niewątpliwie i lepsi i rozumniejsi niż w okresie, kiedy losy rzuciły niektórych z tej sfery na dno rozpaczliwej wprost niewoli¹².

Po dwóch dniach podróży zesłańcy przybyli do więzienia etapowego w Charkowie („peresylnaja tiurma”). Umieszczono ich w obszernych izbach, w których oprócz pomostu z desek (nar) z siennikami (uznanymi przez więźniów jako zbytek), innych mebli nie było. Po kilku dniach więźniów kibitkami, w eskorcie żołnierzy przewieziono dalej. Była to droga bardzo uciążliwa. Codzienne przez 7-8 godzin trwała jazda w nędznym ubraniu i bez pożywienia. Więźniowie ubrani byli w płaszczki aresztanckie zwane chałatami i kurtki sukienne, na nogach mieli spodnie rozcięte po bokach zawiązywane na sznurki. Ze względu na kajdany spodnie te przy dużym mrozie nie dawały ochrony. Po wielogodzinnej jeździe, jak pisze Płoski:

Nogi przemarznięte, niemal drewniane, z trudnością zginały się w kolanach. Wszystkie mięśnie dygotały, zęby szczękały z zimna. Na rozgrzewkę tupało się nogami i po furmańsku rękami w ramiona¹³.

Nie pomagała gorąca herbata na postojach, czasem więźniowie od właścicieli oberży dostawali jeszcze bułki, obwarzanki co stanowiło dary dla „nieszczęśników”. Jeśli więźniowie mieli pieniądze płacili lub zabierał je „isprawnik” dla naczelnika więzienia. Na postojach zmieniano konie na nowe.

Więzienie zwane przez Płoskiego „Centralem”¹⁴ okazało się dla zesłańców piekłem, jak twierdzi autor wspomnień. Realistycznie opisuje przyjęcie do tego więzienia:

¹⁰ E. Płoski, Wspomnienia (maszynopis na prawach rękopisu), s. 1.

¹¹ Ibidem, s. 9.

¹² Ibidem, s. 2.

¹³ Ibidem, s. 16.

Wprowadzono nas do dużej, ponurej i ciemnej sali, przypominającej loch więzienny, wcale nieopalonej, bo gruby zamróz pokrywał szyby jednego okna. Sala była pusta. Wniesiono stolik, kilka krzeseł dla władz i pisarza, na stole złożono plik dokumentów, imiennych arkuszy dla każdego skazańca zwanych według terminologii „statyjnymi spiskami”. Ustawiono nas w dwa szeregi wzdłuż ścian, kazano się rozebrać do naga, złożyć rzeczy rządowe i własne oddzielnie każde i czekać. Znów długie, zdawało mi się, bez końca, czekanie na goło. Czynownikom się nie spieszyło. Zresztą siedzieli oni ciepło ubrani w futra i kozuchy, a my jedynie w własną skórę, przy zimnej ścianie, na kamiennej podłodze, boso. Nie z jednakową więc szybkością czas płynął dla nich i dla nas. Wreszcie zaczęto wywoływać z listy po nazwisku. Wywołany podchodził do stołu, tu następowały zewnętrzne oględziny ciała i porównanie rysopisu „statyjnego spisku” z rzeczywistością, stwierdzenie zgodności każdego szczegółu, a zwłaszcza tak zwanych „osobnych primiet” (znaków szczególnych). Wreszcie widok ogólny – fotografia. Nie obeszło się przy tym nie kiedy i bez nieporozumień. To oczy w dokumencie były „szare”, a w naturze, jak oceniono „niebieskie”, to włosy „blond” wydawały się więziennemu rzeczoznawcy „szatynowe” lub „ciemne”. To twarz – według dokumentu „okrągła”, należytej okrągłości nie posiadała, zwłaszcza gdy odkryto znak szczególny. Wszystko to musiało być szczegółowo zaznaczone w dokumencie, aby wypadkiem „Bartek nie uszedł za Maćka”. Bardzo były dokładne i ostrożne władze¹⁵.

Następną czynnością było sprawdzanie rzeczy przysłanych więźniów. Odbierano im dotychczasowe ubrania, które pakowano w paczki przekazywane do magazynu.. Z kolei przystępowano do rewizji ciał:

Obrzędu tak wstrętnego, że dziś jeszcze dreszcz mnie przejmuje na wspomnienie tej tortury, bo inaczej nazwać trudno. „Otwórz usta” – komenda zawsze na „ty” – podnieś język, czasem palec dozorczy, brudny, pakuje się do ust i bada, czy nie ma tam czegoś „zabronionego”. Dalej szczegółowe oględziny pachwin, szpar między palcami rąk i nóg, wreszcie ostateczna komenda: „nagus” (zegnij się). Wystawiona na front część ciała przeznaczona do siedzenia podlega badaniu, czy czasem otwór stolcowy nie zawiera tytoniu lub czegoś innego poza naturą. Wszystko wreszcie skończone, jesteśmy zbadani do kości. Znów czekamy, ubrani tylko w jedną część kostiumu – w kajdany¹⁶.

Dopiero po tych wstępnych czynnościach trwających kilka godzin więźniom przyniesiono nowe ubrania i pozwolono się ubrać:

Ten ceremoniał nie był dla katorżnika sprawą prostą i łatwą, jak dla każdego śmiertelnika, zwłaszcza co do wciągania na siebie kałesonów. Na szczęście zauważyliśmy, że i ten szczegół był ułatwiony. Nogawice bowiem nie tylko spodni ale i kałesonów były rozcięte wzdłuż nogi i zawiązywały się na sznurki. Przeglądało przez te dwie warstwy odzieży gołe ciało, przez które dokuczało zimno¹⁷.

Po tak męczącym „przyjęciu” więźniów rozmieszczano w celach, politycznych razem z kryminalnymi. Przepełnione izby, w których przebywało od

¹⁴ Chodzi tu prawdopodobnie o jedno z centralnych więzień w guberni charkowskiej we wsi Pieczeniugi – „Nowobielogorodskaja Centralnaja Tjurma”. Oprócz tego E. Płoski wspomina także o więzieniu dla politycznych znajdującym się w Szlisserburgu.

¹⁵ E. Płoski, Wspomnienia..., op. cit., s. 18-19.

¹⁶ Ibidem, s. 20.

¹⁷ Ibidem, s. 21.

40-56 więźniów, wyposażone były w „nary”, rodzaj drewnianych łóżek do spania (bez sienników), duży ceber zwany „parasza” przeznaczony do potrzeb więźniów, mały piec i „ikonę” na ścianie, dwa małe okienka były zakratowane. Więźniowie spali na boku w ubraniach do przykrycia służył im 50-60 centymetrowy wołok.

Noc jednak nie przynosiła im ulgi, w ciężkim katorżniczym życiu, a była jeszcze większą udręką:

Bo gdy wreszcie zmęczony i wyczerpany organizm zapadał w sen, zjawiali się inni wrogowie – milionowe zastępy pluskiew, swobodnie spacerujących od jednego ciała do drugiego, w poszukiwaniu obfitej i smacznej krwi ludzkiej. Gdy pluskwy w swym pochodzie po żer zbyt natrętnie lazły do oczu lub nozdrzy, ręka sama odruchowo robiła porządek, po czym czerwone smugi własnej lub cudzej krwi, wyciśnięte z rozduszonych pluskiew, upiększały mordy (bo trudno to nazwać twarzami) zamkniętych w tym piekle zwierząt, zwanych niby to ludźmi¹⁸.

Jedzenie podawano więźniom na korytarzu, przed celami. Posiłki poprzedzała modlitwa. Na śniadanie kubek herbaty (cegiełkowej) bez cukru i czarny chleb, po dwa funty. Na obiad o godz. 12-tej.

Zupa zwana „bałanda”, jakaś lura z rzadka trafiły się kartofle, trochę kapusty, trochę jakiejś kaszy, całość szara, brudna na wygląd. Oddzielnie podawano mięso na wetkniętych w nie patykach, również brudne, obślizgłe, nie wiadomo przez ile rąk dotknięte, w ilości zresztą minimalnej¹⁹.

Na kolację do drewnianych szaflików rozlewano wodnistą zupę, czasem kaszę gryczaną. Towarzyszący posiłkom brud (nie myto naczyń) i niska jakość pożywienia np. chleb pieczono z mąki żytniej i z jęczmiennej z dużą ilością plew podczas jedzenia ranił podniebienie, powodował, iż więźniowie rezygnowali z pożywienia.

Nagrodą dla więźniów była ich praca w miejscowych warsztatach: stolarskim, szewskim i ślusarskim. Tu liczyli się dawni rzemieślnicy. Dla niektórych był to istny raj, gdyż pracy więźniów nie kontrolowano, a nawet zlecano im naprawy, za które dostawali drobne datki w postaci tytoniu, herbaty, cukru i czegoś do jedzenia. Dzięki pracy w zakładzie stolarskim Edmund Płoski miał co jeść. Doczekał się też przeniesienia do innej celi, mniej licznej 10 osobowej, gdzie siedzieli przykuci do tacek groźni zbójcy i polityczni. To oni uratowali mu życie przynosząc ukradzione kawałki mięsa i chleba. Nawet pobyt w miejscowym szpitalu, nie przywrócił mu jednak utraconego wówczas zdrowia. Ciągłe jednak czekał na podróż do miejsca swego zesłania, na odległą wyspę Sachalin.

W czerwcu zaczęto formować partię więźniów na Sachalin, która miała odjechać przez Charków i Odessę, aby stamtąd wyruszyć w uciążliwą drogę morską. Wreszcie nastąpił wymarsz więźniów, ustawionych czwórkami otoczonych konwojującymi żołnierzami „Chrzęst kajdan zastępował muzykę”. Dla słabszych i „szlachetnie urodzonych” zorganizowano furmanki. Płoski, mimo że „przysługiwał mu ten przywilej” nie skorzystał, lecz podążył w szeregu razem ze swymi towarzyszami niedoli. Do przejścia mieli około 70 kilometrów, co zdaniem autora „dla nas był to drobiazg”. Dzień był ładny i dystans kilku wiorst skazańcy przeszli w ciągu 5-6 godzin. Nocleg spędzili w stodole na sia-

¹⁸ Ibidem, s. 23.

¹⁹ Ibidem, s. 31.

nie, co było luksusem w porównaniu z gołymi deskami w więzieniu. Tu także dostali kolację, gdyż od rana nic nie jedli.

Dalsza droga prowadziła do Charkowa do tego samego więzienia, gdzie już przebywali po zakończeniu jazdy koleją. Tam oczekiwała na Edmunda żona, która także została skazana na zesłanie. Ciężkie warunki i przebyta droga sprawiły, że nie poznała ona męża, dopiero po usłyszeniu głosu, rzuciła mu się na szyję. Kilka dni spędzonych w więzieniu charkowskim umożliwiło żonie codzienne odwiedziny Edmunda. Przyjechał też do Płoskiego z Kijowa teść Onufrowicz i było to pierwsze i ostatnie spotkanie rodzinne oraz okazja do napisania pożegnalnych listów do kolegów i przyjaciół. Młodzi znów musieli się rozstać. Myśl, jak uda im się przebyć ciężką drogę na Sachalin, i czy będzie im dane następne spotkanie, tym razem na wiele lat, zawładnęła ich umysłami?

Z charkowskiego więzienia zesłańcy zostali doprowadzeni na dworzec kolejowy. Tam umieszczono ich w towarowych wagonach. Pociąg przeznaczony był wyłącznie dla aresztantów, których liczba wynosiła około 350-400 ludzi, a może i więcej. Droga trwała długo, pociąg zatrzymywał się na stacjach. Po kilku dniach przybył do Odessy: „wiozący nas pociąg skierowano wprost na przystań i wylądowano nas, jak towar, do jakiejś szopy, w której przebyliśmy kilka godzin” – wspominał po latach nasz katorżnik. Tu odbyła się też inspekcja polegająca na badaniu stanu zdrowia.

Wieczorem skierowano zesłańców na statek. Był to duży okazały parowiec, należący do składu tak zwanej floty ochotniczej. Zwał się „Niżnij Nowgorod”. Odbywał stale kursy z Odessy na Sachalin, dookoła południowych półwyspów azjatyckich: Arabii, Indii i Indochin, przewożąc zesłańców skierowanych na Sachalin, a z powrotem przywoził do Odessy herbatę z Szanghaju i trochę towarów z Indii. Pomieszczenia dla więźniów znajdowały się pod pokładem w przedniej części statku.

Pod pokładowe magazyny towarowe przegrodzono żelaznymi kratami i utworzono w ten sposób z każdego boku okrętu długie korytarze, po jakie 50 lub więcej metrów długości, a około 5 metrów szerokości. Środkowa część okrętu, mniej więcej takiej samej szerokości, przeznaczona była dla straży, zawierała w sobie otwory do dolnych pięter statku oraz schody łączące korpus okrętu z pokładem. Wzdłuż boków okrętu ciągnęły się pomosty z dwóch pięter tzw. „nary”. W nich mieli odbywać drogę aresztanci, przeważnie w pozycji leżącej, gdyż do ruchu mógł służyć tylko wąski około 2 1/2 metra pas podłogi, co dla 200 mniej więcej pasażerów kazamaty utrudniało wszelkie ruchy. W jednym końcu tej kazamaty, ku przodowi statku, mieściła się na pewnym podwyższeniu o 2-3 stopnie niewielka ubikacja, przeznaczona do mycia się oraz miejsce ustępowe. W tej ubikacji wolno było palić tytoń, nie było tam bowiem nic drewnianego, w kazamacie zaś sypialnej najsurowiej było zakazane palenie. W ścianie okrętu, pod samym sufitem (pokładem) było z dziesięć okienek okrągłych, wielkości dużego talerza, przez które z trudnością przechodziła głowa. Przepuszczały one trochę światła i trochę świeżego powietrza, o ile morze było spokojne i można było trzymać te okienka (tzw. iluminatory) otwartymi. Podczas dużej fali okienka zamykano i zaśrubowywano szczelnie ramy, tak, iż otworzyć je rękami było niemożliwe. W tym stanie jedyną wentylacją były rury przeprowadzone na pokładzie oraz otwór w środkowej kazamacie prowadzącej na pokład. W gorącej strefie wentylacja ta była niewystarczająca tak dalece, że ludzie wewnątrz kazamatów dusili się z braku powietrza. Od czasu do czasu ten i ów mdlał, wynoszono go na pokład, oblewano wodą, czucono i z powrotem wprowadzano do kazamaty. Takich omdleńców, nieraz kilkadziesiąt

osób na dzień wynoszono. Dla odświeżenia powietrza w kazamacie, wyprowadzano wszystkich na pokład pod prysznic, na tak zresztą szczupłej powierzchni urządzonej, że ludzie musieli ściśle stać, ciało przy ciele. Świeża oceaniczna woda, oczywiście mocno orzeźwiająca, ale tak szczelne stykanie się ciał powodowało zarażanie się wzajemne chorobami skórnymi, zwłaszcza nagminnie nieraz w tej ciasnocie i brudzie panującymi owrzodzeniami tropikalnymi (po rosyjsku „tropiczeskija syp”). Nie była to choroba złośliwa, łatwo dawała się leczyć, ale sprawiała dużo cierpień, bo puchły przy tym gruczoły pachwinowe, utrudniało to wszelkie ruchy i sprawiało dotkliwy ból. Po wyjściu w okolice chłodniejsze, owrzodzenia goiły się same przez się dość prędko²⁰.

Wielką uciążliwością, zwłaszcza w tropikach, okazała się woda do picia. W wielkiej beczce, ściśle przykrytej była woda rzeczna lub destylowana, wcześniej używana do chłodzenia maszyn napędzających statek. Więźniowie mogli ją pić przez rurki. Urządzenie to siałoby choroby i obrzydzenie i tylko nieliczni z niego korzystali.

Najwyższą władzę na okręcie posiadał „grodonaczalnik” (gubernator) z Odessy. Miał szerokie uprawnienia, mógł skazać na karę śmierci każdego bez sądu. Gdy zdarzył się na pokładzie pożar wywołany przez więźniów, kazał ich dla przykładu za występki powiesić, egzekucji jednak nie wykonano. Winni otrzymali tylko po kilkadziesiąt batów, z czego się bardzo cieszyli.

Morska choroba, upały i brak powietrza oraz dokuczliwe zimno towarzyszyły zesłańcom w poszczególnych strefach klimatycznych mijanych po drodze. Przez małe okienka nie zawsze można było podziwiać krajobrazy. Na autorze nie zrobił wrażenia widok Konstantynopola. Przez Kanał Sueski podróż trwała dwa dni, po tym statek wypłynął na Morze Czerwone. Wielką niespodzianką dla więźniów było wyprowadzenie ich małymi grupkami na pokład i rozkucie z kajdan:

Jakże lekko i swobodnie stąpały nogi bez tego ciężaru, a zwłaszcza jak przyjemnie było pozbyć się tego ustawicznego brzęku, jakie sprawiało chodzenie dziesiątków ludzi. Ten brzęk zrazu był dla słuchu i dla mózgu istną torturą. Z czasem słuch i mózg stępiały i na to już cierpieniem nie reagowały. Ale cierpienie to w jakiejś podświadomości istniało i od czasu do czasu przybierało charakter ostrzejszy. To tak zwane przyzwyczajenie się do czegoś, nie oznacza wcale, aby to coś przestało sprawiać cierpienie, tylko na to cierpienie już się uwagi nie zwraca. Zrzucenie kajdan było pierwszym krokiem ku wolności²¹.

Wielkie upały jakie miały miejsce w czasie płynięcia przez Morze Czerwone stanowiły istne tortury, wielu zesłańców mdlało nawet kilka razy dziennie. Ten pięciodniowy okres był czasem wielkich tortur. Dopiero wyjście na Ocean Indyjski stało się dobrodziejstwem, choć wiał wiatr i więźniowie chorowali na morską chorobę, to lepiej znosili ten stan niż męczące upały. To one sprawiły, że wielu pasażerów zrzuciło ubrania i chodziło nago. Także upały powodowały brak apetytu, choć jedzenie znacznie się poprawiło. Była zupa z mięsem, taka sama jak dostawali marynarze, w ilościach dowolnych. W portach, do których zawijano w Kolombo i Singapurze, zakupiono dla więźniów owoce południowe, a nawet dawano im czerwone wino i zwiększono porcje herbaty. Miały one zapobiegać rozwojowi szkorbutu wśród aresztantów. Wielką sensacją okazało się rozdanie mydła o zapachu ananasowym, które niektórzy w całości skosztowali.

²⁰ Ibidem, s. 57-58.

²¹ Ibidem, s. 65.

W lipcu podróżujący przekroczyli równik. Dopiero w pobliżu Nagasaki zrobiło się chłodniej i stan zdrowia wielu się poprawił. Szczęśliwie okręt, na którym płynął Płoski nie nawiedziły te uciążliwe epidemie, co miało miejsce na innych statkach np. na „Kostromie”, na którym płynęły na Sachalin kobiety, a wśród nich żona Płoskiego i rodziny zesłanych. Było tam dziennie około 60 śmiertelnych wypadków. Po parodniowym pobycie w Nagasaki okręt wyruszył do Władywostoku. Teraz wszyscy musieli wkładać na siebie ubrania, aby uniknąć wielkich chłódów, zwłaszcza nocą. Niektórzy otrzymali nawet kożuchy, choć była połowa sierpnia. Tygodniowy postój we Władywostoku był rodzajem kwarantanny. Na pokład weszła komisja lekarska, oglądała więźniów, badała płuca i serca. Nikogo nie zatrzymano. Wszyscy gorączkowo wypatrywali Sachalinu. Wielu pytało, jak daleko jest Sachalin od Ameryki? Czy myślano o ucieczce do tego dalekiego i lepszego kraju – kto to wie? Z wielkim niedowierzaniem przyjmowano wyjaśnienia Płoskiego o nierealnych marzeniach, co do możliwości ucieczki.

W końcu sierpnia²² „Niżnij Nowgorod” przybył do wybrzeży Sachalinu. Wszyscy chcieli zobaczyć ten groźny ląd, gdzie mieli spędzić dalsze życie. Jednak mgła zasnuła całą wyspę:

Okręt stał na kotwicy daleko od brzegów, kołysząc się na falach. Od czasu do czasu rykiem syreny zawiadamiał mieszkańców o swoim przybyciu i czekał na przybycie łodzi do wyładowania ludzi i towarów. Oczekiwaliśmy tego z niecierpliwością i my. Życie więzienne ma to do siebie, że zawsze pragnie się zmiany, choć się nawet wie, że zmiana będzie na gorsze. Ale terazniejszość, choćby nawet, jak na stosunki więzienne, dość łagodna, prędko w beczynności i ciągłej przymusowej kontemplacji dokucza, zawsze pragnie się zmian i wydaje się, że już gorzej, jak obecnie, być nie może. To też wśród aresztantów zwłoka w przybyciu łodzi do wyładunku powodowała niecierpliwą żądzę przyśpieszenia wyładunków²³.

Przybyły trzy wielkie łodzie, do których zmieściło się po 50 osób. Wszystkich pasażerów statku było 800, więc łodzie przybywały kilkakrotnie. Wielka fala, rozkołysane morze i deszcz sprawiły postrach wśród pasażerów. Widziany brzeg ciągle się oddalał, a małe łódeczki przechylały się na bok, wywołując paniczny strach:

Ta godzina jazdy do przystani wywołała wśród aresztantów więcej strachu, niż cała podróż z Odessy do brzegów sachalińskich. Ale wszystko ma swój koniec. Stańliśmy szczęśliwie, choć mocno przemoczeni, na pomoście przystani²⁴.

Wielkim utrapieniem dla więźniów było wielokrotne ich sprawdzanie, porównanie z dokumentacją i liczenie. Ten ceremoniał trwał wiele godzin od rana do południa, na pomoście pod gołym niebem. Wreszcie przeprowadzono zesłańców do magazynów portowych gdzie ponownie trwała procedura liczenia i odbierania rzeczy „kazionnych”. Dopiero pod wieczór zesłańcy zostali odprowadzeni do półziemianek, mających charakter baraków drewnianych częściowo wkopanych w ziemię. Umieszczano w nich do 100 ludzi. Barak, w jakim zamieszkał Płoski, miał nawet nowe i czyste „nary”, okna bez krat, otwarte drzwi

²² E. Płoski przybył na Sachalin 17 sierpnia 1886 roku.

²³ E. Płoski, op. cit., s. 70.

²⁴ Ibidem, s. 71.

wejściowe bez strażników, co było wielkim zaskoczeniem dla zesłańców oraz co najważniejsze nie było w nim pluskiew:

Przemęczony przez gęstą mgłę, zmęczony całodziennym oczekiwaniem nieznanego losu, głodny, nic od rana w ustach nie miałem, rzuciłem się na twarde, ale czyste nary i zanim przywieziono do tej kazamaty obiecany posiłek wieczorny, zasnąłem snem kamiennym. Obudziłem się nazajutrz już jako sachaliński więzień. Coś niezmiernie przyjemnego zaświtało w mym mózgu po przebudzeniu, coś jakby wyzwolenie z więziennego życia do życia wolnego, choć w skali miniaturowej. Chciało się krzyknąć nareszcie! A przecież to wyzwolenie było tylko otwartą bramą do życia katorżniczego. Ten przeblysł uczucia człowieka wolnego, promień radości, jaki się zrodził na jeden moment po przebudzeniu, znikł prędko zabity świadomością realnego życia. Ale na jedną chwilę dał uczucie radości. Wizja przeszła prędko, przysła natomiast zaduma, jak się to ułoży życie na nowym siedlisku?²⁵

Rankiem zesłańców wyprowadzono na plac przed barakiem, gdzie przywitał ich naczelnik więzienia słowami „zdrastwujcie rebiata”. Wyjaśnił, że władze tutejsze zupełnie nie interesują się przeszłością więźniów, ani ich przestępstwami, jakie popełnili. O ich losie na wyspie będzie decydowało ich sprawowanie się tu i teraz. Kto chce pracować, może nawet dostać pewne ulgi i prędej zakończyć termin kary. Nikt go nie będzie pilnować, ani zakuwać w kajdany, może w granicach osiedla chodzić swobodnie, może nawet uciekać, jak chce nikt mu przeszkadzać nie będzie. Nie ma straży przy koszarach i ziemiankach ani murów dookoła budynków, ale nie ucieknie daleko, bo cała wyspa jest więzieniem, oblana naokoło morzem, a w lasach z głodu zdechnie. Za złe sprawowanie krnąbrność i nieposłuszeństwo groził batami. Więźniowie otrzymali trzy dni na odpoczynek, po tym terminie mieli stawić się do pracy.

Miasto, w którym przyszło spędzić wiele lat zesłania Płoskiemu, Aleksandrowsk było stolicą wyspy i siedzibą gubernatora. Osiedle zbudowano na wzgórzu w odległości półtora kilometra od morza. Składało się z drewnianych domów, nie posiadających kanalizacji. Wodę rozwożono beczkowitzami. W większych budynkach mieściły się siedziby urzędów i władz. Była poczta i telegraf oraz urząd gubernialny, administracja więzienia i koszary. Mała cerkiewka górowała nad miastem. Szpitala jeszcze wówczas nie było. Mieszkali tu także oficerowie, urzędnicy oraz lekarze, architekci i różni rzemieślnicy, którzy przybyli tu ze względu na możliwość uzyskania lepszych zarobków, niż było to możliwe w innych rejonach imperium.

Więzienie było w rozbudowie i stanowiło je dwa budynki. Mieściło około 600 ludzi, ale docelowo było przeznaczone dla 3000 skazanych. Większość więźniów lokowano w olbrzymich ziemiankach wkopanych od 1,5 do 2 metrów w głąb ziemi, oszalowanych po bokach i przykrytych darnią ułożoną na żerdziach, stanowiących spadzisty dach. Wąskie szpary oszklone, wystające nad poziom ziemi to okna, słabo przepuszczające do wnętrza promienie słoneczne. W każdej takiej półziemiance mieszkało od 150 do 200 ludzi, panował półmrok i zaduch. Do ogrzania nie wystarczały dwa piece stojące przy drzwiach. Podłoga, ciągle zdeptana błotem, mieściła nary do spania. Porządku pilnował „starosta” wyznaczany, zwykle człowiek niezdatny do pracy: przykuty do taczek, albo niedołęga:

²⁵ Ibidem, s. 72.

Gdy wszedłem po raz pierwszy do jurty, w której ulokowano dwóch z pośród naszej piątki politycznych zesłańców, miałem uczucie takie, jakby mnie ktoś uderzył ciężkim jakimś, ale miękkim przedmiotem w głowę. Zachwiałem się gwałtownie wdychając w płuca jak najwięcej powietrza i dopiero po dwóch, trzech minutach mogło się oddychać normalnie. Lokatorzy jednak do tego przywykli i zdaje się, nic szkodliwego w tym zaduchu dla siebie nie czuli. Do wszystkiego człek się przyzwyczaja²⁶.

Zesłańcy z małymi terminami kary, którzy przybyli na wyspę z rodzinami mogli się starać o pozwolenie zamieszkania poza terenem więzienia. Zwykle wynajmowali oni izby od byłych zesłańców, którzy gdy po odbyciu orzeczonej kary pozostali na wyspie, gdzie imali się różnych zajęć i nawet wybudowali domy. Za te „wolne kwatery” trzeba było słono płacić²⁷ i tylko praca zarobkowa lub pomoc rodzin z kraju mogła rozwiązać ten problem mieszkaniowy. Wielkim problemem było jedzenie. Więźniowie korzystali z kuchni wspólnej. Posiłki zwykle składały się z zupy ugotowanej z kapusty z niewielkim dodatkiem mięsa. Suszone ryby stanowiły podstawę wyżywienia. Autor wspomnień przetrwał ten ciężki czas dzięki przebiegłości żony, która srebrne monety o nominale 20 lub 40 kopiejek obszyła materiałem tak, iż udawały guziki, zatem nie zostały zabrane podczas rewizji, której podlegali więźniowie. Za te drobne pieniądze Płoski kupował od innych zesłańców kartofle, które piekł na karczowisku. Trudniej mieli mieszkający poza więzieniem, oni sami musieli zadbać o wyżywienie, szycie odzieży i kłopoty dnia codziennego.

Płoskiego razem z innymi więźniami wyznaczono do pracy fizycznej przy karczowaniu lasu i transporcie drewna. Cieszył się, że nie dostał się do pracy w kopalni. Praca była ciężka. Dwa dni w miesiącu zesłańców zwalniano od pracy w celu naprawy własnej odzieży i obuwia. Obchodzono jedynie święta prawosławne. Praca wypełniała każdy dzień:

Ale katorga była istotnie karą ciężką, bo całe nastawienie życia i społecznego stanowiska katorżnika, było skierowane do zabicia w nim tych resztek ludzkiej godności, jakie w nim jeszcze tkwiły. Katorżnik powinien był wyrobić w sobie psychologię niewolnika i to w całości, szczerze i bez zastrzeżeń uznać siebie za niewolnika. Wówczas był jego byt mu znośny²⁸.

Na ciężkiej pracy upłynęły pierwsze miesiące zsyłki. Edmund często dawał sobie pytanie, jak żyć? lub jak przetrwać? Inteligent nie nawykły do ciężkiej fizycznej pracy miał wiele trudności. Bolały go mięśnie, w nocy zmagął się z duchową rozpaczą:

Czas, ten najlepszy nie tylko lekarz, ale i wychowawca, okazał swą pomoc. W fizycznej pracy mięśnie się hartowały i nabierały twardości, która pomagała w wykonywaniu pracy fizycznej, a psychika „pana i szlachcica” po trosze musiała się przystosować do wymogów rosyjskiego „demokratyzmu”. Muszę jednak przyznać, że ze strony współaresztantów i dozorców robót, o ile tylko wiedzieli, iż mają do czynienia z więźniem politycznym, nie tylko nie było chęci dokuczania temu byłemu „barynowi”, ale przeciwnie, prawie bez wyjątku spotkałem się

²⁶ Ibidem, s. 75.

²⁷ Za jedną noc rubla lub za miesiąc dwa ruble.

²⁸ E. Płoski op. cit., s. 93.

ze współczuciem, może niekiedy drażniącym, ale zawsze życzliwym i chętnym do pomocy²⁹.

Życzliwość okazywali również polscy zesłańcy, którzy już „zagospodarowali się” na Sachalinie. To oni przynosili pożywienie. Takie oto zdarzenie opisuje Płoski:

Jakiś były aresztant, obecnie już gospodarz we własnej chałupie, Polak, dopytywał się o politycznych Polaków i gdy do nas współwięźniowie go skierowali, postawił przed nami garnuszek pełen gorących kartofli, bo tu pewnie jeszcze nie przyzwyczailiście się do tej aresztanckiej „bałandy”, której i świnie u nas nieraz żryć nie chcą³⁰.

Dodatkowym atutem na przetrwanie dla Płoskiego było oczekiwanie na żonę, która miała przy płynąć okrętem razem z rodzinami zesłańców, aby dzielić zesłanie z mężem. Zaczął też poszukiwać miejsca, gdzie mogliby zamieszkać wspólnie. Nie było to sprawą łatwą. „Przejadł”, bowiem wszystkie pieniądze zaszyte w odzieży, nie miał żadnych innych środków. Udało mu się jednak wynająć kwatery od małżeństwa byłych katorżników. On był kowalem, a ona praczką. Byli na Sachalinie już od 6 lat, pracowali i dorobili się własnego gospodarstwa. Wynajęta połowa domu składała się z kuchni z piecem i małego pokoju 3x4 metry. Obok w sionce były zwierzęta: krowa i świnia oraz kury. Koszt wynajmu wynosił 9 rubli miesięcznie i jak twierdził Płoski za roczny czynsz można było wybudować nowy dom. Po uzyskaniu pozwolenia na zamieszkanie „na wolnych kwaterach” przydzielono Płoskiego do pracy w stolarni. Praca ta umożliwiła własnoręczne wykonanie mebli: łóżka, dwóch zydli i stołu.

Statek „Rossija” w połowie października przywiózł 3000 ludzi: wśród nich było 800 zesłanych mężczyzn i 400 kobiet oraz 600-700 osób z rodzin skazanych, którzy dobrowolnie jechali do swych mężów, drugie tyle było kolonistów pragnących zasiedlić nowe ziemie i batalion żołnierzy do garnizonów wojskowych we Władywostoku. Załoga statku i kilkadziesiąt pasażerów pierwszej klasy stanowili resztę podróżnych. Żona Płoskiego, po przeżyciach w więzieniu w Krakowie i Cytadeli Warszawskiej oraz w Charkowie i Odessie, ciężko zachorowała na okręcie i dostała się do szpitala więziennego. Dopiero po kilku dniach silnej gorączki odzyskała przytomność na Morzu Czerwonym. Jako niedoszła lekarka (studentka medycyny) została zauważona przez personel i pozostawiona w szpitalu jako pielęgniarka udzielająca pomocy innym pasażerom. Na statku panowały epidemie: tyfus, szkarlatyna, ospa i gruźlica. Wielu pasażerów zmarło, trupów nie można było wrzucać do morza, a w gorącym klimacie ciała szybko się rozkładały. Wielkim problemem były dzieci, których rodzice zmarli. Dużym utrudnieniem dla podróżnych była czterotygodniowa kwarantanna już na brzegach Sachalinu. Długa droga morska przebyta nieraz w warunkach zbliżającej się zimy, w temperaturze minus 5-6 stopni, mroźnych wiatrów, nocowania w szopach i ziemiankach po dotarciu do celu bez odpowiedniego jedzenia i pitnej wody, pochłonęła wiele ofiar.

Płoscy zamieszkali w wynajętym mieszkaniu. Cały ich inwentarz stanowiła para białych królików, które żona kupiła w Odessie. Przetrwały podróż statkiem,

²⁹ Ibidem, s. 103.

³⁰ Ibidem, s. 103.

żywiąc się pozostałościami koszyka i deskami okrętowymi, nie przeżyły jednak ciężkich warunków na Sachalinie. Obydwa króliki w następną zimę zdechły. Byt rodziny znacznie się jednak poprawił, gdyż obydwójce zostali zatrudnieni nielegalnie jako nauczyciele dla dzieci dowódcy batalionu podpułkownika Meiera i urzędnika Feldmana. Oboje zarabiali 40 rubli srebrnych miesięcznie, co pozwoliło na godne życie, mimo wielkiej drożyzny. Pomagali też innym.

Według Płoskiego na utrzymanie rodziny administracja więzienia wypłacała 3 ruble srebrem, a że każda rodzina miała 3-4 dzieci, więc kilka rubli co miesiąc wpływało. Ponadto zesłaniec otrzymywał tak zwany „pajacyk” – ordynację miesięczną, która wynosiła: 65 funtów (po 400 gramów) mąki, 5 funtów kaszy, 7 funtów solonego mięsa lub 20 funtów solonej ryby, trzy garnitury bielelizny (z workowego płótna), ubranie – kurtka i spodnie corocznie oraz płaszcz aresztancki raz na dwa lata. Pomoc płynęła też z kraju, głównie od rodzin i od organizacji pomagającym więźniom (odzież).

Sachalin był wówczas jeszcze w początkowej fazie kolonizacji i mimo, że nie brakowało tu urzędników i wojskowych, częstokroć byli oni jednak słabo przygotowani do pełnienia określonych funkcji. Płoski wkrótce awansował i został pisarzem w kancelarii komendanta policji całego okręgu. Nawiązał też kontakty z innymi mieszkańcami. Bywał w domu Wandy Dudinowej, żony miejscowego urzędnika, która jednak wyrobiła sobie odpowiednią pozycję dzięki wypełnianemu zawodowi felczerki i akuszerki.

Prowadziła ona dom na dość kulturalnym poziomie. Wprowadziła karty i wódka były nieuniknione, ale zawsze miały swoje granice, umiar, a po tym były na porządku dziennym i pewne ideowe kwestie. Toteż dom Wandy Stanisławowny był bardzo uczęszczanym sachalińskim salonem, do którego jego pani i nas zapraszała³¹.

Korzystając ze względnej wolności korespondencji Płoski napisał też kilka listów do polskich gazet: „Prawdy”, „Przeglądu Tygodniowego” oraz „Kurier Porannego”, prosząc o bezpłatne przesyłanie ich na Sachalin dla „podtrzymania kontaktu z polskością”, jednak żadne z tych pism nie zareagowało.

Pierwsza trudna sachalińska zima, około minus 30-40 stopni mrozu, spowodowała gorszy stan zdrowia żony naszego zesłańca. Nie mogła ona udzielać lekcji, co znacznie przyczyniło się do uszczuplenia budżetu rodzinny. Udało się jedynie im poprawić warunki mieszkaniowe. Rodzina zamieszkała w oficynie domu gubernatora, którą musiała wyremontować własnym kosztem. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi z piecami i oknami.

Po dwóch latach pobytu postanowiono zbudować własny dom. Poprawiła się sytuacja finansowa. Miejscowy gubernator Gintze postanowił założyć szkołę dla dzieci urzędników. Wezwał do siebie Edmunda i zaproponował, aby obydwójce z żoną pełnili obowiązki nauczycieli. Opiekunką szkoły została mianowana żona naczelnika okręgu o nazwisku Lindenbaum. Płoski został zatrudniony w szkole oficjalnie jako palacz, a jego małżonka jako nauczycielka, z pensją 25 rubli miesięcznie. Szkoła z powodzeniem rozpoczęła działalność, lecz zaczęły się intrygi i donosy. Pisano w nich, że przestępca polityczny katorżnik, a na dodatek katolik uczy dzieci rosyjskie. Szczególnie zajadłe walczył miejscowy pop. Na jakiś czas Edmunda ponownie skierowano do pracy fizycz-

³¹ Ibidem, s. 123.

nej poza szkołą, a nawet musiał przebywać w więzieniu. Żona na znak solidarności z mężem złożyła wypowiedzenie z pracy. Szkoła zaprzestała działalności. Dopiero interwencja rodziców dzieci przyniosła pozytywne rezultaty. Powrócono do poprzedniego rozwiązania. Autor wspomnień z dumą napisał: „Odruch tej małej mi znanej ludności przekonał mnie iż w tej sferze miałem pewne uznanie i sympatię”.

Stała praca pozwoliła zaoszczędzić trochę pieniędzy. Oprócz udzielania lekcji żona szyła suknie dla miejscowych dam. Nadwyżki przeznaczono na budulec. Na imię żony (Płoski jako katorżnik nie miał prawa stawać do publicznej licytacji) na licytacji kupili stary dom w centrum miasta. Ruderę rozebrano i postawiono nowy budynek. W trzecim roku zesłania Płoscy mieli własny dom. W jego wyposażeniu pomagał ojciec z Kijowa. Przysyłał farby, tapety, okucia do drzwi i okien oraz inne detale. Przy wyjeździe z wyspy (po 12 latach zesłania) sprzedali dom za sumę przeszło tysiąc rubli.

Mimo, że poprawiły się warunki bytowe i Płoscy zyskali powszechny szacunek Edmund ciągle jednak martwił się o losy swych przyjaciół. W więzieniu pod Charkowem zwanym „Centralem” pozostało jeszcze dziesięciu Proletariatczyków wśród nich skazani na katorgę na Sachalinie: Adam Sieroszewski i Hilary Gostkiewicz. Przybyli oni na tę wyspę dopiero w końcu maja następnego roku. Statek „Kostroma”, którym odbywali zesłańczą drogę miał wypadek przy brzegach południowych Sachalinu. Więźniowie ledwo ocaleli, gdyż woda wlewała się do magazynów pokładowych i sięgała ludziom do szyi. Szczęśliwie ewakuowano pasażerów i przewieziono ich innym statkiem. Incydent ten był potwierdzeniem faktu, że podróż statkiem była wielkim niebezpieczeństwem dla pasażerów, zwłaszcza, że były to jednostki przestarzałe, a ich techniczne wyposażenie nie wyglądało najlepiej. Przybycie wspomnianych dwóch Proletariatczyków uspokoiło Płoskiego i z troskliwością zajął się nimi wspomagając w trudnych początkach zesłańczego bytowania. Przez pewien czas A. Sieroszewski, kuzyn znanego badacza Jakutów Wacława Sieroszewskiego³², zamieszkał u Płoskich i pomagał im w budowie nowego domu. Jak pisze Edmund:

Jedynie z Adasiem Sieroszewskim związaliśmy się mocnymi więzami przyjaźni. Zamieszkał z nami i przez lat blisko dziesiątek prowadziliśmy wspólną gospodarę³³.

Dodajmy tu jeszcze jeden ważny wątek związany z zesłańczym pobytym Polaków na Sachalinie odnotowany we wspomnieniach Płoskiego. Dotyczy on przybyłych na wyspę katorżników skazanych za przygotowywanie zamachu na cara Aleksandra III w 1886 roku. Byli wśród nich Rosjanie: Michał Kanczer³⁴,

³² A. Sieroszewski, *Wacław Sieroszewski w kręgu rodziny i przyjaciół*, [w:] *Wacław Sieroszewski zesłaniec – etnograf – literat – polityk*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego i M. Marczyka, Wrocław 2011, s. 19.

³³ E. Płoski, op. cit., s. 134.

³⁴ Nazwisko Kanczer podaje za E. Płoskim. A Kuczyński pisze, że do spisku należał Michał Kenczer. Bronisław Piłsudski miał zdobyć truciznę do bomby od właściciela składu aptecznego w Wilnie Tytusa Paszkowskiego „przybył po nią Michał Kenczer z Petersburga. Obaj bracia Piłsudscy służyli mu za przewodników, umożliwili pobyt w mieście i przejęcie owej śmiertelnej trucizny. Zamach się nie powiódł, a spiskowcy zostali aresztowani. Zeznania Kenczera obciążły braci Piłsudskich. Bronisław otrzymał pierwotnie karę śmierci, którą zamieniono na 15 lat katorgi, a Józef uwolniony

Piotr Gorkun, Stiepan Wołochow i Polak Bronisław Piłsudski, wszyscy studenci Uniwersytetu Petersburskiego³⁵. Byli to ludzie związani z „Narodną Wolą”, którzy nie chcieli poddać się uniformizacji w myśleniu narzuconym przez władze i podjęli jedną z form terroryzmu politycznego jakim był zamach na cara. Tu dodajmy, że B. Piłsudski, przebywający przez wiele lat na Sachalinie pozostawił po sobie bogatą spuściznę naukową, która go przeżyła i uważany jest współcześnie za najwybitniejszego badacza kultury Ajnów, opisom której poświęcił szereg artykułów sprawnych warsztatowo, pisanych dobrym językiem o ciekawej faktografii i narracji, do dzisiaj zaskakujących uczonych zajmujących się etnografią, folklorem oraz religią Ajnów, Niwchów i Oroków. Takie świadczenie własną osobą na rzecz pozytywnych wartości wypełniało bez reszty zesłańcze życie B. Piłsudskiego, rzeczywistości w jej najbardziej dotykającym wymiarze, rzecz można w światoodczuwaniu. Życie wśród tubylczych ludów Sachalinu przekształciło się u niego w próbę zrozumienia nie tylko kulturowego, lecz i ekonomicznego ich bytowania, z której wyszedł zwycięsko. Przypomnienie tego faktu w związku z jego osobą łączy się w jakiś sposób ze wspomnieniowymi zapiskami E. Płoskiego, w których odnajdujemy następujący fragment:

Pamiętam ten pierwszy dzień spotkania się z nim, jego wielką radość, gdy usłyszał pierwsze na Sachalinie słowa polskie. Zabrałem go do swojego mieszkania. Tam się dziecko rozpląkało i szczerze, ze wszystkimi szczegółami, dzieje swego zesłania opowiedział. Padł ofiarą tragicznej sądowej omyłki, tak częstej w systemie sprawiedliwości rosyjskiej. Miał licznych kolegów Rosjan z czasów gimnazjalnych i z nimi w Petersburgu stosunki utrzymywał, nie wiedząc zresztą i nie interesując się tym, co oni robią, Marzył o nauce i o swej w tej dziedzinie karierze w przyszłości. W liczbie bliskich kolegów miał niemal za najbliższego Kanczera. Prócz osobistych zalet tego młodzieńca zbliżyły Bronisława do niego i stanowisko ich rodzin i zbliżony poziom kultury. Toteż byli w Petersburgu przyjaciółmi. Jako przyjacielowi, udzielił on Kanczerowi na jego prośbę swego pokoju. Miał bowiem ten pokój osobne wejście i był izolowany od sąsiedztwa. Kanczer pozorował tę prośbę potrzebą takiego pokoju na koleżeńskie zebranie, odczyt lub coś podobnego. Oczywiście Bronisław zdawał sobie sprawę, że zebrania koleżeńskie i odczyty lub czytanie wspólne jakichś książek, legalnymi nie było, nigdy jednak nie przypuszczał i myśl taka do głowy mu nie przychodziła, aby tam knowano spiski terrorystyczne lub preparowano bomby. A jednak to właśnie robili owi koledzy Kanczera i on sam w tym uczestniczył. Gdy spiszek wykryto, uczestników z bombami w ręku, zatrzymano, Kanczer w depresji, jakiej uległ w więzieniu, tak częstej zresztą wśród niewyrobionych młodzieńców, nie tylko wydał Piłsudskiego, ale co gorsza, widocznie chcąc się ratować, zeznał to co mu kazano, że Piłsudski świadomie dawał swe mieszkanie na tę robotę rewolucyjną i w Petersburgu i w Wilnie. Zaprzeczenie tych oskarżeń przez Piłsudskiego, uprzedziło tym bardziej żandarmów w mniemaniu, iż Piłsudski należał do organizatorów zamachu i był niemal jego mózgiem. Na sądzie Kanczer prawdzie cofnął swe zeznania, ale to już nie pomogło. To też, gdy młodzień-

został z zarzutu udziału w przygotowaniu zamachu i zeznawał jako świadek. Skazano go jednak na 5 lat zesłania.” Przebywał na Syberii Wschodniej w Irkucku, Kiereńsku i Tunce. Józef Piłsudski, *Bunt więzienny w Irkucku*, [w:] A. Kuczyński, *Syberia...*, op. cit., s. 314-315.

³⁵ Blżej o tym zamachu zob. F. Nowiński, *Bracia Piłsudcy i zamach na cara Aleksandra III 1 marca 1887 roku*, [w:] *Bronisław Piłsudski (1866-1918). Człowiek – Uczony – Patriot*, pod red. A. Liscar i M. Sarkowicz, Zakopane 2003, s. 19-44.

com tym ujętym z bombami pod pachą na Newskim Prospekcie, gdzie miał przejeżdżać car, dano po 10 lat katorgi, Piłsudskiemu dano lat 15. W drodze jechali razem w jednym przedziale okrętu. Tu Kanczer przeproszał Piłsudskiego za swoją zbrodnię względem niego, błagał o przebaczenie i przebaczenie to, od gołębiego serca Bronisiowego, uzyskał. Obiecał on mu i przebaczenie i zapomnienie tej winy i nie skarzenie się towarzyszom. Mnie to opowiadał, zobowiązując słowem honoru do zachowania tajemnicy. Tajemnica jednak się nie utrzymała, bez żadnego zresztą naszego udziału. W mieszkaniu naszym, bardzo zresztą ubogim i prymitywnym, z gołymi z belek ścianami, z podłogą pełną szpar, ale staraniem rąk kobiecych nieco ozdobionym Bronisław poweselał. Wydawało mu się, że wolność wraca, że jest znów na wsi, w oficynie ojcowskiego majątku i w gronie rodzinnym. W więziennej kazamacie wydał mi się znacznie ponad swój wiek starszym, może wskutek zmęczenia, które odbijało się na jego twarzy. Tutaj, przeciwnie, widziałem przed sobą młodego chłopca, jasnego blondyna, z drobnymi łagodnymi niebieskimi oczyma, ożywionego i rozweselonego. Wyraz tępej rozpaczki, jaki widziałem w koszarze, na jego twarzy, zniknął niemal w całości. W rozmowie o czekającej go przyszłości, snuł obrazy pogodne, pełne nadziei³⁶.

W informacji tej powiada autor, iż B. Piłsudski w prowadzonej z nim rozmowie „snął obrazy pogodne, pełne nadziei”. Stąd wniosek, że mimo przerwania życiowych planów związanych ze studiami na Uniwersytecie Petersburskim zakładał, iż życie konstytuuje się oraz spełnia poprzez jakieś nadzieje oraz przez umiejętność współżycia z innymi. Jak się później okazało właśnie ta „umiejętność”, i rzec można wychylenie się ku ludziom i ich potrzebom, nadziejom i dążeniom stale wspomagała go podczas długoletniego pobytu na tej katorżniczej wyspie, z której wyjechał na początku XX wieku i przybył do Krakowa.

Wróćmy jednak do pierwszych dni pobytu B. Piłsudskiego na wyspie. Rozmowy z Płoskim oraz poznawanie terenu nowego miejsca sprawiły, że szybko minął trzydniowy okres przeznaczony na wypoczynek po podróży. Przyszedł okres pracy fizycznej, choć dzięki znajomościom Płoskiego przybyli razem z Bronisławem katorżnicy polityczni tylko do obiadu wykonywali swą pracę. Resztę dnia mogli odpoczywać lub przebywać poza więzieniem do godziny 21, gdy sprawdzano obecność. Po paru tygodniach pobytu w Aleksandrowsku zesłańcy byli wysyłani w głąb wyspy. Kanczer trafił do więzienia w Małym Tymowie. Stał się tam pomocnikiem naczelnika więzienia. Ceniono go za umiejętną organizację pracy więźniów. Z czasopisma „Swobodna Rossja” miejscowi dowiedzieli się o jego roli w zamachu i pomówieniu Piłsudskiego. Występku tego nie wybaczone Kanczerowi. Powołano sąd koleżeński, który skazał winnego na śmierć dobrowolną i jak pisze Płoski: „Po kilku dniach Kanczer podwójną bronią, bo dozą trucizny i kulą rewolwerową wyrok na sobie wykonał”.

Inni zesłańcy zostali skierowani do okręgu tymowskiego i osiedlani w dużej wsi Rykowskoje. Wśród nich znalazł się także B. Piłsudski. Naczelnikiem tamtejszego okręgu był Kozak Butakow, uważany za dobrego gospodarza. Jego podstawowym zadaniem było zagospodarowanie powierzonego terytorium przez zesłańców. Dolina rzeki Tymi płynącej na wschód do oceanu nadawała się do rolnictwa i hodowli bydła. Był tu jednak ostrzejszy klimat niż w Aleksandrowsku. Zimy jeszcze bardziej surowsze, a lato nawet cieplejsze z mniejszą ilością opadów, co przyspieszało dojrzewanie zbóż. Zesłańcy: Alekandrin, Wo-

³⁶ E. Płoski, op. cit., s. 144-146.

łochow i Gorkun po otrzymaniu ziemi i zwierząt założyli nawet spółdzielnię rolniczą, ale spory „ideowe” wkrótce przekreśliły ten pomysł. Płoski pisze, że Juwaczow i Piłsudski otrzymali jako pole swej pracy, stację meteorologiczną oraz mieszkanie przy niej i do końca pobytu swego w Rykowsku mieli ze swoją katorgą względny spokój³⁷.

Pierwsze lata pobytu na zesłaniu były dla każdego Polaka okresem najcięższym. Płoski podzielił się swymi wspomnieniami tylko z okresu trzyletniego. Mimo, że wspomnienia zostały napisane po latach to jednak pobyt na Sachalinie wrył się głęboko w jego pamięć. Świadczą o tym nazwiska zarówno Polaków jak i Rosjan. Pięknie opisuje dziką i niedostępną przyrodę, a także środowisko miejscowe w Aleksandrowsku. Te opisy zasługują jeszcze na upowszechnienie. Wspomnienia napisane w 1938 roku zamierzał kontynuować, lecz wojna i śmierć w 1942 roku zniweczyły te plany.

³⁷ Ibidem, s. 149.

DAMIAN BIENIAS

„LODOWY MARSZ” V DYWIZJI SYBERYJSKIEJ ORAZ OKOLICZNOŚCI POWROTU JEJ ŻOŁNIERZY DO POLSKI NA STATKU „JAROSŁAW”

W połowie września 1919 r. odbyła się konferencja sojusznicza w Irkucku, na której gen. Pierre Janin, szef francuskiej misji wojskowej, powiadomił przedstawicieli wojsk biorących udział w interwencji w Rosji, że został mianowany dowódcą operacji ewakuacyjnej na Daleki Wschód. Polska misja wojskowa została o tym fakcie poinformowana miesiąc później, tj. w połowie października. Nie podano dokładnej daty rozpoczęcia ewakuacji, ale już wtedy wyznaczono kolejność wycofywania się wojsk. W pierwszej kolejności miały udać się dywizje czeskie, później pułk jugosłowiański, legia rumuńska, pułk serbski i batalion łotewski, a jako ariergarda dywizja polska¹.

Upadek władzy admirała Aleksandra W. Kołczaka, wynikał nie tylko z postępów Armii Czerwonej, ale z ogólnego upadku autorytetu dyktatury, przekształconej w carski despotyzm, oraz skorumpowanego i samowolnego aparatu administracyjnego, będącego jawnym bandytyzmem. Totalizm władzy wojskowej, doprowadził do masowej ewakuacji, a potem ucieczki, wojsk kołczakowskich i sojusznicznych². Jeszcze w pierwszych dniach listopada (!), gdy admirał Kołczak uciekał już na wschód³, zorganizowano paradę oddziałów polskich wraz z bankietem w dowództwie polskim. Trudno było o bardziej rusofilskie ukazanie serwilizmu polskich dowódców wobec kołczakowszczyzny⁴.

¹ J. Skorobohaty-Jakubowski, *Kapitulacja V-tej Syberyjskiej dywizji w świetle prawdy historycznej*, „Sybirak”, nr 13 (1) 1937, s. 3-4.

² W. Scholze-Srokowski, *V Dywizja Strzelców Polskich na Syberii*, [w:] A. Kuczyński, *Syberia. Cztery lata polskiej diaspory. Antologia historyczno-kulturowa*, Wrocław – Warszawa – Kraków 1993, s. 353; A. Ostojka-Owsiany, *Drogi do niepodległości*, Warszawa 1989, s. 102-103; por. Depesza szefa polskiej misji wojskowej na Syberii mjr Jarosława Okulicz-Kozaryna do Ministerstwa Spraw Wojskowych o groźbie rozbicia armii admirała Aleksandra Kołczaka po odejściu na wschód kontrrewolucyjnych oddziałów wojskowych czechosłowackich i polskich – 4 XI 1919 r., Omsk. Zob. *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, oprac. W. Gostyńska i in., t. II, Warszawa 1961, s. 423-424.

³ A. Kołczak opuścił Omsk dopiero 13 listopada 1919 r., a więc stosunkowo późno, zob. B. Chłusewicz, *W obronie honoru żołnierzy 5-tej Dywizji Syberyjskiej*, „Sybirak”, nr 13 (1) 1937, s. 13.

⁴ P. Smolik, *Przez lądy i oceany. Przygody jeńca w Azji w czasie Wielkiej Wojny. Sześć lat na Dalekim Wschodzie*, Warszawa – Kraków [1921], s. 110.

Niepowodzenia armii Kołczaka wytworzyły stan bardzo podniecający. Zamęt wewnętrzny i zewnętrzny dawał się mocno we znaki. Przeczuwano smutny początek końca i przepowiadano nam zagładę⁵.

Niektórzy, szczególnie ci związani z Syberią, opuścili pod osłoną nocy swoje eszelony, aby uchronić się przed ewentualną katastrofą. „Swego rodzaju „przygotowania”⁶ Polaków do ewakuacji rozpoczęły się już na wyprawach karnych, gdzie zbierano zapasy żywności i przede wszystkim wagonów.

Dzięki pomysłowości i zaradności podwładnych, [Dowództwo Wojsk Polskich – D.B.] mogło z chwilą ewakuacji rozporządzać trzema pancernikami [tj. pociągami pancernymi – D.B.], dwoma pociągami sanitarnymi, kilkudziesięciu lokomotywami, kilkuset wagonami ciężarowymi, zaopatrzonymi przeciwko mrozom i przysposobionymi do dłuższego transportu⁷.

Dużą w tym rolę odegrał płk Kazimierz Rumszy, który zdobył 60 pociągów oraz wcześniej nakazał przekształcić 3 pociągi w pancerniki „Poznań”, „Kraków”, „Warszawa”⁸.

Już wcześniej Dowództwo opracowało szczegółowe plany ewakuacji, łącznie z kolejnością transportów, utworzeniem punktów intendencji i obliczonym zapasem wagonów, lecz projekt ten nie zaakceptował gen. Pierre Janin⁹. Do Polski mieli wrócić nie tylko żołnierze, ale również ich rodziny, zesłańcy syberyjscy oraz byli powstańcy¹⁰. Jednak wrażenie jakie sprawiało Wojsko Polskie z końcem lata 1919 r. było takie, jakby nikt do rychłej ewakuacji nie był przygotowany. Wręcz przeciwnie – wyglądało to tak, jakby żołnierzom w Nowonikołajewsku żyło się bardzo dobrze¹¹.

Rozpoczęta ewakuacja sił sojuszniczych nie pociągnęła za sobą ewakuacji sił polsko-litewskich. Dwa bataliony 1. pułku i batalion litewski, będący częścią V DSP, pod dowództwem kpt. Józefa Werobeja wysłano na stację Czeriepanowo, gdzie miały osłaniać Nowonikołajewsk od strony południowej¹².

⁵ P.P.Tyszka, *Z tragicznych przeżyć w V Syberyjskiej Dywizji i w niewoli (1918-1921)*, „Sybirak”, nr 12 (4) 1935, s. 18-19.

⁶ Przygotowania do ewakuacji dywizja prowadziła na własną rękę wbrew rozkazom gen. Janin; zob. B. Chłusewicz, op. cit., s. 14-15.

⁷ W. Scholze-Srokowski, op. cit., s. 358. Płk Jan Skorobohaty-Jakubowski twierdził, że na jesień 1919 r. dywizja nie była przygotowana do ewakuacji ze względu na brak taboru kolejowego, znajdującego się w rękach Czechów i kołczakowców, zob. J. Skorobohaty-Jakubowski, op. cit., s. 4. Czesi zgromadzili ok. 20 000 (!) wagonów i lokomotyw, zob. A. Ostoja-Owsiany, op. cit., s. 103.

⁸ H. Bagiński, *Wojsko Polskie na Wschodzie 1914-1920*, Warszawa 1990, s. 575; A. Ostoja-Owsiany, op. cit., s. 108. Płk Chłusewicz twierdził, że pociągów było 57, zob. B. Chłusewicz, op. cit., s. 15.

⁹ H. Bagiński, op. cit., s. 573; A. Ostoja-Owsiany, op. cit., s. 106.

¹⁰ J. Birkenmajer, *Polska dywizja w tajgach Sybiru*, Lwów 1934, s. 31.

¹¹ P. Smolik, op. cit., s. 107.

¹² J. P. Wiśniewski, *Odrębny Batalion Litewski im. Witolda Wielkiego przy 5 Dywizji Strzelców Polskich*, [w:] *Nad Bałtykiem. W kręgu polityki, gospodarki, problemów narodowościowych i społecznych w XIX i XX wieku: księga jubileuszowa poświęcona profesorowi Mieczysławowi Wojciechowskiemu: zbiór studiów*, pod red. Z. Karpusa, J. Kłaczkowa, M. Wołosa, Toruń 2005, s. 984-985.

Trudna sytuacja żołnierzy i brak wiadomości o ewakuacji, doprowadził do oskarżeń wobec polskiego dowództwa o pozostawienie Litwinów na pastwę losu, co podsycali sowieccy agitatorzy¹³. Wrzenie na stacji Czeriepanowo doprowadziło do buntu, w którym część żołnierzy litewskich – komunistów¹⁴, aresztowała oficerów, zabrała żywność i broń na sanie i uciekła wraz z całym batalionem, który zachowywał się biernie wobec wydarzeń, do partyzantów bolszewickich. Tam batalion zakończył swój żywot. Żołnierzy rozbrojono, kilku posiekano szablami bez sądu, a po przybyciu regularnych wojsk wcielono do Armii Czerwonej. Część zdemobilizowano ze względu na wiek powyżej 35 lat, a część (głównie buntowników z Czeriepanowa) trafiła do kopalń węgla jako „wojska robocze”. Większość Litwinów walczących w batalionie wróciła do kraju czy to drogą lądową przez Rosję Europejską, czy morską przez Mandżurię i Władywostok, dzięki pomocy Litewskiej i Polskiej Misji Wojskowej¹⁵, i służyła później w Wojsku Polskim. Smutny koniec współpracy polsko-litewskiej na Syberii dopełnił się tragiczną ironią w Krasnojarsku, gdzie Litwini, którzy służyli wtedy w bolszewickim 412¹⁶ Batalionie Wewnętrznym, pilnowali swoich wcześniejszych kolegów i dobroczyńców¹⁷ Polaków – jeńców z V Dywizji w tamtejszym obozie¹⁸. Polacy za to szczerze nazywali ich „bohaterskim” określeniem „Uciekajtisy”¹⁹.

Krótko podsumowując dzieje Batalionu Litewskiego przy V DSP należy podkreślić jak wielkie znaczenie zarówno polityczne, jak moralne i militarne, miało dla Litwinów utworzenie własnej jednostki, oraz jak Polakom, którzy chcieli wzmocnić swój prestiż wśród wojsk sojuszniczych, byli Litwini potrzebni. Ich udział w obronie Kolei Transsyberyjskiej okazał się być bardzo przydatny. Szkoda tylko, że tak nieszczęśliwie zakończony. Do przyczyn połączenia się Polaków z Litwinami na pewno należy dopisać sentymenty narodowe i historyczne. Dowodem tego było traktowanie Litwinów jak Polaków podczas poboru w punktach rekrutacyjnych. W końcu przez kilka wieków tworzyliśmy

¹³ Oskarżenia te były nieprawdziwe, zob. J. P. Wiśniewski, op. cit., s. 985. Agitację prowadzili litewscy komuniści, wcieleni do batalionu jako ochotnicy z litewskiego oddziału komunistycznego walczącego z atamanem Siemionowem, wzięci do niewoli przez Czechosłowaków, zob. tamże, s. 981.

¹⁴ O tym, że buntownicy byli komunistami wspomina również gen. Janin, zob. A. Domaszewski, *General Janin o Dywizji Syberyjskiej*, „Sybirak”, nr 11 (3) 1936, s. 38.

¹⁵ Akta dotyczące litewskiej misji wojskowej we Władywostoku, jak również pomocy polskiej dla Litwinów: CAW, WP na Syberii, I.122.91.73; zob. J. P. Wiśniewski, op. cit., s. 985.

¹⁶ R. Dyboski podaje, że był to 212 batalion, zob. R. Dyboski, *Siedem lat w Rosji i na Syberii 1915-1921*, Warszawa 2007, s. 141.

¹⁷ Słowo „dobroczyńcy” nie jest wcale na wyrost – poza Polakami żadne inne wojska sojusznicze: ani czechosłowacki, ani francuskie, ani łotewskie, nie były zainteresowane współpracą z Litwinami, a gdyby nie płk Rumsza, ich jednostka nie byłaby tak świetnie wyposażona. Litwini wiele więc Polakom zawdzięczali; por. J. P. Wiśniewski, op. cit., s. 973, 981, 986.

¹⁸ J. P. Wiśniewski, op. cit., s. 984-985; J. Neja, *Charakterystyka środowiska V Dywizji Strzelców Polskich na Syberii*, [w:] *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, pod red. A. Kuczyńskiego, Wrocław 1998, s. 283.

¹⁹ R. Dyboski, op. cit., s. 141.

jedną wspólną Rzeczpospolitą i uważano Litwę za nieodłączną część powstającego jak Feniks z popiołów nowego Państwa Polskiego²⁰.

Polska dywizja dopiero 26 listopada rozpoczęła ewakuację i „podążała” jako ariergarda sił kołczakowskich i sojusznicznych²¹. W tym czasie 3. pułk grzązł jeszcze 400 kilometrów od Nowonikołajewska na stacji Tatarskaja, gdzie blokowały go eszelony rosyjskie²². Wyznaczono do tego zadania również Czechów, ale nie dotrzymani oni umowy, w związku z czym cały ciężar osłony odwrotu gen. Janin zrzucił na Polaków²³.

Niestety znamy z historii bardzo liczne przypadki, gdy sprzymierzeńcy tak właśnie sytuowali polskie wojska, a Polacy, z różnych powodów, nie potrafili się takim żądaniom przeciwstawić²⁴.

Gdy Polacy rozpoczynali ewakuację wojska sojusznicze znajdowały się już we wschodniej Syberii, zaś formacje narodowe (czeskie, rumuńskie, serbsko-chorwackie i łotewskie) w drodze na tamte tereny²⁵. Pierwszym błędem organizacyjnym Dowództwa było nie wysłanie przodem rodzin żołnierzy, aby szybciej dotarli na Daleki Wschód, zaś drugim nie obsadzenie ostatnich eszelonów kawalerią, która w razie potyczki, bądź koniecznej ewakuacji, mogła wsiąść na konie i szybko uciec. Wyjazd polskich pociągów odbywał się na zasadzie „kto pierwszy (załaduje pociąg) ten lepszy”. Nagminne były wzajemne kradzieże wagonów. Fakt, iż w wagonach jechali żołnierze z rodzinami, obniżało ich sprawność bojową, a z transportów wojska tworzyły się „wagony uchodźców”, jak nazywali je bolszewicy²⁶. Wszystko każdy musiał zdobywać na własną rękę, począwszy od zwykłych desek, poprzez najróżniejsze niezbędne sprzęty²⁷. Nie udało się przodem wysłać uzbrojenia, składów mundurowych i żywnościowych, co napotkało sprzeciw dowództwa rosyjskiego. Jedynym eszelonem wysłanym przed pozostałymi był pociąg sanitarny nr 9 z rannymi i chorymi²⁸. Fakt, iż rodziny żołnierzy nie zostały wysłane, zawdzięcza dywizja płk Walerianowi Czumie, który przystał na prośbę kobiet, aby ich nie rozdzielać z mężami²⁹.

Należy tutaj krótko scharakteryzować sytuację kobiet w V DSP. Oprócz prawdziwych żon w wagonach mieszkały różne kobiety, żołnierskie „żony”. Każda z nich miała „swojego chłopca” i jeden nie miał prawa „dobierać się” do „żony” drugiego, zaś jeśli chciał sobie ją wymienić, mógł iść na dworzec kolejowy, gdzie był „ich duży wybór”. Zajmowały się m.in. praniem, cerowaniem, myciem menażek i naczyń. Jedne były bardziej lubiane, za dbałość o wszystkich mieszkańców wagonu i pracowitość, inne mniej, jeżeli były leniwe. Zdarzało się, że za lenistwo bądź zdradę szybko wyrzucano je na mróz. Przecież na

²⁰ Por. J. P. Wiśniewski, op. cit., s. 977, 986.

²¹ Komentarz do decyzji gen. Janin, zob. R. Dyboski, op. cit., s. 152; J. Skorobohaty-Jakubowski, op. cit., s. 4.

²² Ibidem, s. 5.

²³ P. P. Tyszka, op. cit., s. 19.

²⁴ A. Ostoja-Owsiany, op. cit., s. 106.

²⁵ W. Scholze-Srokowski, op. cit., s. 357.

²⁶ R. Dyboski, op. cit., s. 152.

²⁷ P. Smolik, op. cit., s. 111.

²⁸ Ale i ten miał wielkie problemy z jazdą Koleją Transsyberyjską, zob. W. Scholze-Srokowski, op. cit., s. 358; por. H. Bagiński, op. cit., s. 574; J. Skorobohaty-Jakubowski, *Kapitulacja V-tej Syberyjskiej...*, op. cit., s. 5.

²⁹ S. Bohdanowicz, *Ochotnik*, Warszawa 2006, s. 64.

dworcem można było sobie od razu wybrać inną. Każda miała być wierna swojemu „mężowi” płacąc mu za pobyt w wagonie i żołnierskie jedzenie darami swojej natury, z których żołnierze korzystali, gdy tylko mieli wolną chwilę³⁰.

Żony oficerów rosyjskich zachowywały się podobnie, z tą różnicą, że one chodziły do oficerów czeskich. Osobną kategorią kobiet były tzw. „paskarki”. Korzystały z tego, że w jednych miejscowościach był nadmiar jakiegoś towaru, a w drugich jego brak, co powodowało duże różnice w cenie. Zarabiały przewożąc je wojskowymi pociągami, zwłaszcza te, które były swobodnie dostępne dla żołnierzy³¹.

Będąc przy żonach i „żonach”, można przytoczyć anegdotę dotyczącą pewnej żony szturmaka, czyli członka batalionu szturmowego, właśnie z okresu ewakuacji. Ona, jako jedna z niewielu kobiet, miała pozwolenie na jazdę wraz z mężem. Los sprawił, że była jedyną damą w przedziale, więc wzbudzała wielkie zainteresowanie wśród pozostałych. Wszyscy jak tylko mogli, podglądali ją, gdy się przebierała, ale nigdy nie było z tego powodu problemów.

Raz tylko doszło do awantury. Jej małżonek którejś nocy miał wartę przy lokomotywie, o czym ona nie wiedziała bo spała. Gdy rano wrócił, była bardzo zdziwiona, że go przez noc nie było. Ten zrobił awanturę, chcąc się dowiedzieć, co za łajdak zastępował go w nocy. Omal nie doszło do bójki z najbliższymi sąsiadami, lecz niczego się nie dowiedział i sprawa ucichła³².

Polska dywizja, wraz z całym wyposażeniem oraz z towarzyszącymi jej cywilami i ich dobytkiem, ostatecznie zajęła 70 eszelonów i podążała za ogromną liczbą 250 eszelonów kołczakowskich, w większości należących do Czechosłowaków³³. Aby przetransportować tak wielką ilość sprzętu i taką liczbę ludzi (oraz koni, których było około 4000³⁴) już w sierpniu polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych za pomocą poselstwa w Paryżu chciało rozpocząć starania u sojuszników – Japonii i USA, o pozyskanie statków o odpowiednim tonażu dla przewozu V Dywizji³⁵. Ze względu na trudności wywołane przez wysoki koszt transportu, podporządkowanie polskich wojsk misji francuskiej, co koncentrowało wszystkie sprawy militarne przy gen. Janin, działalność Rady Koalicyjnej, która decydowała o tonażu okrętów, jeszcze w październiku 1919 r. nie podjęto negocjacji z żadnym z owych państw³⁶.

³⁰ Ibidem, s. 11-14.

³¹ Ibidem, s. 17-18.

³² Ibidem, s. 71-72.

³³ J. Sierociński, *Armia Polska we Francji. Dzieje wojsk generała Hallera na obczyźnie*, Warszawa 1929, s. 237. B. Chłusewicz twierdzi, że 57 polskich eszelonów było wymieszanych z około 200 pociągami kołczakowskimi pomiędzy stacjami Nowonikolajewsk i Tajga. Później ta liczba wzrosła do około 300 transportów ogółem pomiędzy oboma stacjami; zob. B. Chłusewicz, op. cit., s. 15.

³⁴ A. Domaszewski, op. cit., s. 40.

³⁵ Pismo wiceministra spraw zagranicznych Wł. Skrzyńskiego do Poselstwa RP w Paryżu w sprawie ewakuacji z Syberii kontrrewolucyjnych oddziałów polskich walczących przeciwko władzy radzieckiej – 14 VII 1919 r., Warszawa. Zob. *Dokumenty i materiały...*, oprac. W. Gostyńska i in., t. 2, s. 329-330.

³⁶ Pismo Poselstwa RP w Paryżu do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o sytuacji kontrrewolucyjnych oddziałów polskich na Syberii – 8 X 1919 r., Paryż. Zob. *Dokumenty i materiały...*, oprac. W. Gostyńska i in., t. 2, s. 394-396.

Szyk bojowy Wojska Polskiego formował się w następujący sposób: w pierw jechał pancernik „Warszawa”, następnie kilka uzbrojonych pociągów, eszelony gospodarcze i intendentury, gdzieś pośrodku pancernik „Kraków”, na końcu pociągi z bojowymi I i III baonem 1. pułku, batalionem szturmowym, baterią dział i pancernikiem „Poznań”. Całością straży tylnej dowodził kpt. Werobej³⁷.

Od samego początku wielkie trudności sprawiało poruszanie się po Kolei Transsyberyjskiej. Jednotorowa kolej przepelniona była niewyobrażalną liczbą pociągów. Syberia była zaminowana. Częste „problemy techniczne” Czechów opóźniały drogę. Na stacjach stały takie ilości wagonów i lokomotyw, że manewrowanie stało się niemożliwe. Tworzyły się kilkudziesięciokilometrowe korki przed semaforami. Lokomotywy zamarzały, opalano je drzewem z braku węgla, co szkodziło ich stanowi technicznemu. Brakowało wody, którą trzeba było uzyskiwać z roztopionego śniegu. Często „psuły się” zwrotnice, co uważano za wcale nie przypadkowe. Brakowało obsługi techniczno-kolejowej, którą zastępowała brygada inżynieryjna, ale to i tak było wciąż za mało. Do tego dochodziły zatargi między władzami polskimi a rosyjskimi lub czeskimi, np. strzelanina na stacji Marinsk³⁸.

Czesi oddawali linię kolejową Polakom ze średnią prędkością 20 km/dobę, podczas gdy Armia Czerwona wraz z oddziałami partyzanckimi i dezertującymi formacjami kołczakowskimi posuwała się z prędkością do 40 km/dobę. Wynikiem tego musiały być prędzej czy później potyczki z nadchodzącymi oddziałami bolszewickimi³⁹.

Wlekliśmy się okropnie. Jak okiem sięgnąć, na torach stała wstęga naszych eszelonów, czekających jeden za drugim wolnej drogi. Widok był dość ciekawy, zaśnięte wagony, a na dachach, hamulcach i gdzie się tylko dało – napakowane było drewno na opał. Po bieliznie damskiej i dziecięcej widać było, gdzie były rodziny⁴⁰.

Na każdej stacji kradziono prowiant, broń, wszystko co tylko się dało. Nie gardzono niczym. Nikt nikogo nie pytał skąd co ma, tylko wspólnie korzystano ze zdobyczy. Mówiono, że im więcej granatów przywiezie się do Polski, tym lepiej będzie uzbrojona polska armia. Tłumaczono się wzajemnie, że lepiej to i owo ukraść niż jakby mieli to dostać bolszewicy. Tak co stacja wyruszano całymi grupami na rabunek⁴¹.

Jak wolno przebiegała ewakuacja Nowonikołajewska bardzo dobrze uwiadczenia fakt, że z miasta nie wyruszyły jeszcze ostatnie pociągi, podczas gdy pierwsze eszelony Wojska Polskiego osiągnęły węzłową stację Tajga! Polacy przejmowali stacje kolejowe często siłą, wbrew woli rosyjskich dowódców. Obsadzano je żołnierzami z batalionu inżynieryjnego, przede wszystkim kompanią kolejową⁴². Zgodnie z wytycznymi gen. Janin’a, V DSP miała chronić

³⁷ H. Bagiński, op. cit., s. 577.

³⁸ W. Scholze-Srokowski, op. cit., s. 358; R. Dyboski, op. cit., s. 152-153; P.P. Tyszka, op. cit., s. 19.

³⁹ H. Bagiński, op. cit., s. 576; opis ewakuacji dywizji i jej problemów technicznych, zob. J. Birkenmajer, op. cit., s. 33.

⁴⁰ S. Bohdanowicz, op. cit., s. 71.

⁴¹ Ibidem, s. 74-75.

⁴² H. Bagiński, op. cit., s. 577.

kolej pomiędzy stacjami Nowonikołajewsk i Tajga, a także zapewnić funkcjonowanie kopalń Anżerskiej i w Sudżence⁴³.

Ostatnie polskie pociągi wyruszyły z Nowonikołajewska dopiero 9 grudnia 1919 r., uprzednio tłumiąc w mieście powstanie probolszewickie dwóch pułków kołczakowskich⁴⁴.

Cała Polska – z trzech zaborów razem – w niedoli, ale razem. [...] Legiony na Syberii – 5 Syberyjska Dywizja. Polski dawnej – przedrozbiorowej trzy części w jedno zlane. Losy przeznaczenia Polskę rozdzieliły, przepaliły ją w tygłu cierpień, [...] i losy dokonane ją połączyły [...] w zawierusze, w śniegach, znów w nędzy, głodzie [...]. Siwe szynele Legionistów 5 Dywizji wracają [...] białymi drogami męki⁴⁵.

Całe pociągi zamarały, a ich załogi nie tylko w obawie przed wpadnięciem w ręce czerwonych, ale i przed widmem śmierci z głodu i mrozu, zrozpaczone do ostateczności tragizmem położenia, zatraciły uczucia ludzkie. Wiedzione jedynie instynktem samozachowawczym, zdolne były do okrucieństwa dla ocalenia własnego życia. Krwawe walki o lokomotywy i o miejsce w wagonach były zjawiskiem normalnym⁴⁶.

Nikt nie miał wątpliwości oskarżając o taką sytuację przede wszystkim Czechów wraz z ich egoizmem i samowolą⁴⁷.

Można bez przesady powiedzieć, że rosyjską krwią został nasiąknięty każdy funt kawy, każdy kawałek chleba i każda sztuka towaru wywiezionego z Syberii do Czech⁴⁸.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Na barkach dywizji spoczął podwójny ciężar: obrony przed bolszewikami i niedopuszczania lokomotyw do zamarznięcia. Mróz paraliżował ruchy. Bez nasmarowania twarzy, uszu i rąk nie solonym sadłem nie można było wyjść na zewnątrz wagonu. Nikogo to nie zrażało. Wszyscy walczyli, aby zdobyć opał do lokomotyw, nie bacząc na sen, posiłek, odpoczynek i bezpieczeństwo⁴⁹.

Gdy pociąg ruszał, mając trochę wolnej przestrzeni, to jadąc z góry wpadał na poprzedni pociąg i rozbijał mu 3 lub 4 wagony. Jeśli tam pogniotło ludzi, to się ich wyrzucało na śnieg. Coraz słabsza lokomotywa wymagała skrócenia pociągu. Więc z nasypu ze 30 chłopów podważało wagon i ten staczał się, koziołkując pod akompaniament lamentów bab, porzucających swe graty. Bo to wojsko jechało z rodzinami i dobytkiem, dlatego też nie było zdolne do oporu. Obok pociągów dzień i noc sunęły sanie uciekinierów, którzy jednak, tak jak kawaleria, dotarli do Irkucka, o ile nie zginęli od tyfusu⁵⁰.

Biorąc czynny udział w zbieraniu „paliwa” należało uważać, by swój eszelon nie odjechał. Jedną z owych niebezpiecznych sytuacji opisał oficer inwententury Paweł Tyszka:

⁴³ A. Domaszewski, op. cit., s. 40.

⁴⁴ J. Skorobohaty-Jakubowski, op. cit., s. 5.

⁴⁵ W. Grzmielewska, *Wilno na szlaku Syberii*, „Sybirak”, nr 7 (3) 1935, s. 27-28.

⁴⁶ B. Chłusewicz, op. cit., s. 14.

⁴⁷ A. Ostoja-Owsiany, op. cit., s. 107-108.

⁴⁸ S.W. Wojstomski, *O polskiej legii syberyjskiej – artykuły*, Warszawa 1937, s. 63 [za:] A. Ostoja-Owsiany, op. cit., s. 108.

⁴⁹ P.P. Tyszka, op. cit., s. 19.

⁵⁰ A. Maciesza, *Ś.p. Prof. Inż. Michał Stanisławski*, „Sybirak”, nr 14 (1-2) 1938, s. 67.

Pociąg nasz stał z konieczności na moście, przystosowanym wyłącznie do przejazdu jednego tylko pociągu, bez poręczy, jak prawie wszystkie mosty syberyjskie. Był tak wąski, że z trudnością, trzymając się wystających części wagonów, można było przejść na drugą stronę. Jako dyżurny oficer eszelonu [...] musiałem szukać paliwa. Trzeba było przejść most. Będąc na środku mostu [...] usłyszałem gwizd lokomotywy. [...] Pociąg ruszał. Ogarnęło mię przerażenie. Puściłem żelazo drzwi i w pełnym uzbrojeniu, mając parę granatów ręcznych za pasem, schwyciłem się odruchowo jedynej wolnej, pokrytej lodem, deski. Podemną znajdowała się przepaść [...]. Zrobiłem rachunek sumienia, pożegnałem się w myśli z rodziną i modliłem się, aby tylko pociąg stanął. Lecz szybkość się zwiększała. Ujrzałem nadjeżdżającą lorę amerykańską. Zaćmiło mi się w oczach, poczułem silne uderzenie w bok i zimno leżącego na mnie śniegu. Byłem na drugiej stronie mostu⁵¹.

Jak się okazało pociąg Pawła Tyszki otrzymał rozkaz ustąpienia toru eszelonowi dowódcy dywizji – płk K. Rumszy.

Wśród wielu osób cywilnych ewakuujących się wraz dywizją warto wspomnieć postać Adolfa Ekesa, który został zwerbowany na krótki czas do Wojska Polskiego przez Władysława Owoca w Jełabudze⁵². Przeniósł się do Nowonikołajewska, gdzie wynajął mieszkanie. Dni spędzał w jednostce, a noce w domu. Długo tam nie zabawił, gdyż jego były wspólnik z fabryki „Mołnia”, której był właścicielem, inż. Kapłan, przekonał dowództwo polskie, że Ekes będzie bardziej przydatny jako producent ważnych dla wojska ogniw galwanicznych, niż jako szeregowy. Ekesa oddelegowano do Tomsku, gdzie powstała fabryka „Elektroda” zatrudniająca 200 osób⁵³.

W grudniu 1919 r., gdy pod Tomsk zaczęły podchodzić oddziały bolszewickie, ewakuowano fabrykę, która podążyła z V DSP jej eszelonami. Jednym wagonem jechały urządzenia, drugim pracownicy. Niestety fabrykę spotkał los taki sam jak dywizję pod Klukwienną. Rodzina Ekесów dostała się do niewoli. Powróciła do Tomsku, gdzie zaproponowano im ponowne uruchomienie „Elektrody”. Działała ona krótko, gdyż bolszewikom nie przypadł do gustu obrotny kapitalista. Jesienią 1920 r. Ekесowie rozpoczęli powrót do domu. Transportami do Finlandii, potem statkiem do Szczecina, pociągami do Częstochowy i do rodzinnego Lwowa, wrócili akurat na Święta Bożego Narodzenia⁵⁴.

12 grudnia 1919 r. ostatnie pociągi z oddziałami straży tylniej opuściły Nowonikołajewsk wraz z płk Rumszą, który nakazał zniszczenie mostu na Obie, jak tylko przekroczą go polskiej jednostki. Polecenie to nie zostało wykonane z powodu protestu Rosjan, którzy chcieli uratować swoje oddziały znajdujące się za linią wroga⁵⁵.

Gdy w grudniu 1919 r. płk Rumsza przybył do Tajgi nakazał przejąć kontrolę nad stacją polskim żołnierzom, mimo gróźb ze strony kołczakowskiego gen. Pepelajewa, który w tym czasie ewakuował swoją armię z Tomsku. Od tej pory przejeżdżały przez nią tylko polskie pociągi, aż do wycofania się straży tylniej. Niewiele to jednak pomogło, gdyż prawie wszystkie tory były zapchane

⁵¹ P. P. Tyszka, op. cit., s. 19-20.

⁵² Z. Lech, *Syberia Polską pachnąca*, Warszawa 2002, s. 275-277. O tym samym autorka cytowanej książki opublikowała wcześniej w „Życiu Warszawy” (nr 10, 1988) artykuł pt. *Nieznane losy Polaków. Syberyjska tułaczka*.

⁵³ Ibidem, s. 278.

⁵⁴ Ibidem, s. 278-280.

⁵⁵ A. Domaszewski, op. cit., s. 40-41.

przez oczekujące eszelony rosyjskie, zaś Czesi, którzy też jeszcze nie opuścili stacji, zablokowali pozostałe. Skutkiem tego były potyczki oddziałów kpt. Werobeja na wcześniejszych stacjach: Tutalskaja w dniu 19 grudnia (gdzie straż tylną zaatakowała regularna sowiecka 5. Armia) i Litwinowo w dniu 20 grudnia, a także o most na Obie, które trwały przeszło trzy dni. Ataki bolszewickie odpierano granatami ręcznymi i ogniem „Poznania”⁵⁶.

W ciągłym boju, dniem i nocą cofały się polskie oddziały straży tylnej. Przeświadczenie, że pierściami własnymi zasłaniają braci swych i tysiące rodzin polskich w pierwszych transportach, dodawało im ducha wytrwania, pomimo mroźnych grudniowych nocy syberyjskich⁵⁷.

Jeszcze przed osiągnięciem Tajgi przez straż tylną, osłabiło ją zniszczenie przez artylerię bolszewicką lokomotywy pancernika oraz uszkodzenie jego dział. W wyniku tego utraciła kilka pociągów podążających za „Poznaniem”. Skutki były fatalne, gdyż żołnierze, toczący nieprzerwane boje nie mieli gdzie wypoczywać, a walki toczyły się przy czterdziestostopniowych mrozach⁵⁸.

Okoliczności utraty pancernika były dosyć interesujące. Podczas postoju pociągu na stacji Tutalskaja żołnierze Zalewski i Tomaszewski uruchomili aparat telefoniczny podpinając go do kabla wiszącego nad torami. Niespodziewanie połączyli się z sowietami i, podając się za partyzantów bolszewickich, dowiedzieli się o okrażeniu przez wroga i planowanym ataku na stację Tajga. Znakiem rozpoczynającym atak miały być płonące wagony. Następnej nocy pancernik został niespodziewanie ostrzelany i zaatakowany. Mimo, że trzech Polaków, m.in. Tomaszewski, który stracił oko w walce, zdołało dostać się do wieżyczki i odeprzeć granatami natarcie na działo, nie zdołano go wykorzystać. Poza oddaniem pojedynczego strzału, nie udało się go więcej uruchomić, ponieważ bolszewicy je uszkodzili. Szturm ostatecznie odparto przy pomocy karabinów maszynowych i plutonu piechoty, który przybył z odsieczą⁵⁹.

Następnego dnia dowódca „Poznania” por. Czarnecki nakazał opuścić pociąg i przejść na znajdujący się w pobliżu opuszczony pancernik kończakowski. Tomaszewskiego wysłano na Tajgę, aby powiadomił mjr Wenera o planowanym ataku na stację. Znajdował się na niej w tym czasie inny polski pancernik, „Warszawa”. Niestety, gdy dotarł wagony już płonęły i rozpoczął się szturm. Tomaszewski jeszcze w trakcie bitwy zdołał wynieść ciężko rannego w nogę por. Czarneckiego z pola bitwy i na jednym z pociągów wycofać się ze stacji⁶⁰.

Tymczasem oddziały kpt. Werobeja i kpt. Dojana, nieprzerwanie tocząc boje, wkraczały piechotą na stację, która broniła się już przed bolszewikami, pod dowództwem mjr Wenera. Wcześniej ogołocona przez transporty wojskowe z opału i pozbawiona wody przez zniszczenie wieży ciśnienia przez uciekających kolejarzy, nie była dobrym miejscem ani do postoju ani do obrony⁶¹.

⁵⁶ H. Bagiński, op. cit., s. 578; J. Skorobohaty-Jakubowski, op. cit., s. 5; B. Chłusewicz, op. cit., s. 15.

⁵⁷ J. Rogowski, *Dzieje Wojska Polskiego na Syberii*, Poznań 1927, s. 42.

⁵⁸ H. Bagiński, op. cit., s. 578-579.

⁵⁹ W. Tomaszewski, *Na pancerniku „Poznań”*, „Sybirak”, nr 8 (4) 1935, s. 55-56.

⁶⁰ Ibidem, s. 56-57.

⁶¹ H. Bagiński, op. cit., s. 578-579; J. Rogowski, op. cit., s. 42; J. Skorobohaty-Jakubowski, *Cieniom towarzyszy broni pod Tajgą*, „Sybirak”, nr 8 (4) 1935, s. 53-54; B. Chłusewicz, op. cit., s. 15-16.

Bitwa o Tajgę 23 grudnia 1919 r. była największą i najkrwawszą stoczoną przez V Dywizję na Syberii. Przez długi czas odpierano ogniem kaemów zmasowane ataki bolszewickie. Sytuacja była beznadziejna dopóty, dopóki nie rozwinięto baterii oraz nie zajęto po dezercerujących kołczakowcach pociągu pancernego „Zabijaka”, nazwanego „Poznań II”, którym torowali sobie drogę. Rozciągnięto wtedy ostrzał ze wszystkich dział na napierające jednostki Armii Czerwonej, a po cofnięciu się za stację, rozwinięto szyk bojowy. Zadano wtedy największe straty nieprzyjacielowi, który na długo przestał nękać Polaków. Później straż tylna cofnęła się pieszo na stację Andzenka, 30 wiorst od Tajgi. Bolszewicy od tamtej pory zajmowali kolejne stacje dopiero wtedy, gdy wycofali się z nich Polacy⁶². „Jeszcze jedna taka Tajga – mówili – a cofnęlibyśmy się aż za Irtyśz”⁶³! Straty polskie wyniosły ponad 100 zabitych i kilkuset rannych⁶⁴.

Bitwa pod Tajgą była ostatnim epizodem wojennym 5-tej Dywizji Syberyjskiej i po raz ostatni po krwawej walce zebrali się jej żołnierze przy wieczerzy wigilijnej w swych bojowych „eszelonach”⁶⁵.

Nie wszystkim jednak był dany spokój. Poszczególne wagony odpierały natarcia wroga mimo zakończonej bitwy. „O wigilii nikt nie pamiętał”⁶⁶. Odmienne Święta Bożego Narodzenia spędził batalion kadrowy. Podczas gdy straż tylna przelewała krew pod Tajgą, kadrowcy spokojnie i bezpiecznie trwali w swoim niedogrzanym eszelonie na stacji Itat. Obsadzona i ubezpieczona bojowymi posterunkami, okazała się być szczęśliwą przystanią, chwilą wytchnienia w bożonarodzeniowym czasie. Niestety, niewielu Polaków spędziło następne Święta w ojczyźnie. Większość wtedy cierpiała w sowieckich więzieniach⁶⁷.

Tymczasem sytuacja polskich eszelonów nic się nie poprawiała. Postój na każdej stacji powodowany ewakuacją Czechów, brak węgla do lokomotyw, mrozy i wycieńczenie materiału ludzkiego, zarówno żołnierzy jak i cywilów – kobiet i dzieci, nieustanną pracą przy rąbaniu zamrożonego drzewa i noszeniu wiader śniegu, były widocznymi oznakami nadciągającej katastrofy⁶⁸.

Pod koniec grudnia 1919 r. polskie transporty dotarły do Krasnojarska. W tym czasie w Krasnojarsku rządził już nowy rząd eserowców. 24 grudnia płk Czuma wydał odezwę do nich, tłumacząc, że Wojsko Polskie jest neutralne wobec wewnętrznych spraw rosyjskich, dąży jedynie do ewakuacji na Daleki Wschód, a walki z bolszewikami podjęto jedynie w celu samoobrony. Bagiński twierdzi, że:

⁶² H. Bagiński, op. cit., s. 579; J. Birkenmajer, op. cit., s. 33-34; J. Rogowski, op. cit., s. 41-43; J. Skorobohaty-Jakubowski, *Cieniom towarzyszy...*, s. 54; A. Ostoja-Owsiński, op. cit., s. 110.

⁶³ J. Birkenmajer, op. cit., s. 34.

⁶⁴ J. Skorobohaty-Jakubowski, *Kapitulacja V-tej Syberyjskiej...*, s. 6. Płk Chłusewicz podaje znacznie większe straty: 200 ludzi, zaś po sowieckiej 2000; zob. B. Chłusewicz, op. cit., s. 16.

⁶⁵ J. Skorobohaty-Jakubowski, *Cieniom towarzyszy...*, s. 55.

⁶⁶ W „Sybiraku” z 1936 r. jest informacja opatrzona tytułem „Poległ, gdy wschodziła gwiazda betlejemska” o wspomnieniach umieszczonych w czasopiśmie „Naród i wojsko” (Warszawa, nr 36-37 z dn. 27.XII.1936 r.). W owej informacji jest zacytowany fragment tych „wspomnień”, gdzie wypowiada się Aleksy Kowalenko i mówi o zmarłym żołnierzu. On jest autorem słów „O wigilii nikt nie pamiętał”, ale nie wiem kto jest autorem wspomnień ani autorem tej informacji, gdyż nie jest to podane.

⁶⁷ A. Konopka, *Żołnierska gwiazdka na Syberii*, „Sybirak”, nr 3 (3) 1989, s. 8-9.

⁶⁸ H. Bagiński, op. cit., s. 580; B. Chłusewicz, op. cit., s. 16-17.

[...] na zmęczonych ciągłymi bojami żołnierzy [...] odezwa ta podziałała uspokajająco w mniemaniu, że już walka skończona, że bolszewicy [...] pozwolą im bez przeszkód posuwać się dalej⁶⁹.

Eszelony V Dywizji czekały przed Krasnojarskiem 3 dni, zanim wkroczyły do miasta⁷⁰. Rosła agitacja komunistyczna w dywizji, po otrzymaniu wiadomości, że „zakończono” wojnę polsko-bolszewicką. Coraz częściej głoszono, że dzięki pokojowi szybciej Polacy wrócą przez Zachód, tj. przez Rosję Europejską, aniżeli przez Wschód, tj. przez Władywostok⁷¹.

Żołnierz polski [...] zwątpił ostatecznie w celowość i pomyślny rezultat walk i trudów. Przed nim były olbrzymie, wiele tysięcy wiorst wynoszące przestrzenie, przez które wiódł jedyny zbawczy tor – zajęty przez nieustępliwego i silnego wroga – Czecha. Za plecami i wkoło był wróg bolszewik, [...] była cała olbrzymia sowiecka Rosja. Więc nie ma wyjścia [...] Jeśliby [...] nie miał tam przy sobie żony, [...] matki, [...], starego ojca itd., może by się nawet nie namyślał, ale porzucił ciepły wagon i z bagnetem w ręku ruszył na wschód i do ojczyzny... Lecz do wagonu przykuwała go rodzina, jak przykuwała i oficera, który tam nie mógł wezwać żołnierza, by ruszył za nim śmiało naprzód, bo wszakże i sam on drżał o los swej matki lub żony...⁷².

Tak wyglądała sytuacja polskiej dywizji. Gdy pod miasto nadciągnęła regularna armia sowiecka, oddziały eserowców rozebrały tory przed stacjami Mimino i Bugacz, które znajdowały się przed miastem, i zażądały rozbrojenia 8 pociągów zablokowanych w ten sposób, w których znajdowała się straż tylnia V Dywizji. Po gwałtownej, lecz krótkiej walce część żołnierzy poddała się wraz z rodzinami, a reszta, przedarłszy się przez okrażenie i Krasnojarsk, powiadomiła dowództwo o utracie kolejnych eszelonów. Płk Rumsza chciał w odwecie zbombardować Krasnojarsk i most na Jeniseju, ale zrezygnowano z tego zamiaru, chcąc ratować pozostałe pociągi⁷³.

W ostatecznym wyczerpaniu dywizja zatrzymała się 7 stycznia 1920 r. przed stacją Klukwiennaja, gdzie Czechosłowacy zamrozili 2 eszelony łotewskie, zaś na stacji kolejnych 19 eszelonów swoich i serbskich, aby Polacy nie mogli przedrzeć się dalej⁷⁴.

Ma się wrażenie, że Czesi z góry przeznaczili oddziały polskie na zagładę, byleby tylko ratować siebie i swoje mienie i że główną przyczyną klęski polskiej była nieszczerłość czeska⁷⁵.

⁶⁹ H. Bagiński, op. cit., s. 580-581.

⁷⁰ Por.: J. Skorobohaty-Jakubowski, *Kapitulacja V-tej Syberyjskiej...*, s. 6.

⁷¹ H. Bagiński, op. cit., s. 581.

⁷² P. Smolik, op. cit., s. 115.

⁷³ H. Bagiński, op. cit., s. 581-582; J. Rogowski, op. cit., s. 44; J. Skorobohaty-Jakubowski, *Kapitulacja V-tej Syberyjskiej...*, s. 6; B. Chłusewicz, op. cit., s. 17.

⁷⁴ J. Sierociński, op. cit., s. 240. *O zradzieckim rozbrojeniu V DSP wspomina Symonolowicz, zob. K. Symonolowicz, Miraże mandżurskie*, Warszawa 1932, s. 196. *O wydaniu bez sentymentu i zamrożonych eszelonach*, zob. R. Dyboski, op. cit., s. 136, 154. Bagiński pisze o 19 pociągach czeskich i łotewskich, zob. H. Bagiński, op. cit., s. 582. Rogowski pisze raz o 17 pociągach, raz o 19 czeskich i serbskich, zob. J. Rogowski, op. cit., s. 44, 84; podobne informacje podaje Chłusewicz, zob. B. Chłusewicz, op. cit., s. 17-18.

⁷⁵ J. Rogowski, op. cit., s. 43.

Wobec powyższej sytuacji Dowództwo postanowiło wysłać telegramy do gen. Janina i gen. Syrowego, dowódcy czeskiego. Proponowano w nich, aby Czesi przepuścili chociaż pociągi z rodzinami oraz chorymi i rannymi, w liczbie pięciu, gdyż tylko w takim wypadku V DSP mogła nadal spełniać swój obowiązek straży tylnej⁷⁶. Odpowiedź Czechosłowaków była prawie natychmiastowa, lecz tragiczna. Gen. Syrowy odmówił przepuszczenia eszelonów, twierdząc, że sytuacja dywizji nie jest groźna. Negatywnie wyraził się o depeszy płk Rumszy, mimo że poparli ją przedstawiciele państw sojuszniczych jadący z dowództwem V Dywizji – francuski płk Lubignac, angielski kpt. Muray i konsul USA mr. Ray⁷⁷.

Płk Czuma podjął decyzję o marszu na wschód. Żołnierze mieli iść pieszo, zaś kobiety, dzieci, amunicja i zapasy miały jechać na saniach. 10 stycznia – w dzień wymarszu, gotowe już były m in. baon szturmowy, 1. pułk, szwadrony jazdy i baterie. Jednak odpowiedź gen. Syrowego oraz agitacja części żołnierzy i oficerów, niezdecydowanych do marszu i bojących się o życie rodzin spowodowała, że Dowództwo wysłało do Armii Czerwonej delegację. Miała ona wynegocjować warunki kapitulacji⁷⁸. Wobec krytycznego położenia dywizji żołnierze spokojnie przyjmowali ewentualność sowieckiej niewoli, zniechęceni trudnościami ewakuacji przez Wschód, a zachęceni przez agitatorów bolszewickich szybkim powrotem do kraju⁷⁹. 10 stycznia płk Czuma wydał rozkaz kapitulacyjny:

nie mając możliwości dalszego posuwania się drogą na wschód, rozpocząłem pertraktacje z przedstawicielami wojskowymi i komisarzem sowieckiej Rosji, by wojsku naszemu i pojedynczym jego członkom zapewnić możliwie najlepsze warunki dalszej egzystencji. [warunki kapitulacji – DB] 1. WP po złożeniu broni zostaje w tych samych transportach odesłane do Krasnojarska; 2. gwarantuje się nietykalność osobistą członków WP; 3. pozostawia się żywność w transportach na przeciąg 15 dni; 4. zapewnia się nietykalność prywatnego mienia; 5. dokładniejsze warunki podane zostaną do wiadomości po zatwierdzeniu przez wyższe dowództwo w Krasnojarsku.⁸⁰

Sowieci oczywiście nie dotrzymali owych warunków. Żołnierze i oficerowie zostali albo zamknięci w obozie albo wysłani na ciężkie roboty, zaś kobiety i dzieci, po prostu, wyrzucono na krasnojarski bruk.

Płk Czuma postanowił zostać razem ze swoimi żołnierzami w niewoli sowieckiej, mimo, że namawiano go do ucieczki i miał taką możliwość⁸¹. Gen. Janin uważał, że Wojsko Polskie przeszło na stronę bolszewików „wśród okoliczności [...] nie wyjaśnionych”, twierdząc, że było to wynikiem powolnej organizacji ewakuacji przez Dowództwo Wojsk Polskich, „przekonanie, że rozmawiając z bolszewikami będzie się można przedostać na zachód”, oraz, że polską jednostkę tworzyli ludzie nie wypróbowani o różnych poglądach poli-

⁷⁶ H. Bagiński, op. cit., s. 582-584.

⁷⁷ J. Sierociński, op. cit., s. 239.

⁷⁸ H. Bagiński, op. cit., s. 584-585; J. Skorobohaty-Jakubowski, *Kapitulacja V-tej Syberyjskiej...*, s. 7; B. Chłusewicz, op. cit., s. 18.

⁷⁹ R. Dyboski, op. cit., s. 141-142, 154-155.

⁸⁰ H. Bagiński, op. cit., s. 585-586; P. Smolik, op. cit., s. 117-118.

⁸¹ A. Stępora, *Czuma Walerian*, [w:] *Encyklopedia białych plam*, pod red. A. Winiarczyka, t. IV, Radom 2000, s. 205.

tycznych. Ponadto nadmienia o braku węgla i lokomotyw, a także o dużej liczbie eszelonów w stosunku do ilości wojska⁸².

Płk Chłusewicz kategorycznie odrzuca zarzuty stawiane polskim dowódcom. Twierdzi on, że Dowództwo doskonale wiedziało o złym stanie rosyjskich wojsk frontowych i przygotowało plan ewakuacji przedłożony gen. Janin już w czerwcu 1919 r. [!], jednak z powodu wysokich kosztów utrzymania wojska w Mandżurii, gdzie walutą były jedynie dolary, jeny i ruble carskie, został on odrzucony. Ponadto „wiele czasu stracono na pertraktację z gen. Janin, który ostatecznie planu nie zatwierdził”, a w zamian wydał rozkazy tłumienia bolszewickich powstań w Kamieniu, Urmanie i w stepach kułundyjskich⁸³.

Żal za poniesione straty, brak możliwości wykorzystania zalet żołnierzy polskich, niewykonanie misji i rozpacz po niespełnieniu obietnicy powrotu do kraju z bronią w rękę, a także ogólne przekonanie, że warunki umowy nie zostaną dotrzymane (a tak też się stało), doprowadziło do tego, iż wielu Polaków targnęło się na swoje życie⁸⁴. Symboliczny wymiar miała sytuacja, gdy po kapitulacji jeden z żołnierzy załamał się i próbował popełnić samobójstwo. Jego kolega, który był harcerzem, wyciągnawszy mu rewolwer z dłoni, powiedział, żeby się nie przejmował, gdyż nic się nie stało, że to tylko jedna porażka, która nie przekreśli tego, że Polska już istnieje⁸⁵. Należy pamiętać, że pod Klukwieną dostał się do niewoli sowieckiej również „kwiat młodzieży polskiej – harcerzy”, jak napisała po latach Zofia Lech.⁸⁶

Po kapitulacji utworzyło się szereg małych oddziałów, głównie z żołnierzy 1 pułku, artylerzystów i kawalerzystów. Wśród nich chory płk Rumsza, mjr Dindorf-Ankowicz i kpt. Werobej. Udali się na wschód, na Irkuck, a potem na Harbin i Władywostok. Łącznie około 1800 osób⁸⁷. Część żołnierzy ukryła się w syberyjskich lasach, aby toczyć dalszą walkę z bolszewikami, bądź przedrzeć się do Polski, bądź (po prostu) przeżyć. Wśród nich byli m. in. Włodzimierz Scholze-Srokowski⁸⁸ i Kazimierz Falkowski⁸⁹. Mjr Werner i kpt. Dojan udając bolszewików przedarli się przez całą Rosję na zachód i dotarli do Polski, gdzie wstąpili do Wojska Polskiego⁹⁰.

Drugim kierunkiem, w który udali się Polacy, była Mongolia. Wybrali go m.in. Walerian Kulikowski z baonu inżynieryjnego⁹¹, Kazimierz Gintowt-Dziewałtowski, wiceprezes Polskiego Komitetu Wojennego, który po kapitulacji pozostał na Syberii, by działać społecznie wśród rodaków, a gdy ta działał-

⁸² Pismo Naczelnego Dowództwa WP do adiutantury generalnej naczelnego wodza i Biura Prezydialnego Ministerstwa Spraw Wojskowych z załączeniem streszczenia depeszy gen. Janin o losie 5 dywizji polskiej na Syberii – 29 II 1920 r., Warszawa, [w:] *Dokumenty i materiały...*, oprac. W. Gostyńska i in., t. II, s. 616-617.

⁸³ B. Chłusewicz, op. cit., s. 14.

⁸⁴ P. P. Tyszka, op. cit., s. 20.

⁸⁵ J. Neja, op. cit., s. 282.

⁸⁶ Z. Lech, op. cit., s. 272.

⁸⁷ H. Bagiński, op. cit., s. 586.

⁸⁸ A. Kuczyński, [Szkic biograficzny Włodzimierza Scholze-Srokowskiego], [w:] A. Kuczyński, *Syberia...*, s. 351-352.

⁸⁹ S. Lubdziecki, *Ś. p. Kazimierz Falkowski*, „Sybirak”, nr 10 (2) 1936, s. 70-71.

⁹⁰ J. Skorobohaty-Jakubowski, *Mjr. Emil Werner*, „Sybirak”, nr 9 (1) 1936, s. 20-21.

⁹¹ K. Giżycki, *Przez Urianchaj i Mongolię*, Łomianki b.r.w., s. 47, 119.

ność została wykryta przez Czeka, udał się do Ojczyzny właśnie przez Mongolię⁹². W Urianchaju walczył Kamil Giżycki również z baonu inżynieryjnego. Wielu Polaków wstępowało do partyzantki antybolszewickiej. Giżycki tłumaczy to w ten sposób: „to pozwalało mi niepokoić tyły wroga walczącego w tym samym czasie nad brzegami Wisły”⁹³.

Ci, co pozostali w pociągach, zajęli się handlem wymiennym z ludnością wiejską. Gdy chłopci dowiedzieli się, że w eszelonach są Polacy, to od razu zbiegli się by wytargować coś od bogatego wojska. Tak zapasy wojskowej intendencji szybko uszczuplały. Należy jednak podkreślić, że gros tych zapasów rozkradli czerwonoarmiści. Pozostałe materiały Polacy wymieniali na żywność. Później żołnierzy pieszo zapędzono do Krasnojarska, na tzw. „hauptwachtę”⁹⁴.

Podsumować należy wszystkie przyczyny bezpośrednie i pośrednie katastrofy V Dywizji: podziały wewnętrzne w wojsku, głównie tzw. dzielnicowe (międzyzaborowe), spory pomiędzy różnymi środowiskami polonijnymi na Syberii, atmosfera niepewności politycznej, ze względu na zmieniające się władze na Syberii, brak przedstawicielstwa polskiego w Radzie Międzysojusznicej we Władystoku, opóźnianie wyjazdu Wojska Polskiego z Syberii przez gen. Janin i adm. Kołczaka, bezwzględność gen. Janin w pozostawieniu V Dywizji w straży tylnej, błędy wojskowe polskiego dowództwa podczas ewakuacji, działalność agitatorów komunistycznych, bezwzględność Czechosłowaków w zatrzymywaniu polskich eszelonów, upadek ducha i morale oraz ogólne zwątpienie w powodzenie ewakuacji. To wszystko spowodowało, że Polacy skapitulowali⁹⁵.

Warto zadać pytanie, czy losy dywizji byłyby inne, gdyby należycie wykorzystano możliwości organizacyjne i mobilizacyjne na Syberii. Przecież zakładano stworzenie dwóch dywizji, które byłyby najznacniejszą siłą militarną wśród aliantów zaraz po Czechosłowakach. Czesi, którzy utworzyli front antybolszewicki na Uralu, w rzeczywistości dyktowali warunki. Na nich opierała się władza białych na Syberii. Gdy opuścili front, ów załamał się. Scholze-Srokowski uważał, że „efekt wystąpień tych 3-ch dywizji – to państwo czeskie w dzisiejszych granicach” (tj. z lat 1918-1938), lecz nie chciał pokusić się o fantazjowanie, jaki wpływ na wojnę polsko-bolszewicką i front uralski miałyby pojawienie się w 1918 r. dwóch dywizji polskich na Uralu⁹⁶. Nawiązując do tego rozumowania jasno przedstawił on przyczyny takiego postępowania pisząc:

przyczyną właściwą było niedocenianie przez część niektórych grup [Polaków] konieczności formowania wojska narodowego przy każdej nadarzającej się chwili, bez względu na teoretyczne niemożliwości i polityczne warunki. Nie pochodziło to bynajmniej z braku uczuć patriotycznych tych mas, ale z nieuzasadnionej obawy, że wojsko to może być użyte jako narzędzie dla cudzych interesów. Dopiero, kiedy przekonano się, że garstka Legionów potrafiła zbuntować się przeciwko całej potędze państw centralnych, wówczas dopiero oceniono wartość posiadania chociażby najmniejszej, ale własnej siły militarnej⁹⁷.

⁹² M. Poz, *Śp. Kazimierz Gintowt-Dziewałtowski*, „Sybirak”, nr 12 (4) 1936, s. 76.

⁹³ K. Giżycki, op. cit., s. 34. Polaków nazywano wtedy „mali Lawrence’y”, zob. W. Michałowski, *Testament barona*, Warszawa 1972, s. 104.

⁹⁴ P. P. Tyszka, op. cit., s. 21.

⁹⁵ J. Rogowski, op. cit., s. 87.

⁹⁶ W. Scholze-Srokowski, *Geneza Wojska Polskiego na Syberii*, „Sybirak”, nr 9 (1) 1936, s. 9.

⁹⁷ Ibidem, s. 10.

Kpt. Moorrey [Murray], którego cytuje płk Chłusewicz w artykule pt. *W obronie honoru żołnierzy 5-tej Dywizji Syberyjskiej*, taką wystawia ocenę moralną dywizji: „Krasnojarsk i Klukwienna są czarnymi plamami, świadczącymi przeciw każdemu, tylko nie przeciw Polakom”⁹⁸. Jan Rogowski podkreśla natomiast, że „Klukwienna była nie hańbą lecz nieszczęściem”. Jest to istotne stwierdzenie, gdyż na Syberii, która była „krajem męki i niedoli”, ziemią nieszczęśliwą dla żołnierza polskiego, mogą oni powiedzieć o sobie, że „szli starym, ojców naszych szlakiem, przez krew szli ku wolności”. Wielu z nich do niej nie dotarło⁹⁹.

W Harbinie płk Rumsza zorganizował bazę intendentury i ustalił punkt zborny. Spośród ocalałych żołnierzy rozpoczął formować nowe oddziały. Szefostwo sztabu objął mjr Chłusewicz, 1. baon 1. pułku kpt. Werobej, artyleria dowodził mjr Jurkiewicz, kawalerią mjr Jezierski, zaś Legię Oficerską przejął mjr Dindorf-Ankowicz. Płk Rumsza wyruszył również do Szanghaju, dokąd przybyła polska misja wojskowa w osobach gen. Baranowskiego i pana Targowskiego, skierowana do Wojska Polskiego na Syberii. Złożył dowództwo na ręce gen. Baranowskiego, a ten od razu począł formować sztab, którego szefem mianował ppłk Skorobohatego. Wysłano też emisariuszy do obozu krasnojarskiego, aby powiadomić jeńców o przyjeździe misji i planach ewakuacji¹⁰⁰.

Przy pomocy misji francuskiej resztki V Dywizji otrzymały od Anglii stary statek „Jarosław” („Yaroslavl”), służący do przewozu towarów lub robotników chińskich. Niegdyś należał do rosyjskiej „floty ochotniczej”, stąd więc pochodziła jego rosyjska nazwa. Pomieścić on mógł najwyżej pół tysiąca osób, zaś załadowano do niego półtora tysiąca Polaków. Statek ten wpłynął do Dajrenu, a odpłynął z polskimi żołnierzami 15 kwietnia 1920 r. w konwoju okrętów wojennych angielskich i japońskich. Z Harbina do Dajrenu Polaków przewiozły 4 pociągi (w tym jeden z cywilami). W Harbinie pozostał tylko punkt zborny dla uciekinierów spod Klukwienny i z krasnojarskiego obozu¹⁰¹. Na zaproszenie japońskiej generalicji 60 polskich oficerów zwiedziło wraz z oficerami japońskimi twierdzę Port Arthur i Muzeum Wojskowe, a także uczestniczyło w uroczystym obiedzie wraz z jej komendantem gen. Hatzibana¹⁰².

Statek był ciasny, za mały na taką ilość osób mieszczących się pod pokładem. Zaduch wynikający z braku wentylacji i słabe warunki sanitarne towarzyszyły Polakom przez cały okres podróży. Kajuty nie były w ogóle urządzone. Zamiast łóżek bądź pryczy były drewniane skrzynki nazwane „trumienkami”. Kolejno zawitano do portów: Nagasaki, gdzie próbowano założyć „wentylację”, jeśli można to tak nazwać, ale się nie udało; Hong Kong, gdzie chińscy

⁹⁸ B. Chłusewicz, op. cit., s. 19.

⁹⁹ J. Rogowski, op. cit., s. 92.

¹⁰⁰ H. Bagiński, op. cit., s. 587-588; J. Rogowski, op. cit., s. 47-48.

¹⁰¹ H. Bagiński, op. cit., s. 588-589; P. Smolik, op. cit., s. 129, 134. K. Czapło, *Szkic historyczny dotyczący dziejów V-Syberyjskiej, jej odbudowy w odrodzonej Polsce jako Brygady Syberyjskiej oraz okoliczności działań wojskowych majora Jana Czapła i jego śmierci w dn. 14.VIII.1920 r.*, „Sybirak”, nr 6 (1) 1991, s. 37. Na tym okręcie rozwinięto chorągiew polską. Była to pierwsza bodajże „bandera” polska, która powiewała nad falami dalekich oceanów. – zob. J. Rogowski, op. cit., s. 48.

¹⁰² J. Sierociński, op. cit., s. 241; por. H. Bagiński, op. cit., s. 589.

robotnicy dokonali potrzebnych modernizacji; następnie dwudniowy postój w Singapurze i dobowy w Kolombo na Ceylonie¹⁰³.

W Hong Kongu obchodzono święto Konstytucji 3 Maja. W kościele urządzono uroczyste nabożeństwo. Chór oficerski śpiewał pieśni. Kazanie miał wówczas ks. Tartyłło, ten sam, który organizował komitet w Ufie, pełniący funkcję kapelana wojskowego przez cały ten czas. Święto Matki Boskiej Częstochowskiej również obchodzono bardzo uroczyście, ale już na statku, który udekorowano w lampiony i biało – amarantowe barwy, łącznie ze sztandarem polskim na maszynie¹⁰⁴. W trakcie podróży otrzymano wiadomość telegraficzną, że wojska polskie zdobyły Kijów, co też stało się przyczyną do wielkiego świętowania¹⁰⁵.

Na [...] statku, wśród tej pływającej małej Polski, bywało przeważnie, tak, jak to bywa zwykle w Polsce... Dużo swarów, dużo zawiści, jeszcze więcej śmiesznej pychy, egoizmu i chęci wyzyskania wyłącznie dla siebie swej władzy i domniemanej wyższości, wynikającej zresztą z [...] zbiegu okoliczności, dającego w ręce pewnym jednostkom siłę, więc i władzę nad tą małą społecznością tułaczą. Społeczność ta od razu podzieliła się na [...] cztery światy, najzupełniej sobie obce, a [...] nawet sobie wrogie, żyjące każda odrębnym życiem [...]. Te cztery światy były: sztab, szary tłum oficerstwa polskiego, „cywilna banda” (!) z rodzinami i świat żołnierski. Nie było nikogo, kto by umiał pogodzić ze sobą te światy i wytworzyć jaki taki „modus vivendi” na statku¹⁰⁶.

Zdaniem P. Smolika na statku, którym płynęli Polacy istniały dwa światy – jeden angielskich panów, czyli oficerów statku, i żołnierzy V Dywizji powracających do kraju. Należy tutaj przytoczyć przykład postępowania Anglików wobec Polaków, niedoświadczonych podróżami morskimi i gorącymi krajami. Zbliżając się do Adenu, gdy pasażerów dosięgły najwyższe upały, Anglicy skąpili wydawania wody Polakom. Ze względu na nieroztropność polskich dowódców, którzy nie zadbali o zapas wody bądź innych napojów, ludzie byli zmuszeni korzystać z angielskiego bufetu, gdzie na zimnym piwie bądź whisky z wodą sodową, administracja statku zarabiała krocie, ustalając bardzo wygórowane ceny. Polacy zaś zawsze stali tłumnie w kolejce, płacąc często ostatnimi pieniędzmi za chwilę orzeźwienia. W najgorszej sytuacji byli owi pasażerowie, których nie stać było na takie „luksusy”¹⁰⁷.

Gen. Baranowski był uważany za intruza przez najwyższy z tych polskich „światów”, czyli sztabowców. Uważali się oni za coś lepszego od innych, ze względu na swoje rangi, nie mając zrozumienia dla pozostałych pasażerów statku. Sami zajmowali najwygodniejsze kajuty na pokładzie statku, podczas gdy inni musieli się gnieść pod pokładem. Wielu z nich, kawalerów, korzystało swobodnie z tzw. pierwszej klasy. Haniebną jest historia, gdy polscy oficerowie próbowali zmusić kobiety, aby podpisały deklarację, że są zadowolone z warunków panujących na statku, grożąc im, w razie odmowy, wyrzuceniem w najbliższym porcie¹⁰⁸.

¹⁰³ P. Smolik, op. cit., s. 135-148.

¹⁰⁴ J. Rogowski, op. cit., s. 49-50.

¹⁰⁵ H. Bagiński, op. cit., s. 590.

¹⁰⁶ P. Smolik, op. cit., s. 149.

¹⁰⁷ Ibidem, s. 156-157.

¹⁰⁸ Ibidem, s. 150.

Tak pod względem pomieszczenia, jak i wikt, panowała na statku jakaś średniowieczna, brutalna kastowość, i ona to rozdzieliła tę małą Polonię na wrogie sobie obozy¹⁰⁹.

Pierwszą klasę zajmował opisany już sztab, który traktowany był na równi z gospodarzami statku – oficerami angielskimi. Drugą klasę zajmowała grupa wyższych oficerów wraz z rodzinami, a także kilku lekarzy, również z rodzinami. Trzecią klasę (jeżeli można nazwać już te skąpe warunki) był wikt oficerski dla niższych oficerów i ich rodzin. Czwarta klasa (!) to byli żołnierze i kobiety z dziećmi, którym nie przysługiwała żadna z wyższych klas. Piąta klasa (!!!) to była tzw. „cywilna banda”, niemal głodująca przez całą podróż¹¹⁰.

Na statku zorganizowano szkołę dla dzieci. Prowadzili ją prof. Zdek, prof. Gołąb, prof. Mazur i dr Orłowski. Niestety ze względu na warunki sanitarne i kiepską żywność wiele dzieci się pochorowało. Wielu z nich zmarło, przede wszystkim te najmłodsze. Najgroźniejsza była odra, która przerodziła się w epidemię, ale na szczęście ją opanowano. Zorganizowano „służbę medyczną” pod kierownictwem dr Orłowskiego. Głównie jego zasługą było to, iż stan zdrowia pasażerów „Jarosława” był nadspodziewanie dobry po przybyciu do Ojczyzny¹¹¹.

Podobnie jak na Syberii, tak i na statku Polaków wspierał swoją czynnością Mr. Convis z YMCA

niezmiernie uczynny i ruchliwy opiekun i przyjaciel polskiego żołnierza. Ten człowiek umiał spełniać swoją humanitarną misję w sposób przedziwnie delikatny i prosty i pozostając przytem sam zawsze w cieniu [...]. Tylko dzięki jego uczynności tysiąc bez mała polskich żołnierzy na statku miało za bezcen przez cały czas ciężkiej podróży doskonałe papierosy, tytoń, zgęszczone mleko w puszkach, czekoladę, papier i ołówki [...]. Służył też [...] za tłumacza i pośrednika [...]¹¹².

Będąc w Port Said Polacy dowiedzieli się, że front polsko-bolszewicki łamie się pod naporem Sowietów i natychmiast oficerowie zgłosili się do czynnej służby w Wojsku Polskim, aby móc walczyć za Ojczyznę¹¹³. Od tego wydarzenia podróż przez Morze Śródziemne, Gibraltar i Atlantyk przebiegła szybko. 23 czerwca „Jarosław” był w porcie Shermes u ujścia Tamizy, skąd wyruszył przez cieśniny duńskie na Bałtyk¹¹⁴.

1 lipca 1920 r.¹¹⁵ do Gdańska przybyło 120 oficerów i 800 szeregowych oraz garstka cywilów¹¹⁶. W międzyczasie sformowano z nich batalion kadrowy

¹⁰⁹ Ibidem, s. 151.

¹¹⁰ Ibidem, s. 151.

¹¹¹ Ibidem, s. 157.

¹¹² Ibidem, s. 158.

¹¹³ H. Bagiński, op. cit., s. 591.

¹¹⁴ P. Smolik, op. cit., s. 160.

¹¹⁵ P. Smolik podaje błędną datę przybycia „Jarosława” do Gdańska – 11 VII 1920 r., zob. P. Smolik, op. cit., s. 160.

¹¹⁶ Norman Davies podaje liczbę 10 tysięcy żołnierzy powracających pod wodztwem pułkownika Rumszy, jednak w świetle innych źródeł jest to liczba nieprawdziwa, zob. N. Davies, *Orzeł Biały Czerwona Gwiazda. Wojna polsko-bolszewicka 1919-1920*, Kraków 2000, s. 38. Prawdziwa liczba to wspomniane 920 żołnierzy, zob.

pod dowództwem mjr Jana Czapło i Legię Oficerską mjr Franciszka Dindorf-Ankowicza¹¹⁷. Pół roku wcześniej przybył do Polski oddział z Murmańska, formalnie należący do V DSP, w liczbie 400 żołnierzy oraz niedźwiedzicy Baśki¹¹⁸. Sybiracy byli wielce rozczarowani widokiem niemieckiego Gdańska, z niemieckim językiem i niemiecką flagą. Jedynie wiadomość o zezwoleniu dla płk Rumszy na formowanie Brygady Syberyjskiej na ziemiach polskich, przyniosła radość na twarzach żołnierzy¹¹⁹.

Przybyłych zgrupowano w Grupie (Legia Oficerska) i Chełmnie (batalion kpt. Werobeja) na Pomorzu, zaś cywilów wysłano do Warszawy. Batalion wkrótce udał się na tereny plebiscytowe na Warmię i Mazury, aby tam ochraniać ludność. 12 czerwca płk Rumsza przybył do Grupy, aby przekazać rozkaz o tworzeniu brygady, której podstawą mieli być sybiracy. 1. pułk miał formować się w Toruniu, zaś 2. pułk w Grudziądzu, gdzie zorganizowano również sztab brygady z ppłk Skorobohatym-Jakubowskim, rotmistrzem Próchnickim, kpt. Kucharzewskim i por. Rybotyckim¹²⁰.

Pod koniec lipca do brygady dołączyli ochotnicy w liczbie 500, „przeważnie uczniowie średnich zakładów naukowych oraz różne organizacje i stowarzyszenia, jak [...] towarzystwo wioślarskie z Kalisza”¹²¹. Dołączyli również Polacy – obywatele amerykańscy z armii gen. Hallera. Ćwiczone ich bez broni i mundurów, gdyż brygada takowych nie otrzymała. Dopiero po przeniesieniu do Skierniewic 3 sierpnia 1920 r. otrzymała minimalne umundurowanie i uzbrojenie. 8 sierpnia zostaje ponownie przeniesiona, tym razem do Zegrza, gdzie zostaje włączona do 5. Armii gen. Sikorskiego¹²².

Brygada Syberyjska wyruszając na front była bardzo słabo uzbrojona. Przedstawiała ona widok tragiczny, niczym zbieranina przypadkowych ludzi, a zadania, które przed nią postawiono były niełatwe. Wraz z 5. Armią miała przeprowadzić kontratak od Modlina na Nowe Miasto i Nasielsk. Pierwszą bitwę stoczyła już 14 sierpnia pod Borkowem i Zawadami. Słabo wyszkoleni ochotnicy cofnęli się pod wpływem ataków bolszewickich, jednak po kilku kontratakach Polacy zmusili do odwrotu wojska sowieckie. Niestety, opłacili to stratą kilkuset kolegów! Ostatecznie brygada spełniła swoje zadanie, przełamując front na linii Warszawa – Modlin¹²³.

Sybiracy w bitwie pod Borkowem stoczyli pierwszą bitwę na ziemi ojczystej, odmierzyli wiele tysięcy kilometrów przez tajgi Syberii, Mandżurię i oceany, by

M. Wrzosek, *Polski czyn zbrojny podczas pierwszej wojny światowej 1914-1918*, Warszawa 1990, s. 457.

¹¹⁷ K. Czapło, op. cit., s. 37.

¹¹⁸ E. Kozłowski, M. Wrzosek, *Historia oręża polskiego 1794-1939*, Warszawa 1984, s. 498.

¹¹⁹ H. Bagiński, op. cit., s. 591-592; J. Rogowski, op. cit., s. 51.

¹²⁰ H. Bagiński, op. cit., s. 592-593; J. Rogowski, op. cit., s. 53; J. Kułak, *Ułański życiorys*, „Sybirak”, nr 5 (2) 1990, s. 30.

¹²¹ H. Bagiński, op. cit., s. 593.

¹²² H. Bagiński, op. cit., s. 593-594; J. Rogowski, op. cit., s. 53-54; K. Czapło, op. cit., s. 37.

¹²³ H. Bagiński, op. cit., s. 594-595; J. Rogowski, op. cit., s. 54-55; B. Skaradzkiński, *Polskie lata 1919-1920*, t. 2. *Squad Boży 1920 roku*, Warszawa 1995, s. 234.

złożyć daninę krwi w obronie umiłowanej i dotąd tak dalekiej Ojczyzny. Ochotnicy wcieleni do pułku na kilka dni przed bitwą nie umieli nawet strzelać. Świecąc przykładem szedł stary żołnierz brygady naprzód, biorąc na siebie cały ciężar walki, walczył i ginął. Ochotnik z zapalem, odwagą i poświęceniem szedł w zawody ze starym żołnierzem Sybirakiem¹²⁴.

Podążając za przeciwnikiem sybiracy stosowali starą metodę zagończyków szybkiego marszu i częstego nękania wroga atakami. Kolejne boje stoczyła brygada pod Prusianowcami, Szczekocinami, Czarnostawem. We wszystkich tych walkach zginęli m. in. syberyjscy weterani mjr Werner, mjr Czaplo, ppor. Miłkowski. 19 sierpnia 1. pułk osiągnął Maków. Brygada otrzymuje rozkaz ataku w kierunku na Przasnysz i Chorzel, które zdobywa po bitwie w dniu 22 sierpnia. Okrążona przez wojsko polskie 4. Armia sowiecka uderzyła na umocnione pozycje brygady. Po długich bojach sowieci przerwali je, ale szczątki 4. Armii zostały albo internowane w Prusach Wschodnich, albo rozbite przez polskie 14. i 15. dywizję¹²⁵.

Poległych na polu bitwy rodziny zabrały dla pochówku w miejscach zamieszkania, pozostałych pochowano w zbiorowej mogile na cmentarzu w Ciekoszynie¹²⁶. Brygadę, ze stratami sięgającymi 50% stanu osobowego, wycofano do Zegrza. Dotarła tam 4 września. Wielu żołnierzy otrzymało za kampanię bolszewicką krzyże „Virtuti Militari” i „Krzyż Walecznych”. Po uzupełnieniach ze zdemobilizowanej armii pruskiej wyruszyła ponownie na front do Grajewa, gdzie weszła w skład armii atakującej Grodno. Później stanowiła rezerwę owej armii w okolicach kanału Augustowskiego, a później w Grodnie. Po zawarciu pokoju wycofano ją na Pomorze, rozwinęto w dywizję i nadano nazwę „Syberyjska”¹²⁷. Walki Brygady Syberyjskiej w bitwie warszawskiej były rodzajem katharsis. „Świetne zwycięstwo roku 1920 sprawiło, że Syberia na zawsze przestała być dla nas ziemią wygnania – miejscem niedoli, poniewierki, brutalnych prześladowań”¹²⁸.

Oprócz „Jarosława” do Polski przybył również drugi statek z rozbitkami V DSP oraz uchodźcami polskimi z Syberii i Dalekiego Wschodu – „Woroneż”. Płynął nim m.in. Karol Zaleski, współtwórca polskiego harcerstwa na Syberii. Po kapitulacji przedostał się przez Nikolsk Ussuryjski do Władywostoku, gdzie utworzono Władywostocki Batalion V Dywizji z żołnierzy, którzy tak jak Zaleski uniknęli niewoli sowieckiej. Następnie 19 czerwca 1920 r. przepłynęli oni japońskim statkiem „Neise Maru” do portu Tsuruga, gdzie przeładowano ich na stary rosyjski statek „Woroneż” zarekwirowany carskiej flocie przez Anglików. 3 lipca 1920 r. ok. pół tysiąca polskich żołnierzy wraz z rodzinami, i tysiąc łotewskich żołnierzy i ich rodzin, którzy również płynęli „Woroneżem”, wyruszyło w rejs do domu. Trwał on trzy miesiące i 29 września 1920 r. zacumowali w Gdańsku¹²⁹.

Warto tutaj przytoczyć słowa Karola Zaleskiego, którymi żegnał w Gdańsku Łotyszy, a które w piękny sposób wyrażają istotę i podkreślają wartość, tego rejsu:

¹²⁴ K. Czaplo, op. cit., s. 40.

¹²⁵ H. Bagiński, op. cit., s. 595-597.

¹²⁶ K. Czaplo, op. cit., s. 41.

¹²⁷ H. Bagiński, op. cit., s. 597-598.

¹²⁸ A. Anusz, *Rola Sybiraka w społeczeństwie polskim*, „Sybirak”, nr 1 (1) 1934, s. 26.

¹²⁹ Z. Lech, op. cit., s. 272.

Bracia Łotysze! Przyszła chwila, kiedy pożegnać nam się wypada. Opatrzność Boża zrządziła, żeśmy wspólnie odbyli tę długą podróż – tę podróż, która była dla każdego z nas marzeniem upragnionem. Podróż, na którą czekaliśmy całe lata, często w tułaczce i poniewierce po olbrzymim imperium rosyjskim rozproszeni. Toteż droga nasza od brzegów Cichego Oceanu aż do celu naszej podróży na nasz Bałtyk zostanie zawsze najdroższym wspomnieniem każdego z nas. Radością i entuzjazmem płoną dziś nasze dusze. Ziemię naszą wydobyły się z długiego jarzma niewoli i dysza własnym, niepodległym życiem państwowym¹³⁰.

¹³⁰ K. Zaleski, op. cit., s. 272, 274.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Aleksandra Śmigielska – „*Jak wrócimy do Ojczyzny*”

Wstrząs, którego doznaliśmy całą rodziną wydarzył się 10 lutego 1940 r. w godzinach między czwartą a piątą rano. To było mocne walenie w drzwi i wtargnięcie do domu kilku rosyjskich żołnierzy ubranych w jakieś szarozielone szynele i wojskowe czapki ze szpicami sterczącymi na czubku głowy i czerwoną gwiazdą osadzoną nad daszkiem. Nie wiem jak to się stało, ale widziałam ich i słyszałam, jak jeden z nich odczytał jakiś dokument z rozkazem, że mamy w ciągu pół godziny opuścić nasz dom. Nie podał żadnego powodu tej eksmisji. Miałam wtedy cztery i pół roku i bardzo się bałam. W domu słychać było płacz, nawoływanie, pospieszne pakowanie rzeczy najbardziej potrzebnych. Pamiętam wołanie babci do mamy, żeby zapakowała pierzyny oraz ciepłe rzeczy i ubrania. Do dzisiaj słyszę brzmienie słów babci: „Józia bierz pierzyny aby dzieci nie pozamarzały” – chodziło o mego brata Zbysia i o mnie. Na dworze panował wtedy mróz trzydzieści kilka stopni.

Gdy wychodziliśmy z naszego nowego, jeszcze niewykończonego domu, na dworze już dniało. Przed domem stały zaprzęgnięte do sań nasze konie. Tym zaprzęgiem wieźli nas jacyś ludzie do tymczasowego aresztu. Ja byłam ubrana w kożuszek, a w rękach trzymałam tuląc swoją ukochaną lalkę – był to pajac, którego nazywałam Wacek. Pamiętałam, że miał bardzo długie nogi i czerwoną czapkę z długim opadającym trójkątnym szpicem zakończonym pomponikiem.

W areszcie – pomieszczeniu, w którym nas trzymano przez kilkanaście godzin, panował niesamowity tłok. Stałam między dorosłymi bolały mnie nogi i nie było szans na to by przykucnąć. Mama trzymała na rękach dwuletniego Zbysia. Następny obraz w mojej pamięci, to jazda saniami do stacji kolejowej, prawdopodobnie do Chodaczkowa. Był jasny, mroźny dzień, a za saniami biegł nasz pies Ducek.

Na stacji stał długi skład bydłęcych wagonów wewnątrz wyposażonych po dwóch stronach w półki, na których lokowały się rodziny. Nasza rodzina liczyła dziesięć osób i jak wspomiano po latach na środku oblodzonego wagonu stał żelazny okrągły piecyk, a nieco dalej wycięty był w podłodze otwór, przez który lokatorzy wagonu mieli załatwiać fizjologiczne potrzeby. I tak było – robili to pod osłoną różnych parawanów np. z koca, prześcieradła, chust itp. Czasami pociąg zatrzymywał się niespodziewanie w polu i wtedy konwojenci – uzbrojeni w karabiny pozwalali wyjść kilku osobom z wagonu by tam załatwili swoje potrzeby fizjologiczne. Wprawdzie im dalej przemieszczaliśmy się w głąb, Związku Radzieckiego, tym bardziej żołądki były puste, bo już brakowało jedzenia. Nie wszyscy ludzie zaskoczeni wywózką zdążyli zaopatrzyć się w odpowiedni zapas żywności potrzebnej na tak długą i trudną drogę. W przypadku naszej licznej rodziny zapasy te szybko wyczerpały się.

Ta niespodziewana i pod konwojem podróż do Krasnojarskiego Kraju trwała około półtora miesiąca. Przypominam sobie długie postoje transportu wśród bezkresnych pól pokrytych grubą warstwą śniegu. Babcia często mówiła: „te trzaskające mrozy wykończą nas”. W czasie jazdy pociągu oglądaliśmy przez małe okienka i szczeliny wagonu mijane zimowe krajobrazy – obce i jakieś groźne. Następny obraz, który wbił mi się w pamięć, to była jakaś przesiadka w czasie podróży. Widzę obszerny i bardzo wysoki hol i kocujące na podłodze bardzo liczne rodziny otoczone dobytkiem szybko zabranym z domów, z których zostali siłą wypędzeni. Widzę do dzisiaj oczami wyobraźni rozmawiające ze sobą dorosłe osoby, podskakujące dzieci w moim wieku i trochę starsze oraz rodzinę karzełków. Wygląd tych ludzi sprawił mnie w niesamowite dziecięce zdumienie, a to dlatego, że byli tacy mali – tego samego wzrostu co ja, ale mieli dorosłe twarze i dorosły sposób bycia. Poprosiłam mamę, żeby mi wyjaśniła dlaczego Ci ludzie nie wyrosli. Wyjaśnięć mamy dotyczących wzrostu nie zapamiętałam, chociaż odpowiedziała mi na te pytanie.

Przypuszczam, że koczowaliśmy na dworcu kolejowym w Krasnojarsku oczekując na dalszy transport. Nasza męcząca podróż trwała jeszcze długo. Mam też w pamięci mglisty obraz jakiejś innej ponurej, ciemniej stacji kolejowej ze stojącymi na torach wagonami towarowymi. Późniejszy obraz to załadunek na sanie o zaprzęgu konnym i dalsza jazda w tajgę szlakiem skutych lodem rzek – Jenisejem i być może Czulumem. Ludzie byli przygnębieni, bali się nieznanego losu. Babcia martwiła się, że łód na rzece może być miejscami cienki i może załamać się, albo że niebawem rzekami zacznie płynąć kra. Bojaźń ta udzielała się także mnie. Nie pamiętam, jak długo trwała podróż do miejsca, które nazywano uczestkiem Konzula. Nie pamiętam nic z pobytu w tym miejscu i jakim sposobem znaleźliśmy się w głębokiej tajdze w miejscowości naszego zesłania o nazwie Tiubil położonej nad rzeką o tej samej nazwie. Zapamiętałam natomiast, że niebawem po dotarciu do osady Tiubil zaczęły na rzekach pękać lody i popłynęła kra.

Co działo się z nami po dotarciu w serce tajgi nie pamiętam. Zbyt późno zdecydowałam się do opisu naszego tułaczego losu. Osoby, które mogły być

pomocne w tej pracy już nie żyją. Mama zmarła bardzo młodo 10 lipca 1947 r., dziadzio pożegnał się z tym światem 26 sierpnia 1951 r., babcia odeszła 11 listopada 1974 r., tato w maju 1995 r., ciocia Hela 26 grudnia w 2008 r. a stryjek Gienek 20 lutego 2009 r. Wspomniana osada Tiubil leżąca w kotlinie pomiędzy lesistymi górami i rzeką o bystrym nurcie była docelowym naszym przystankiem. Zostaliśmy zakwaterowani całą rodziną w drewnianym zapluskwionym baraku w pomieszczeniu o małej powierzchni z jednym małym oknem. Było ono wypełnione pryzkami, stającymi jedna przy drugiej. Otrzymaliśmy jutowe worki i suchą trawę do ich wypełnienia. Były to nasze materace, czyli sienniki. Na ścianie, do której przylegała nasza prycza mama zawiesiła święty obrazek, do którego klęcząc modliliśmy się z bratem.

Wkrótce po zakwaterowaniu zesłańców w licznych wielorodzinnych barakach zapędzono ludzi do ciężkiej pracy, głównie w tajdze w tzw. „lespramchozie”. Mama wychodziła o świcie razem z innymi ludźmi w głąb tajgi, gdzie pracowała przy ścinaniu piłą olbrzymich cedrów syberyjskich oraz oczyszczaniu ich z gałęzi a potem spławianych rzeką. Stryjek Gienek i wujek Władek pracowali również w tajdze. Ciocia Hela była w ciąży – nie pamiętam czy pracowała, ale chyba tak, bo tam każdy dorosły lub dorastający człowiek musiał pracować. Babcia i dziadzio także pracowali gdzieś w lesie. Ciocia Jańcia jako trzynastolatka dostała zatrudnienie w rodzinie piekarza, jako opiekunka ich małego dziecka.

Barak, w którym zamieszkaliśmy stał w pobliżu rzeki. Do długiego korytarza przylegały z obu dwu stron tzw. kajuty. W nich umieszczano wieloosobowe rodziny. Nie przypominam sobie ich nazwisk oprócz licznej rodziny Szydełków z sąsiedniego pomieszczenia. Pan Szydełko był leśnikiem, pamiętam, że ciężko chorował i wkrótce zmarł. Potem umarł jego ukochany dwu lub trzyletni synek Tadzio, który nie zniósł syberyjskich katorżniczych warunków. Pani Szydełkowa została z pięcioma nieletnimi córkami. Nasze rodziny zaprzyjaźniły się, głównie dzieci. Ja przyjaźniłam się z najmłodszą Stasią urodzoną w 1936 r. oraz z jej starszymi siostrami – Kazią i Zosią. Po Zosi była Matylda – zdrobniale Tyłga, a po niej Leonarda, czyli Leonka urodzona w 1927 r. Z nią zaprzyjaźniła się nasza Jańcia, jej rówieśnica.

Tiubil to był tzw. „lespramchoz” – miejscowość, którą trudno było nazwać wioską. Na jej zabudowę składały się szeregi drewnianych, zapluskwionych baraków, w których zapewne już niejedno pokolenie zesłańców wegetowało. Oprócz baraków stało kilka, a być może kilkanaście drewnianych domów, w których mieszkaly rodziny nadzorców oraz znajdowały się pomieszczenia służbowe, jak kantora, czyli biuro, w którym urzędowali Rosjanie. Poza tym był sklep nazywany „ławoczka” i piekarnia, w której wypiekano chleb dla miejscowej ludności i zesłańców. Zesłańcy otrzymywali „pajki” chleba w zależności od rodzaju zatrudnienia, jednak za małe na przeżycie bez uczucia głodu. Po przydział chleba i czasami rybnej zupy tzw. „uchy” chodziło się do „ławoczki”.

Osiedle było otoczone wysokimi górami porośniętymi gęstymi lasami. Wzdłuż osiedla u podnóża gór wiła się rzeka Tiubil, której głębokość i szerokość, a także nurt zależały od pory roku. Wspominałam już, że wkrótce po naszym przybyciu na Tiubil zaczęła pękać na rzece z wielkim hukiem kra porwana bardzo wartkim nurtem wody, która wystąpiła z brzegów. Rzeka osiągnęła niebezpieczną głębokość. Zesłańcy od świtu pracowali pod nadzorem w taj-

dze po drugiej stronie rzeki. Mama przed wyjściem do pracy upominała mnie żebym nie chodziła nad rzekę, nie oddalała się od baraku i pilnowała Zbysia. Dzieci z baraku organizowały sobie zabawy. Często zbieraliśmy się na końcu korytarza, w pobliżu wyjściowych drzwi i śpiewaliśmy polskie piosenki, które bardzo dobrze znaliśmy. Rosjanki zachwycały się naszym śpiewem. Śpiewaliśmy „O mój rozmarynie”, „Rozkwitały pąki białych róż”, „Wojenko, wojenko”, „Wesołe życie marynarza”, „Płynie Wisła”, „Na Podolu biały Kamień” i inne. Często chodziliśmy też nad rzekę, pomimo zakazów ze strony rodziców. Zbieraliśmy ze sobą swoje zabawki. Ja miałam wspomnianego już pajacyka Wacka, który pewnego dnia został porwany przez wartki nurt rzeki z moich słabych rąk i popłynął. Bardzo rozpaczalam po jego stracie. Jańcia pocieszała mnie obiecując, że uszyje mi piękną lalkę.

Mama, wujek Władek i stryj Gienek wychodzili do pracy w tajdze bardzo wczesnie rano, a wracali wieczorem, gdy zapadał zmrok. O tej porze obydwój z bratem znajdowaliśmy się przeważnie już na pryczy przygotowani do spania. Zapamiętałam jej widok po powrocie z pracy ubraną w spodnie pikowane wata i tak samo pikowaną kufajkę, bardzo zmęczoną, ale pogodną i uśmiechającą się do nas „a zarazem szczęśliwą, że widzi nas całych i zdrowych. Pierwsze pytanie, jakie do nas wówczas kierowała brzmiało: „czy zmówiliśmy paciorek”? Nie zawsze obowiązek modlitwy był spełniony, więc wtedy trochę ociągając się klękaliśmy z bratem składając ręce do pacierza i odmawialiśmy razem z mamą „Ojcie nasz”, „Zdrowaś Mario”, „Wierzę w Boga Ojca” i „Dziesięć Przykazań”. Na zakończenie prosiliśmy Pana Boga o opiekę nad nami. Modliliśmy się również za Ojczyznę i za szczęśliwy powrót taty do domu, – o jego losie nic nie wiedzieliśmy. Mama po takiej modlitwie, często siadała na skraju pryczy i opowiadała nam różne legendy przeważnie o treściach religijnych i patriotycznych. Najlepiej zapamiętałam te o św. Kindze, św. Genowefie, o Wandzie, która Niemca nie chciała oraz o Piaście Kołodzieju a także różne bajki.

Po przydział chleba dla naszej rodziny i rzadką zupę rybną tzw. uchę chodziła do „ławoczki” Jańcia. Babcia zaś dzieliła go na porcje, tak aby starczyło dla całej rodziny. Ponieważ panował głód, więc zaczęła się wyprzedaż, a raczej wymiana za żywność rzeczy, przeważnie ubrań, które w pośpiechu zdążyliśmy zabrać z Polski. W pierwszej kolejności poszedł na wymianę mój piękny strój krakowski, który składał się z czerwonej wzorzystej spódniczki, haftowanej białej bluzeczki, welurowego gorsetu z pięknymi naszytami z cekinów i przyczepionymi do prawego ramienia pękiem kolorowych długich wstążek, fartuszek z naszytymi w poprzek kolorowymi tasiemkami i pięknego wianka. Bardzo płakałam po stracie tego stroju. Mama tłumaczyła mi, że za ten strój będziemy mieli mleko. Przez pewien czas rzeczywiście dostawaliśmy z bratem rano po kilka łyków pysznego mleka.

Pamiętam, że wiosną, a może to było lato, przyszła z Polski paczka żywnościowa, ale po jej odbiór trzeba było pójść na pocztę, która znajdowała się daleko poza obrębem zesłańczego osiedla, którego granic nie wolno nam było przekraczać. Mama mimo wszystko złamała zakaz i poszła po paczkę. Za to wykroczenie była sądzona i skazana na „turmę”. Nie pamiętam ile trwało to więzienie, ale wiem, że w czasie odbywania kary pracowała w tajdze przy karczowaniu mocno tkwiących w ziemi pni wyciętych wcześniej grubych drzew. To była bardzo ciężka praca, jak na jej możliwości fizyczne. Po powrocie

z więzienia ciężko zachorowała. Pamiętam, że do zrobionej przez dziadzia drewnianej balii babcia wkładała różne zioła zebrane w tajdze, wlewała dużo wody i wkładała gorący kamień. Do tak przygotowanej kąpieli wchodziła mama i siedząc w niej była przykryta dużą lnianą płachtą. Płachtą nazywaliśmy duży, kwadratowy, gruby kawałek lnianego płótna zabrany z Polski.

Babcia Anna dzięki swoim „medycznym” talentom pomogła wielu osobom. Mama zaś dzięki zastosowanej kuracji odzyskała po pewnym czasie zdrowie, ale niebawem po wznowieniu ciężkiej pracy w tajdze dotknęła ją nowa dolegliwość tzw. kurza ślepotą, czyli choroba oczu spowodowana brakiem witaminy A. Powodowało to niezdolność widzenia po zachodzie słońca. Również inne osoby zachorowały na to samo w tiubilskim posiołku. Zmusiło to władze do zorganizowania polowania na niedźwiedzia w celu pozyskania jego wątroby, jako bardzo skutecznego leku na tę chorobę. Przypomniałam sobie, że otrzymaliśmy spory kawałek tego mięsa i że babcia długo gotowała go zanim uzyskała odpowiednią miękkość. Wydaje mi się, że to gotowanie trwało kilka dni. Okazało się, że mama spożywając przez pewien czas po kawałku tej wątroby odzyskała normalne widzenie.

Latem gotowanie potraw z grzybów i innych darów natury odbywało się na zewnątrz baraku, na żelaznym piecyku. Jak było w okresie zimy, nie pamiętam. W gruncie rzeczy gotowanie było raczej rzadkością, ponieważ ludzie nie mieli na to żadnych produktów. Wyjątek stanowiła pora roku, gdy w lasach pojawiły się grzyby, szczaw, lebioda czy młoda pokrzywa. Pewnego razu dziadzio Antoni sam wybrał się do tajgi na grzyby i zabłądził. Rodzina i znajomi rozpoczęli bezskuteczne poszukiwania. Panowało zmartwienie i smutek. Istniała obawa, że został napadnięty przez dzikie zwierzęta, których w tajdze nie brakowało. Najgroźniejsze były niedźwiedzie. Takie podejrzenia były uzasadnione, ponieważ już były ofiary wskutek napadu przez zwierzęta. Tajga, to bezkresne lasy, w których ludzie łatwo tracili orientację i ginęli. Po stwierdzeniu zaginięcia jakiejś osoby, organizowano specjalne ekipy poszukiwawcze i niekiedy odnajdowano ludzi żywych, a bywało, że martwych. Dziadzia nie odnaleziono pomimo poszukiwań. Bardzo cierpieliśmy i modliliśmy się wraz z sąsiadami o jego szczęśliwy powrót.

Pewnego dnia wrócił sam wycieńczony i załamany. Gdy stanął na progu naszej kajuty rozplakał się, a potem uklęknął i ucałował ten próg. Radość nasza i dziękczynienie Panu Bogu były wielkie. Dziadzio był człowiekiem pobożnym, dużo modlił się i czytał – bardzo cenił książki. Na Syberii posiadaliśmy Biblię i niektóre dzieła Sienkiewicza i poezje Mickiewicza. Dzięki tym książkom nauczyłam się czytać po polsku. Zaslugą dziadzia było, że w trakcie bardzo krótkiego czasu wypędzania nas z rodzinnego domu, nie zapomniał o zabraniu Biblii, niektórych książek, modlitewnika i różańca. Po szczęśliwym i niemal cudownym powrocie z tajgi dziadzio opowiedział nam, że „czepił się go błąd”, co oznaczało, że po długiej wędrówce po tajdze wracał w to miejsce, z którego uprzednio wyszedł. Ale widocznie dzięki gorliwym modlitwom do Pana Boga Anioł Stróż poprowadził go we właściwym kierunku, dodając sił znękanemu głodem i zmęczeniem ciału. Wspominałam już, że podczas gdy dorośli wychodzili do ciężkiej pracy w tajdze, dzieci zostawały same bez opieki i musiały sobie jakoś radzić. Mnie, w czasie tej nieobecności rodziny przydarzył się przykry wypadek. Przypuszczam, że wskutek niedożywienia, a właściwie głodu i być może z innych przyczyn zachorowałam. Czułam nieustającą senność, osłabienie i pragnienie. Dzięki przestrogom mamy wiedziałam, że nie wolno pić, czerpanej z rzeki surowej wody, że należy ją przegotować. Wspominałam już,

że przed barakiem stał żeliwny piecyk, w którym bez przerwy tlił się ogień dzięki podkładanym polanom drewna i właśnie na tym piecyku gotowałam wodę do picia. Pewnego razu niosąc wrzątek w garnuszku do baraku straciłam równowagę w wyniku osłabienia i zawrotu głowy przy pokonywaniu dosyć wysokich i stromych schodów. Upadłam a wrzątek oblał mi twarz i straciłam przytomność. Bawiące się przed barakiem dzieci zauważyły to i pobiegły do piekarni po Janię prosząc o pomoc. Informacja doszła również do dziadzia, który szybko pojawił się i zaczął robić okłady na mocno poparzoną twarz. To zdarzenie miało miejsce latem 1940 r. Na szczęście twarz wygoiła się, dzięki zabiegom dziadzia i babci. Tego lata ciocia Hela urodziła synka, jednak dzieciątko wkrótce po przyjściu na świat zmarło ku wielkiej rozpaczy jego mamy i całej naszej rodziny. Chłopczyk przed śmiercią został ochrzczony z wody. Nie pamiętam jakie imię mu dano.

Dorośli zesłańcy wykonywali bardzo ciężką pracę w tajdze ścinając wielkie drzewa sosny sybirskiej, którą tubylcy nazywali cedrem („kiedr”). Po ścięciu pnie drzew były oczyszczane z gałęzi, a następnie spychane ze stromych górskich zboczy na brzeg rzeki. Potem na rzece spinano je w tratwy, które odpływały niesione silnym nurtem wody. Mama, wychodząc do pracy w porze letniej, zakładała na głowę specjalną siatkę, która chroniła głównie twarz przed atakiem drobnej, bardzo agresywnej muszki powodującej bolesne obrzęki ciała. Mama przynosiła z tajgi cedrowe szyszki wypełnione pomiędzy łuskami bardzo smacznymi orzeszkami. Cieszyła się, że te orzeszki tak bardzo smakują Zbysiovi i mnie. W dzień, podczas nieobecności rodziców i krewnych, dzieci radziły sobie same, organizowały różne zabawy albo wycieczki brzegiem rzeki zarosniętym krzewami porzeczeki czerwonej i czarnej nazywanej przez tubylców „smarodina”. Bardzo nam smakowały owoce tych dziko rosnących krzewów. Pamiętam również rosnące wzdłuż brzegu rzeki pięknie kwitnące piwonie, ich duże czerwone, a właściwie pąsowe kwiaty zachwycały swą urodą. Od starszych od nas, miejscowych dzieci nauczyłam się z czerwonych jagódek tych roślin robić korale. Nie pamiętam na co nanizaliśmy te jagody, pewnie na lniane nici, bo innych tutaj nie było. Nauczyłam się także z liści wykonywać spódniczki, a z dziko rosnących kwiatów wic wianki. Małe dziewczynki, przeważnie pięcioletki – moje rówieśnice – wyglądały w tych strojach, jak leśne boginki. Jakaś dorosła osoba tak nas określiła. Pewnego razu duża grupa dzieci w różnym wieku, ale przeważnie starszych ode mnie, urządziła wyprawę na drugą stronę rzeki. Przejście było możliwe dzięki wąskiej kładce. Celem wyprawy było w grzybobranie w pobliskim lesie. Weszliśmy gromadką w głąb lasu i nie pamiętam właściwie nic poza czyimś zawołaniem „uciekajmy – niedźwiedź”! Podniosłam głowę szukając spojrzeniem z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo. Zobaczyłam w dość dużym oddaleniu olbrzymie ciemne zwierzę. Zrobiło mi się słabo, zaczęłam całą drzeć ze strachu i rzuciłam się do ucieczki za większymi i silniejszymi ode mnie dziećmi. Byłam przerażona rosnącym dystansem między mną a uciekającą grupą. Dopiero na kładce poczułam się bezpiecznie. Nigdy nie przyznałam się mamie do tej eskapady, bałam się, że ją rozgniewam i czułam się wielce nie w porządku wobec niej i mojego trzyletniego brata Zbysia, którym miałam się opiekować, a ja nawet nie wiedziałam co się z nim działo w czasie mojej nieobecności.

We wspomnieniach z tamtych czasów widzę dziadzia, jak wykonywał beczki, wiadra, i cebrzyki z drewnianych klepek oraz wiklinowych obręczy. Lubiłam przyglądać się struganiu klepek, i wyginaniu obręczy do odpowiedniej

średnicy oraz mocowaniu silnych wiązań. Nie lubiliśmy natomiast ze Zbysiem trzymania tych obręczy nad denkiem przy układaniu przez dziadzia klepek. Przy tej pracy drętwiały nam aż do bólu ręce i bywało tak, że cała układanka z klepek rozsypywała się, bo nasze ręce były małe, słabe i niewytrzymałe. Pomagałam również dziadziowi w „sukaniu” sznurków z lnianego włókna, ale nie pamiętałam do czego służyły. Poza stolarką dziadzio wpadł na pomysł zagospodarowania płachetka ziemi w pobliżu rzeki. Uznał, że na tej żyznej glebie, którą nazywał madą będą wspaniale rosły warzywa. Prawdopodobnie musiał uzyskać zgodę naczalstwa „Lespramchozu” na założenie ogrodu, a być może postanowił działać bez zezwolenia, wszak był człowiekiem niepokornym i nie lubił kłaniać się władzy, zwłaszcza bolszewickiej. Pracę rozpoczął od ogrodzenia upatrzonego kawałka gruntu używając do tego celu żerdzi i prętów wikliny, które wplatał w specjalnie wykonane z drewna rusztowanie. Wydaje mi się, że te prace wykonał w okresie jesiennym 1940 r. łącznie z przygotowaniem gleby, żeby jak najwcześniej, tj. wiosną następnego roku wysiać nasiona.

Lato na Syberii było krótkie. Zima mroźna i groźna zawitała nagle. Dokuczalo nam zimno, ciasnota w kajucie, pluskwy gnieźdzące się w szczelinach drewnianego baraku, a nade wszystko głód. Dostawaliśmy ze Zbysiem po kawałeczku chleba, który jedliśmy bardzo oszczędnie chowając na później zaoszczędzone kęsy. Ciężka praca i brak żywności spowodowały, że mama często chorowała, miała wtedy tylko 27 lat. Niewiele pamiętam z przeżywania zimy 1940/41 r. oprócz pogłębiającej się nędzy i stopniowej utraty nadziei na zmianę naszego losu na lepszy.

Władze bolszewickie odkryły, że Bolek nie jest dzieckiem, lecz bratanikiem mamy i uznały go za „bezprzornego” i pozbawiły ją opieki nad nim. Tym sposobem Bolka odebrano naszej rodzinie i umieszczono w rosyjskim sierocińcu. Mama i cała nasza rodzina bardzo to przeżyła. Bolka wywieziono z Tiubilu i jego dalsze losy nie były nam znane. Po latach spotkałam go przypadkowo w 1953 roku. we Wrocławiu w kinie „Pokój” po seansie jakiegoś filmu. Był studentem Wydziału Elektrycznego Politechniki Wrocławskiej, a ja byłam wówczas studentką pierwszego roku Wyższej Szkoły Rolniczej. Gdy po skończeniu filmu zabłysło światło na widowni i widzowie zaczęli wychodzić, zauważyłam wśród nich znajomą twarz. Powiedziałam do koleżanki: „Terenu zobacz ten student w białej akademickiej czapce jest bardzo podobny do mojego wujecznego brata, o którym Ci opowiadałam. Podejdę do niego i zapytam, czy nazywa się Bolek Samek” I tak zrobiłam – okazało się, że to naprawdę był on. To spotkanie było dla nas wielką radością.

Inne zdarzenie, które boleśnie zapadło w moją dziecięcą pamięć i serce, to była rozpacz mojej mamy po otrzymaniu listu z PCK, który był odpowiedzią na poszukiwania jej męża a mojego taty przez Polski Czerwony Krzyż. W liście tym napisano, że żyje Leon Czuchnicki, ale okazało się że to nie był syn Antoniego, lecz Piotra, czyli stryjeczny brat mojego ojca. Mamę ogarnął strach, że tato nie żyje, a jednocześnie wyrzuty sumienia, że nie jest w stanie cieszyć się z odnalezienia jego stryjecznego brata. Nie potrafiła pogodzić rozczerwienia z okazywaniem radości. Mama przez wszystkie lata wojennej gehenny i zniewolenia starała się na różne sposoby odnaleźć męża, wierzyła, że żyje i do nas wróci. Jej ból był również moim wielkim bólem. Przy każdym pacierzu modliliśmy się wspólnie o zachowanie życia tak bliskiej i drogiej nam osoby.

Gdy nadeszła wiosna 1941r. nastąpiło tajanie śniegu, na rzece zaczął pękać lód z wielkim łoskotem, popłynęły wielkie płyty kry, a potem z rzeki wy-

stąpiły wody, szeroko poza jej normalne koryto. Oznaczało to koniec zimy i w ludzi zaczęła wstępować jakaś nieśmiała nadzieja na lepsze czasy. Na rozlewisku rzeki utworzyła się wysepka, na której stał domek, zamieszkały przez polską rodzinę Szczypuchów. Mieli problem z przedostaniem się na brzeg, ratowała ich mała łódka. Po pewnym czasie woda w rzece popłynęła normalnym korytem, a nasz dziadzio Antoni rozpoczął zagospodarowywać ogród w miejscu w dużym stopniu przygotowywanym już jesienią. Do dnia dzisiejszego „zachodzę w głowę” skąd wziął nasiona rozmaitych warzyw. Przypuszczam, że mógł je kupić od miejscowej ludności, albo otrzymać jakąś przesyłką z Polski. Czas pokazał, że ogrodnicze dzieło dziadzia było bardzo udane, warzywa rosły „jak na drożdżach”. Przypominam sobie sytuację, której jako dziecko już prawie sześćdziesiąt lat byłem świadkiem. Otóż dziadzio idąc w stronę rzeki „nakrył” Szczypuchę na kradzieży pięknej głowy kapusty z naszego ogrodu. Doszło do kłótni, dziadzio nazwał go złodziejem, po czym tenże wykrzyczał dziadziowi w twarz, że żyjemy w komunizmie i „co wasze Czuchnicki to i moje”. Na to dziadzio zawołał „ja Ci bolszewiku wybiję z głowy ten komunizm kosturem”, to jest solidnym, dużym kijem, który akurat trzymał w ręku.

Pod koniec lata i wczesną jesienią kobiety z naszej rodziny zaczęły stopniowo zbierać dary ziemi z dziadziowego ogrodu i konserwować je na czas przyszłej zimy. Kapusta i liście buraków były kwaszone w beczkach zrobionych przez dziadzia. Babcia, mama i ciocia Hela cieszyły się, że dzięki tym zapasom będzie nam lżej przeżyć przyszłą zimę. Nikt nie przewidywał, że nastąpią zmiany w naszym zesłańczym bytowaniu. W 1941r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, powstał nowy układ polityczny. Pod wpływem polityki Wielkiej Brytanii, Związek Radziecki został włączony do obozu antyhitlerowskiego. Generał Władysław Sikorski nawiązał z ZSRR stosunki dyplomatyczne – 14 sierpnia 1941 r. i w Londynie został podpisany układ Sikorski–Majski, dzięki czemu częściowo uwolniono z sowieckich łagrów i więzień Polaków nazywając ten fakt amnestią. Wielu uwolnionych wówczas wstąpiło do Armii Polskiej utworzonej przez generała Władysława Andersa. Mój tato będąc rosyjskim jeńcem wojennym wstąpił więc do tworzącego się w ZSRR wojska polskiego. Wówczas o jego losie nic nie wiedzieliśmy. Do Polaków znajdujących się w syberyjskich bezdrożach takie wydarzenia dochodziły z wielkim opóźnieniem. Do Tibilu docierała niesamowita propaganda na temat zwycięskich zmagania wojennych Armii Czerwonej z Niemcami. Zmęczonych ciężką pracą ludzi zmuszano późną porą do oglądania filmów tego typu. Zmuszano nie tylko osoby dorosłe, ale również dzieci. Pamiętam, że uczestniczyłam w towarzystwie mamy w jakimś wojennym seansie filmowym i bardzo cierpiełam przejęta tym, co się działo na wojnie.

Jesienią 1941 r. uwolnieni spod nadzoru NKWD polscy zesłańcy rozpoczęli wędrówkę w poszukiwaniu lepszego bytu. Część mojej rodziny, także mama ze Zbysiem opuściła Tiubil i popłynęła tratwą mając nadzieję znalezienia lepszego miejsca na przetrwanie. Dziadzio natomiast powędrował przez tajgę wydeptanymi ścieżkami i znalazł jakąś miejscowość odległą od Tiubilu o jeden dzień wędrówki. W opuszczonym baraku zostało jeszcze parę osób, między innymi babcia, Jańcia i ja. Jakiś czas później powędrowaliśmy obie z babcią szlakiem dziadzia, a Jańcia została tymczasem w Tiubilu u piekarza. Dołączyła do nas trochę później w towarzystwie polskich kobiet. Moja wędrówka z babcią przez tajgę trwała cały dzień. Wyszliśmy o świcie, a do dziadzia dotarliśmy

wieczorem. Babcia niosła płachtę zarzuconą na plecy, w której znajdował się żeliwny garnek do gotowania i jakieś inne rzeczy, a ja szłam obok. Miałam wprawdzie już sześć lat, ale ta wędrówka męczyła mnie i wtedy siadałam na garnku schowanym w płachcie i tak babcia mnie niosła z całym „dobytkiem” na plecach. Tę wędrówkę przez tajgę dobrze pamiętam, bałam się napaści niedźwiedzia lub innego dzikiego zwierzęcia. Babcia co pewien czas musiała odpocząć i wtedy siadałyśmy na rudawy mech lub opadłe liście i igliwie. W tajdze panowała cisza, ale na pewnym etapie naszej wędrówki w czasie odpoczynku zasnęłam. Nagle obudził mnie jakiś łomot w zaroślach, przeraziłam się myśląc, że to niedźwiedź. Zaczęłam płakać i drżeć ze strachu. Babcia uspokoiła mnie mówiąc, że to tylko ptak – kuropatwa narobiła tyle hałasu.

Zapadał gęsty zmrok, ochłodziło się, gdy w pewnej chwili zobaczyłyśmy człowieka idącego w naszym kierunku. Okazało się, że to dziadzio wyszedł nam na spotkanie. Bardzo się wzruszył na nasz widok. Zaprowadził nas do małej pustej drewnianej „izbuszki” stojącej na końcu (lub początku) wioski i powiedział, że w tym kołchozie zatrudniono go jako pszczelarza. W tajdze istnieją szlaki wydeptane przez ludzi i zwierzęta pociągowe.

Cały czas zastanawiałam się skąd babcia wiedziała którą drogą trzeba iść żeby nie zbłądzić w tych bezkresnych leśnych przestrzeniach. Nie zapamiętałam nazwy miejscowości, w której dziadzio znalazł pracę jako wolny człowiek. Długo tam nie popasaliśmy ponieważ wkrótce z innego kołchozu zaproponowano dziadziowi pracę pszczelarza na znacznie lepszych warunkach. Nie pamiętam szczegółów przeprowadzki, ale zapamiętałam, że nowa miejscowość nazywała się Riezanka. Zamieszkaliśmy w „izbuszce” tubylczej rodziny o nazwisku Żdanow. Ich domek był typowy dla tych stron – drewniany, jego wnętrze stanowiła sień i dość duża izba z jednym oknem. W izbie stał duży piec chlebowy, na którym sypiał Wania, najstarszy syn Żdanowej, przykrywając się zawieszoną obszerną „szubą”. Wania był chory umysłowo. Żdanowa była wciąż poza domem, ciężko pracowała, a mąż prawdopodobnie poszedł na wojnę. Oprócz Wani miała córki – Niurkę normalną i miłą dziewczynę oraz Nastię również niepełnosprawną umysłowo. Nie pamiętam, czy u tej rodziny mieliśmy jakiś własny kąpiel, prawdopodobnie spaliśmy na podłodze.

Wczesnym rankiem wszyscy szli do pracy w kołchozie oprócz Wani, którego bardzo się bałam. Bywało, że był nieraz bardzo niespokojny, z obłędem w oczach. W przypływie strachu siadałam przy otwartym oknie upatrując w tej sytuacji możliwość ucieczki w razie szaleństwa Wani. Babcia i dziadzio ciężko pracowali w kołchozie od świtu do nocy i pewnie martwili się tym, że byli zmuszeni zostawić mnie z szaleńcem. A ja rzeczywiście pewnego dnia w przypływie strachu przed rozsierdzonym Wanią wyskoczyłam przez okno i błąkałam się po zaroślach w pobliżu domu Żdanowych. Pewnego dnia przyszła do nas Jania. Była ledwie żywa ze zmęczenia po pieszej wędrówce w towarzystwie starszych i silniejszych kobiet z Tiubilu do Riezanki – miała wtedy czternaście lat. Nie wiadomo jakiego argumentu użyli moi dziadkowie, że udało się im przekonać władze kołchozowe, aby nam przydzielono inne, lepsze warunki mieszkaniowe. Zamieszkaliśmy w domu Baby Juni. Mówiono o niej we wsi, że jest czarownicą. Mieszkała sama w dużej izbie o dwóch oknach zaopatrzonych w pięknie rzeźbione okiennice. Z małego podwórka wchodziło się po schodach na ganek, a z niego do sieni ze spiżarką. W izbie znajdował się duży piec chlebowy, od którego wzdłuż izby była wbudowana ścianka działowa. Za przepierzeniem znaj-

dował się kącik kuchenny i łóżko Baby Juni. Była ona lepiej usytuowana materialnie w porównaniu z innymi mieszkańcami wioski. Być może miała przyznaną jakąś rentę z powodu poległych na wojnie synów, nieżyjącego męża i podeszły wiek. W jej domu panował porządek i czystość. My całą rodziną spaliliśmy na siennikach rozkładanych na podłodze.

W kąciku kuchennym przy piecu stały kociuby, łopatki, miotełki o długich trzonkach, patelnia oraz słomiane koszyki do formowania i wyrastania w nich bochenków chleba. Babci, dziadzia i Jani nie widywałam całymi dniami, ponieważ pracowali, a ja przebywałam z Babą Junią, bojąc się jej czarów. Dla bezpieczeństwa siedziałam w kucki w kącie na ścierpniętych nogach. Ten kąt dawał mi poczucie bezpieczeństwa i stąd obserwowałam pieczenie blinów w piecu chlebowym i inne czynności Baby Juni. Bliny piekła w ten sposób, że na rozgrzaną w piecu patelnię wlewała ciasto naleśnikowe, następnie szybkim ruchem, posługując się kociubą wsadzała patelnię do pieca, po czym wyjmowała na zewnątrz podpieczony z jednej strony blin, podrzucała patelnię w taki sposób, że blin się odwracał na drugą stronę i po wpadnięciu do patelni, znowu lądował w piecu. Gorące bliny smarowała masłem, co nadawało im bardzo smakowity wygląd. Patrzyłam na te bliny z wielkim łakomstwem, bo przeważnie byłam głodna, ale nie przyjełam poczęstunku pomimo szczerzej zachęty od Baby Juni: „Szuroczka wazmi blinoczka, oczeń wkusnyj”. Smak blinów poznałam później, gdy się oswoiłam z osobą Baby Juni. Jej kuchnia była zasobna w żywność – miała własną krowę i hodowała świnki.

Jako sześciolatka przebywałam przeważnie wśród obcych tubylców, bo bacia, dziadek i Jańcia pracowali całymi dniami i być może ta samotność, lęki, poczucie zagrożenia, tęsknota za mamą wyostrzyły we mnie zdolność obserwacji otaczającego świata i zapamiętywania różnych zdarzeń. Część rodziny, która odpłynęła z Tiubilu tratwą znalazła zatrudnienie w jakimś kołchozie położonym daleko od Riezanki. Zesłańcy trzymali się razem nie tylko z własnymi rodzinami, ale przeważnie grupami rodzin. Mama z czteroletnim Zbysiem, ciocia Hela, wujek Władek, stryjek Gienek byli oddaleni od nas o kilkadziesiąt kilometrów. Nie widywaliśmy się, a ja tak bardzo za nimi tęskniłam. U Baby Juni mieszkało się nam dobrze. Przypominam sobie, że po długiej złotej jesieni przyszła bardzo mroźna zima. Okna pokryły się grubą warstwą lodowych kryształków ułożonych w piękne wzory przypominające liście paproci. Dziadzio z babcią musieli przenieść się do pracy poza Riezankę na tak zwany „Sachalin” – miejsce zimowania pasieki i młodych koni, które dziadzio nazywał łozakami. Oni tam opiekowali się właśnie tym kołchozowym dobytkiem. W Riezance u Baby Juni bywali rzadko. Janka i ja mieszkaliśmy nadal u niej. Jańcię bardzo bolały zęby, miała spuchniętą twarz. Baba Junia przy jakiejś kwadrze księżyca użyła swych czarodziejskich mocy i „zamówiła” ten bolący ząb. Okazało się, że „czary” były skuteczne, bo ból zęba i obrzęk twarzy rzeczywiście ustąpiły. Ja w czasie mrozów nie wychodziłam z domu, nie miałam odpowiedniego ubrania i obuwia. Siedziałam przy zamrożonym oknie, wyskrobywałam i wydmuchiwałam przezroczysty krążek na szybie, przez który podziwiałam uroki zimy. Jańcia, jako czternastolatka miała również obowiązek pracy i w domu bywała tylko wieczorami. A ja bardzo tęskniłam za rodziną, było mi smutno, nie miałam zabawek i często wracałam myślami do utraconego, ulubionego pajaca Wacka. Do Jańci przychodziła dosyć często koleżanka, której imienia nie pamiętam. Obie postanowiły uszyć dla mnie lalkę ze skrawków szmatek. Lalka była piękna, wypchana trocinami, miała lniane zło-

ciste warkocze i piękne rysy twarzy wymalowane jakimiś farbami. Stała się dla mnie wielką radością i towarzyszką mojej dziecięcej samotności.

Jeszcze tej samej zimy zamieszkałam z babcią i dziadziem na „Sachalinie” w małym drewnianym domku o jednej izbie, w której znajdowało się kilka przy- czy, duży drewniany stół otoczony ławkami i żelazny piecyk. W piecyku płonął nieustająco ogień. Suchego drewna nie brakowało w tajdze. Pamiętam, jak babcia upominała dziadzia: „Bój się Boga nie hajcuj tak w tym piecu, jeszcze nie daj Boże zapali się sadza w kominie i dojdzie do pożaru”. Na tym „sachalińskim” pustkowiu babcia bała się bardzo pożaru, zgłodniałych wilków i „bradiagów”. Bradiagi to uciekinierzy z więzień i łagrów, którzy kryli się w tajdze i podobno wielu z nich było zdolnych do agresji, a nawet zbrodni. Obawy babci były zrozumiałe, przecież na tym „Sachalinie” oprócz nas ukrytych w izbuszce, stajni dla młodych koni (łoszaków) i pasieki nie było żadnych żywych stworzeń. Dziadzio co pewien czas jeździł saniami do Riezanki po jakiś niewielki przydział prowiantu i paszy dla zwierząt, wtedy babcia modliła się o jego szczęśliwy powrót. Była świadoma tych wielkich niebezpieczeństw grożących człowiekowi w takiej głu- szy. Wyczuwałam jej lęki, które i mnie udzielały się bardzo mocno. Pewnego razu w czasie wyprawy dziadzia do Riezanki spadł bardzo obfity śnieg, potwo- rzyły się zaspasy wskutek silnej zawiei, znikły przetarte szlaki. Dziadzio miał bar- dzo utrudniony powrót na Sachalin i dotarł na miejsce z dużym opóźnieniem. Był bardzo zmarznięty, na jego wąsach wisiały sopele lodu. Wrócił głodny i jedno- cześnie szczęśliwy, że nie zblądził w tej zawierusze i ciemności.

Wraz z nadchodzącą wiosną świat stawał się radośniejszy. Na Sachalinie pojawiła się Jańcia i została z nami. Słońce wysyłało coraz cieplejsze promie- nie, na dachu pojawiły się długie sopele lodu, pomału tajał śnieg. Pewnego dnia przywędrowały do nas kochane osoby, to była mama i ciocia Hela. Pobyt ich był krótki i pamiętam, że nie mogły mnie wziąć ze sobą, nic nie pomogły moje lamente i płacze. Czułam, że w naszym życiu nastąpi jakaś zmiana, jakieś nowe wędrowanie. I nastąpiła, ale ja niewiele z tego pamiętam. Mam zarejestrowane pewne obrazy widziane dziecięcymi oczami w dziecięcej głowie. Była to wę- drówka z babcią przez tajgę jakimiś wydeptanymi przez ludzi szlakami. Widzę, jak na śródleśnej polanie spotykamy dziadzia Antoniego. Polana zalana słoń- cem, zielona, słyszę brzęczące owady i czuję powiew lekkiego wiatru. Jakiś drewniany budynek, a przed nim stojący stół, którego blat oparty był na skrzy- żowanych nogach oraz leżące przy nim ociosane grube belki służące do siede- nia. Do dnia dzisiejszego czuję to wielkie zmęczenie i błogą senność. W miej- scu, do którego dotarliśmy z babcią oprócz dziadzia były młode uśmiechnięte kobiety, które częstowały mnie potrawą o nazwie kisiel zrobiony z owsa i napo- jem nazywanym „braszką”. Przypuszczam, że w tym miejscu znajdowała się pasieka i pewnie dziadzio tam pracował. Zupełnie nie pamiętam rozstania z Sachalinem, Riezanką i Babą Junią. Nie wiem też dlaczego ten króciutki frag- ment mego życia tak wyraziście wbił mi się w pamięć. Potem następuje luka pamięciowa. Następne obrazy, które zaszyfrowałam w pamięci mają związek z wioską o nazwie Jakuszowa. To był kołchoz, w którym zatrudnienie znalazła prawie cała nasz rodzina i kilka innych polskich rodzin, z którymi wywędrowa- liśmy z Tiubilu i staraliśmy się trzymać razem, albo w pobliżu siebie. Rodziny zesłańców kwaterowano prawie zawsze u rodzin rosyjskich, zwłaszcza u tych, które miały większe mieszkania.

W Jakuszowej zamieszkaliśmy u „chazajki” Morozowej w dość dużym drewnianym budynku. Gospodyni Morozowa nie należała do miłych osób, wyglądała raczej groźnie. Bałam się jej, a zarazem podziwiałam za ład i ładny wystrój izb, w których samotnie mieszkała. Podziwiałam pięknie zastrane łóżko z piramidą poduszek i poduszeczek ułożonych na koronkowej kapie oraz zawieszony nad nim kolorowy samodziałowy kilim. Obok na ścianie wisiały instrumenty muzyczne – bałałajka, mandolina i gitara. Nikt na nich nie grał, ponieważ właściciele tych instrumentów zostali powołani na wojnę – mąż Morozowej i dwóch synów. Prawdopodobnie już gdzieś kiedyś słyszałam brzmienie tych instrumentów. Podczas nieobecności „chazajki” uchylałam z naszej izby drzwi na pokój gospodyni marząc o dotknięciu strun któregoś z tych instrumentów. Miałam w uszach zaczarowany świat muzyki. W naszej rodzinie śpiewało się dużo – indywidualnie, jak np. śpiewanie mamy albo wspólnie „na głosy”. W Tiubilu moja mama, ciocia Hela i zaprzyjaźnione Polki, które zbierały się u nas, każda ze swoją kądzielą i przędąc śpiewały: „O mój rozmarynie”, „Rozkwitały pąki białych róż”, „Na Podolu biały kamień” i wiele innych. Zapamiętałam fragment piosenki „siedzi ona przy małym stoliku białe orły wyszywa...”. Pewnego dnia, podczas nieobecności Morozowej w domu, zakradłam się do jej pokoju i dotykałam strun wiszącej na ścianie bałałajki ogarnięta strachem, że mnie na tym przyłapie.

Z moich obliczeń wynika, że w Jakuszowej przeżyliśmy około dwóch lat. Pewne zdarzenia mają związek z przeżytą mroźną zimą w domu Morozowej i głodzie wśród Polaków. Ludzie, którzy pracowali przy zbiorach kołchozowego zboża przynosili do domu nabrane ukradkiem do obuwia ziarno i tym się żywili. U nas w rodzinie również brakowało żywności. Pamiętam, jak w czasie późnej jesieni babcia ukradkiem przyniosła buraki cukrowe. Część z nich upiekła, a z pozostałych zrobiła syrop – to był rarytas dla mnie i mojego brata. Przez całą zimę bardzo głodowaliśmy, a gdy nadeszła wiosna głód jeszcze bardziej dawał się we znaki. Pewnego wiosennego dnia Morozowa zaproponowała mojej mamie skopanie ogrodu w zamian za mleko (Morozowa posiadała krowę). Mama kopiąc ten ogród wyjmowała z ziemi korzenie różnych chwastów, a my ze Zbysiem, jako osoby towarzyszące mamie i bardzo głodne, dobraliśmy się do tych korzeni i po oczyszczeniu z ziemi tych, które były słodkie sporo ich zjedliśmy. Wkrótce okazało się, że najedliśmy się trujących korzeni blekotu i niewiele brakowało a stracilibyśmy życie. Straciliśmy obydwój z bratem przytomność i bardzo majaczyliśmy, rozpacz mamy była nie do opisanego. Jakiś chłopiec Polak pobiegł na kołchozowe pole, żeby zawiadomić o wypadku babcię i dziadzia. Dziadkowie, Morozowa i inne osoby zajęły się ratowaniem naszego życia sposobami znanymi ludziom prostym, ale z natury mądrym. Dochodziliśmy długo do sił, ale wyzdrowieliśmy.

Nie wiem z jakich powodów wyprowadziliśmy się z domu Morozowej do domu Tatiany. Był to dość duży drewniak z wydzielonymi dwoma mieszkaniami o osobnych wyjściach. Tatiana była jeszcze dość młodą kobietą ciężko pracującą w kołchozie i chyba dlatego rzadko widywało się ją w domu. Miała na utrzymaniu trójkę dzieci – dwie córki i syna. Obie części domu były podobne, z tym że mieszkanie gospodarzy było trochę większe. Łącznikiem obu mieszkań był duży piec chlebowy wystający częściowo na obydwie mieszkania, na którym znajdowały się miejsca do spania. W mieszkaniu gospodarzy znajdowały się tzw. pałatie – coś w rodzaju szerokiej półki pod sufitem stanowiącą miejsce do spania, na którą

wchodziło się po drabince od strony pieca. Przypominam sobie, że nieraz na tej „pałatki” spałam z dziećmi gospodyni. Tatiana spała na jedynym łóżku, które było w tym mieszkaniu. Babcia mówiła o Tatianie, że jest dobrą, spokojną kobietą. Jej mąż był prawdopodobnie na froncie. Mieszkanie u Tatiany zapamiętałam, bo przeżyliśmy wówczas bardzo mroźną zimę i straszliwy głód. Pewnego razu mama wybierała się wraz z innymi osobami do tajgi po drewno na opał. Nakładała na siebie z ubrań wszystko, co było możliwe, żeby nie zamarznąć. Miała również obwiązaną twarz chustami, to znaczy całą głowę łącznie z czołem nosem i brodą. Bała się nie tylko mrozu (ponad 50 stopni), ale również zgłodniałych wilków. Zdarzało się, że napadały na ludzi i konie.

Dorośli w czasie zimy pracowali przy zbożu lub inwentarzu nie otrzymując za to żadnej zapłaty. Nas czasami wspomagała Tatiana – miała własną krowę i świnkę. W tę zimę bardzo cierpiałam z powodu bólu zębów, płakałam i jęczałam. Na Syberii nie było żadnej opieki lekarskiej, ludzie ratowali się stosując znane im metody ludowe. Ja za radą babci nakładałam na bolące zęby kawałki liści tytoniu lub wciągałam w usta dym ze skręta zrobionego z pokrojonego liścia tytoniu i kawałka gazety. Dziadzio Antoni odkrywając metody babci mające na celu uśmierzenie mojego bólu, bardzo się rozgniewał i zabronił tych praktyk. Inne wspomnienie z Jakuszowej ma związek z panującym mrozem około 50 C i sytuacją pewnej polskiej rodziny. Pewnego dnia otwierają się drzwi wejściowe do naszego mieszkania, buchają gęste kłęby pary, z których wylania się moja mama i z wielkim przejęciem opowiada babci w jakich strasznych warunkach żyją Szczypuchowie, których odwiedziła z jakiegoś powodu. U tej rodziny panowała skrajna nędza – posiadali tylko jedno cieplejsze ubranie, z którego korzystała cała, dość liczna rodzina wychodząc za potrzebą na zewnątrz mieszkania. Reszta poszarpanej, pościeli z wysypującym się z dziur pierzem leży w kącie izby i przykrywa siedzących w tym barłogu członków rodziny w szczątkowych strzępach ubrań.

Rodzina Szczypuchów wróciła do Polski z Ameryki tuż przed wybuchem wojny. W Ameryce dorobili się sporego majątku. Część tego majątku udało się im zabrać na wygnanie. Na Syberii początkowo żyli znacznie lepiej niż inni Polacy wyprzedając cenne zasoby. Jednak zasoby szybko wyczerpały się a towarzysząca temu niezaradność życiowa spowodowała, że rodzina ta wpadła w skrajną nędzę. W kolchozie Jakuszowa warunki bytowe z dnia na dzień pogarszały się – ludzie ciężko pracowali i „puchli z głodu” – tak mówiła babcia.

Ponieważ po stalinowskiej amnestii byliśmy „wolnymi ludźmi” więc postanowiliśmy szukać lepszego bytu w innych przybytkach socjalistycznej gospodarki „wielkiego Związku Radzieckiego”. Wyruszone grupkami dorosłych ludzi w daleką pieszą wędrówkę w poszukiwaniu chleba. Z naszej rodziny w wyprawie wzięli udział dziadzio Antoni i stryjek Gienek. Nie pamiętam ile czasu trwała ich nieobecność w Jakuszowej, ale pewnego dnia wrócili z „podwodą” z sowchozu o nazwie Bieriozowa, gdzie znaleźli pracę na nieco lepszych warunkach niż w Jakuszowej. W sowchozie tym chętnie przyjęto Polaków, ponieważ wszystkich rosyjskich mężczyzn powołano do armii i brakowało im rąk do pracy.

Do sowchozu Bieriozowa jechaliśmy prawdopodobnie trzy dni, ponieważ w czasie drogi korzystaliśmy z dwu noclegów w domach rosyjskich rodzin. Na Syberii panował piękny zwyczaj, że nie odmawiano podróżnym noclegu. Dobrze zapamiętałam gościnność z jaką nas przyjęto na pierwszym noclegu. Go-

spodiny domu nastawiła duży samowar i częstowała nas gorącym czajem – to był wrzątek zabieleny mlekiem. Postawiła również na stół dużą drewnianą miskę wypełnioną gorącym, bardzo gęstym kapuśniakiem. Jedliśmy ze wspólnej miski drewnianymi pięknie malowanymi łyżkami. Noc spędziliśmy śpiąc na pałatiach i na podłodze.

Następny rozdział naszego życia to Nowosiołowski Miasa – Sowchoz Bieriozowa. Ten okres tułaczki pamiętam najwyraźniej. Miałam już umysł siedmioletki, większą ciekawość świata i wrażliwość na całokształt wszystkiego, co się z nami działo. Bieriozową pamiętam jako małą wioskę leżącą na pograniczu tajgi i stepu. Jej mieszkańcy byli pracownikami gospodarstwa państwowego, w którym głównymi rodzajami gospodarki rolnej były: hodowla bydła oraz uprawa zboża i ziemniaków, a także przygotowywanie paszy dla zwierząt na okres zimowy. Wiosną, latem i jesienią krowy i konie przebywały w stepie na tak zwanych wypasach. W centrum wioski w drewnianym budynku znajdowała się „kantora”, w której urzędował „priedsiedatiel” i kilkoro urzędników. W pobliżu kantory stał budynek szkolny i „ławoczka” czyli sklepik, w którym pobierało się przydziały chleba przywożonego z Dauraska. Dookoła tych urzędowych przybytków stały domy tubylców, a na obrzeżach wioski pobudowano długie drewniane baraki dla zesłańców oraz obory, cielętniki, stajnie, magazyny i szopy oraz małe prywatne obórki mieszkańców. Za wioską znajdowało się dość duże i niezbyt głębokie jezioro, w którym taplały się dzieci, a kobiety płukały uprane w ługu rzeczy, a raczej mocno połatane łachmany. Mama, która była pogodną i bardzo wesołą osobą – pamiętam jak w czasie płukania śpiewała „z przodu łata z tyłu łata, tak wygląda demokrata”.

Rodziny polskie, które przywędrowały razem z nami do Bieriozowej zakwaterowano w długim drewnianym baraku w tak zwanych kajutach. Nasza rodzina otrzymała w użytkowanie dość duże pomieszczenie z jednym, ale dość dużym oknem, z piecem kuchennym i przypiekiem służącym do ogrzewania pomieszczenia. Pod drewnianą podłogą znajdował się niewielki wykop – piwnica przykrywana od góry klapą. W naszym sąsiedztwie mieszkało wiele polskich rodzin np. Komarowie, Strychalscy, Cymborowie, Mikołajczakowie, Szydekowie. Tę ostatnią pamiętam jeszcze z Tiubilu, bowiem przyjaźniłam się z ich córkami, o których już pisałam poprzednio, podobnie jak o małym Tadzium, który zmarł w wieku półtora roku oraz o jego ojcu. W rodzinie Mikołajczaków były dwie córki Gena i Irena oraz syn Tadeusz i bardzo chora matka. Pochodzili z Gniezna, z bardzo zamożnego rodu – tak mówiła moja babcia. Irka była moją rówieśnicą, Gena starsza o rok. Była też rodzina Nikusiewiczów – matka wówczas już starsza pani, Janka – córka, osoba wykształcona, nauczycielka z zawodu, pan Dziunek – brat pani Janki, grał pięknie na skrzypcach. Z rodziny Strychalskich zapamiętałam imię chłopca, prawdopodobnie mojego rówieśnika Olka. Między Polakami znalazła się Ukrainka – Hucułka o nazwisku Figulka z córką o imieniu Rozalia. Figulka donosiła władzom sowchozowym na Polaków, którzy „ukradli” coś sowchozowego, np. trochę zboża, ziemniaków albo brukwi z potrzeby zaspokojenia głodu, który coraz bardziej dawał się we znaki ludziom ciężko pracującym. Na szczęście władze kołchozowe traktowały te donosy niezbyt poważnie. Poza wspomnianymi rodzinami, w Bieriozowej mieszkały jeszcze inne polskie rodziny, których nazwisk nie pamiętam. Polscy mieszkańcy Bieriozowej pracowali bardzo ciężko przeważnie przy obsłudze bydła, koni i uprawie roślin zbożowych, okopowych i pasz, a zapłatą za to była określona ilość chleba. Mama

oporządzająca kilkanaście dojnych krów zarabiała na dobę 400 gram chleba, a my z bratem otrzymywaliśmy po 200 gram. Wspomniane oporzędzanie polegało na karmieniu i dwukrotnym dojeniu ich w ciągu dnia. Na sezon wiosenno-letni wielkie stado krów pędzono w step na wypas, daleko od Bieriozowej. Wraz ze stadem przenosili się na cały okres wypasu obsługujący go pracownicy. Mama też udawała się z nimi i tęskniliśmy za nią zawsze z jednakową mocą. Wszystkie czynności przy bydle wykonywano ręcznie. Karmienie, czyszczenie i dojenie powodowały ból rąk, zwłaszcza podczas nocy.

Nie potrafię określić o jakiej porze roku dotarliśmy do sowchozu Bieriozowa – przypuszczam, że to mogła być wiosna. Po zakwaterowaniu w długim drewnianym baraku, osobom zdolnym do pracy przydzielono określone obowiązki. Babcia i dziadzio wykonywali różne prace polowe. Jańcia obsługiwała młode bydło. Ciocia Hela i wujek Włodek w tym czasie przebywali jeszcze w innej miejscowości z rodziną. Razem z bratem oraz z innymi polskimi dziećmi organizowaliśmy sobie sami życie podczas nieobecności starszych osób. Najczęściej bawiliśmy się w chowanego, w berka lub w „klasy”. Poznaliśmy również grę w kości polegającą na „zbijaniu” drobnych kości z odnóży świńskich – nie pamiętam skąd je mieliśmy. Graliśmy również kamyczkami podrzucając i chwytając je przy spadaniu w dół. Wieczorem, gdy dorośli wracali z pracy babcia przygotowywała jakiś posiłek, a później kładliśmy się spać na przygotowane na podłodze posłanie. Latem posłanie było obkładane liśćmi paproci, które chroniły ciało przed pluskwami, ale tylko częściowo, ponieważ pluskwy wchodziły na sufit skąd spadały na posłanie i atakowały śpiących. Mnie i mojego brata Zbysia w dodatku bolały poobijane, pokaleczone i ropiejące stopy – chodziliśmy bowiem boso przez wiosnę, lato aż do późnej jesieni. Nie mieliśmy obuwia.

W Bieriozowej nie mieliśmy też lepszych warunków do życia, bardzo głodowaliśmy, bo oprócz przydzielonego chleba tj. owych głodowych „pajek” często nie było niczego innego do jedzenia. W okresie wiosny i lata dożywialiśmy się szczawiem, lebiodą, pokrzywą, szczypiołem zbieranym na moczarach oraz cebulkami dziko rosnących tulipanów. Nie znaleźliśmy smaku mleka do momentu, kiedy Jańcia mając talent malarski zaczęła malować. Rosjankom bardzo podobały się jej pięknie namalowane widoczki lub girlandy na górnym rogu papieru listowego, na którym pisały listy do swoich bliskich „bajcow” – mężów, synów, ojców znajdujących się na froncie. Wdzięczne kobiety w zamian za tę malarską przysługę przynosiły nam niekiedy trochę mleka w glinianym garnku. Mieszkający tu Rosjanie byli w lepszej sytuacji materialnej niż my zesłańcy. Posiadali ogrody przy swoich domach i wolno im było trzymać na własne potrzeby po jednej krowie i jednej śwince na ubój.

Mimo starań nie potrafię opisać w porządku chronologicznym kolei naszych syberyjskich losów. Nie jestem też pewna kiedy mama wyjechała daleko od Bieriozowej by paść bydło. Widziałam ją wiele razy, jak jeżdżąc na koniu pilnowała stada krów trzymając w ręce bat zakończony metalowymi kulkami. Bat stanowił broń przed groźnymi w stadzie buhajami, a było ich dwie sztuki. Jeden był bardzo groźny i nazywał się Waśka. Do nozdrza miał przymocowane metalowe kółka. Mama pracowała tam od świtu do wieczora. Pod koniec dnia stado zaganiano do zagród i dojeno krowy. O ilości krów, które musiała wydoić dwa razy – rano i wieczorem nie opowiadała nam. Potem mówiło się często w naszej rodzinie, że wydojenie kilkunastu krów to wielki wysiłek i przyczyna bólu rąk

mamy. Ta bardzo ciężka praca odbijała się stopniowo bardzo niekorzystnie na jej zdrowiu. Mając dwadzieścia siedem lat życia traciła siły i coraz częściej odczuwała ból w kolanie lewej nogi. Bardzo się bałam o nią i tęskniłam, gdy z powodu wykonywanej pracy była zmuszona rozstawać się z nami. Pewnego razu bez wiedzy babci i dziadzia wybraliśmy się ze Zbysiem w odwiedzinach do mamy. Szliśmy bardzo długo wydeptanymi ścieżkami, przy których rosły i pięknie kwitły różne kwiaty. Wreszcie zobaczyliśmy w oddali pasące się krowy i dwoje jeźdźców. To była nasza mama i Cygan Andriej. Razem pilnowali stada. W pewnym momencie w naszą stronę zaczął biec z podniesionym ogonem, brykający i groźnie ryczący byk Wasia. Pewnie zabódlby nas i rozniósł na strzępy, gdyby w pobliżu nie było wysokiej sterty siana. Z opowiadań miejscowych osób, o częstych przypadkach zabijania ludzi przez rozjuszonych byków tak zwanych stadników, wiedziałam, że grozi Zbysiovi i mnie wielkie niebezpieczeństwo. Nie tracąc zmysłów mimo grozy sytuacji chwyciłam brata za chude rączki i zaczęłam razem z nim wspinać się na wysoką stertę siana. Wciągałam go z wielkim wysiłkiem, ponieważ suche, śliskie siano obsuwało się pod naszymi stopami. Jednak zdążyliśmy wspiąć się na wierzchołek sterty zanim dopadł do niej rozjuszony byk. Rogami rozrzucał siano groźnie bucząc i wierzgając tylnymi nogami.

Co było później nie pamiętam. Uratowała nas mama i młody Cygan Andriusza. Jeszcze dzisiaj obezwładnia mnie przerażenie na wspomnienie tamtej sytuacji. Inny obrazek mający związek z tą naszą wyprawą, to radość mamy, że ma nas przy sobie. Sądzę, że babcię i dziadzia powiadomiła przez odbiorców mleka z udojów, że jesteśmy u Niej. Mama mieszkała z nadwożańską Niemką Katią współpracującą przy oporządzaniu bydła. Zajmowały mały drewniany domek gdzie były prycze i piec kuchenny, na którym grzały wodę i gotowały posiłki. Przypominam sobie, że teren tego wypasu był pagórkowaty i na południowych stokach czerwieniły się między trawą owoce poziomek. Zbieraliśmy te dorodne pachnące owoce, zalewaliśmy je mlekiem i zjadaliśmy z wielkim apetytem. Powrotu do Bieriozowej nie pamiętam. Wiem natomiast, że wróciłam sama, a brat Zbysio został z mamą.

Pamiętam, że babcia miała ataki malarii i ja się nią opiekowałam. Pierwszymi objawami choroby były mocne dreszcze i uczucie zimna. Przykrywałam wtedy chorą, czym tylko się dało, a po ustąpieniu dreszczy babcia dostawała bardzo wysokiej gorączki i traciła przytomność. Pewnego razu, gdy była bardzo cierpiąca, po upalnym przedpołudniu nadciągnęła burza z błyskawicami, grzmotami i ulewnym deszczem, który przeciekał do wnętrza kajuty i stopniowo zalewał całą jej powierzchnię. Babcia leżała rozpalona i nieprzytomna na pryczy, którą przesuwałam w jeszcze suche miejsca naszej izby. Mogłam mieć wtedy zaledwie siedem lat. Skąd czerpałam tyle siły do przesuwania ciężkiej pryczy z chorą babcią?

Kiedy nadeszła jesień a potem zima, zapanował wielki głód. Dostawaliśmy małe porcje chleba i nic więcej. Cała żywność szła na front. Mama, żeby ratować Zbysia i mnie przed głodowym wycieńczeniem, postanowiła dokarmiać nas mlekiem z nielegalnego źródła. Wykorzystała do tego celu robocze ubranie składające się z watowanych spodni i kufajki. Do spodni od wewnętrznej strony wszyła dwie kieszenie i do nich wkładała półlitrowe butelki napełnione ukradkiem mlekiem w czasie dojenia krów. Sama też nie tracąc okazji piła „kazionne” mleko. Wspomniana już Hucułka Figulka mieszkała w „naszym” baraku naprzeciw drzwi wejściowych do korytarza, dzięki czemu miała możliwość podglądania

sąsiadów. Od rodziny z Huculszczyzny często otrzymywała paczki żywnościowe, w których również przysyłano jej cukierki. Udając dobrotliwą osobę wabiła tymi cukierkami polskie dzieci do swojej kajuty i przy okazji poczęstunku wypytywała je o różne rodzinne sprawy. Otóż ode mnie i mojego brata dowiedziała się, że mama przynosi nam potajemnie mleko. Wkrótce doniosła o tym „priedsiedatielowi” sowchozu, a ten wezwał mamę do „kantory” na rozmowę. Sądzę, że był dobrym człowiekiem i brzydził się donosicielstwem, ponieważ nie ukarał mamy; powiedział jedynie, że rozumie Jej sytuację i że ze względu na panujący głód musi wykarmić za wszelką cenę dwoje małych dzieci, ale musi się strzec złych ludzi i tutaj padło nazwisko Figulki. Mama była przerażona tym wydarzeniem, ale nadal od czasu do czasu przynosiła „kazionne” mleko w przepastnych kieszeniach „waciaków”. Priedsiedatiel okazał się człowiekiem wielkodusznym.

Polskie kobiety jesienne i zimowe wieczory spędzały na przędzeniu, spotykając się w umówionych miejscach. Często odbywało się to w naszej kajucie; przychodziły z kądzielami i przędły pięknie wyczesany len lub wypraną, puchatą wełnę owczą. Nie wiem skąd i jak zdobywały len, natomiast wełnę nabywały od ludzi miejscowych, którym wolno było trzymać po kilka owiec. Innym źródłem nabywania wełny, raczej nielegalnym, byli Chakasi, hodowcy owiec – skośnooki koczujący po stepie autochtoniczny naród. U nich można było potajemnie nabyć wełnę na zasadzie handlu wymiennego.

Dla mnie siedmiolatki te wspólne wieczory prządek były lekcjami polskości i patriotyzmu. Poznawałam twórczość Mickiewicza, Sienkiewicza i Konopnickiej, uczyłam się śpiewu polskich piosenek i pieśni religijnych. W czasie wypędzania nas z naszego domu w lutowy poranek 1940 roku dziadziowi udało się zabrać z domowej biblioteczki Biblię, trylogię Sienkiewicza, „Ballady i romanse” Mickiewicza oraz wiersze Marii Konopnickiej. Pamiętam, jak prządki prosiły naszą Jańcię żeby czytała głośno „Potop”. Czytała chętnie i płynnie, a potem rozwijała się dyskusja na temat losów Oleńki i Kmicica. Chłonełam te treści z wielkim zainteresowaniem – kształtowały moją wyobraźnię. Ziarenko polskości zaczęło się rozwijać; zachęcana przez mamę zaczęłam poznawać polskie litery i pisać po polsku na starych rosyjskich gazetach między drukiem i w miejscach niezadrukowanych. Atrament robiłam z buraka ćwikłowego. Nie pamiętam, jak go zdobyłam, ale wiem, że starłam go na tarce i wycisnęłam sok, którym pisałam posługując się naciętym w kształcie stalówki ptasim piórem. Buraczany atrament przeniesiony na gazetowy papier brązował i białł, ale dzięki niemu opanowałam sztukę pisania w języku polskim. Poza tym zaczęłam samodzielnie czytać poezję Mickiewicza i Konopnickiej. „Litanię” Bełzy znałam już od dawna. Nowe treści mocno wpływały na kształtowanie mojej wyobraźni i wrażliwości na wszystko, co wokół nas się działo. Liczenia, dodawania i odejmowania za radą mamy uczyłam się na patyczkach, samodzielnie. Uwielbiałam wieczorne śpiewy polskich kobiet przy akompaniamencie furczących wrzecion. Pamiętam umawianie się do śpiewu na głosy i wołanie do mojej mamy „Józia Ty śpiewaj drugim głosem”. Śpiewały pięknie, a tytuły lub fragmenty niektórych piosenek pamiętam do dnia dzisiejszego: „Zmarł biedaczysko w polowym szpitalu, a wczoraj był wesół i zdrów”. Inne piosenki „Pośród drzew w pięknej altanie Edwin Wandzie ścisnął dłoń” albo „Na Podolu biały kamień Podolanka siedzi na nim ...”, albo „Ty pójdiesz górą (bis) a ja doliną, Ty zakwitniesz różą (bis), a ja kaliną...”. Odbywało się również śpiewanie pieśni religijnych i wspólne modlenie się w różnych intencjach. Mama miała

piękny głos i często śpiewała. Bardzo lubiłam te wieczory przy kądzieli, kobiety przędąc śpiewały, żartowały i opowiadały różne ciekawe historie, a wrzecziona furczały i obrastały w cieniutką przędzę. Te wieczory i wszystko, co się w czasie nich działo odbywało się w nikłym świetle „kopciucha”. Kopciuch był zrobiony z puszki po konserwie, którą napełnialiśmy naftą, przykrywaliśmy jakimś krążkiem, z którego wystawał knot zrobiony z „bundy” dziadzia. Bunda to było okrycie w rodzaju peleryny uszyte z grubego wełnianego materiału. Służyło dziadziowi w syberyjskich warunkach zimą i latem, jako płaszcz i koc, a gdy zniszczyła się pozwolił na robienie z niej knotów. Odcinaliśmy z niej paski o szerokości około 1,5 cm, które zanurzone w blaszance z naftą dawały dosyć jasny płomień. Ja mając siedem lub osiem lat nauczyłam się pod kierunkiem mamy sztuki posługiwania się kądzielą i wrzeczionem. Przędłam len i wełnę, a także robiłam na drutach skarpety, szaliki, pończochy i rękawiczki. Pewnego razu mama przyniosła pasmo włókien z końskiego ogona, z których ręcznie skręciłyśmy sznurek. Z tego sznurka robiłam dla siebie coś w rodzaju ciepłych bamboszy. Do tego celu posłużyłam się szydełkiem, które własnoręcznie wystrugałam z gałązki jakiegoś drzewa lub krzewu. Bambosze były ciepłe i ładne.

Nie przypominam sobie od kiedy polskie dzieci zobowiązano do nauki w rosyjskiej szkole. Wydaje mi się, że to nastąpiło niebawem po naszym przybyciu do Bieriozowej. Uczyła nas Polka pani Janka Nikusiewicz z zawodu nauczycielka, znająca między innymi język rosyjski. Pierwszy raz w życiu otrzymałam dwa zeszyty – jeden do pisania tekstów a drugi do kaligrafii czyli do nauki pisania liter ładnym, równym, lekko pochyłym w prawo pismem.

Zima 1942/43 była bardzo mroźna, panował głód i beznadziejne oczekiwanie, że może coś się zmieni i przyjdą lepsze czasy. Z tęsknotą oczekiwaliśmy nadejścia wiosny i lata. Podczas mroźnych wieczorów i nocy często słyszeliśmy wycie zgłodniałych wilków. Podchodziły do wioski pod inwentarskie pomieszczenia sowchoźników próbując dobrać się do przestraszonych zwierząt. Pamiętam, jak spędzaliśmy Święta Bożego Narodzenia w pamiętnym 1942 roku a zwłaszcza Wigilię. W piwniczce pod podłogą kajuty mieliśmy trochę kartofli, chyba z jakiegoś sowchozowego przydziału dla „roboczych”. Jedliśmy je bardzo oszczędnie, a część z nich wydzielono na sadzeniaki, ponieważ władze sowchozowe obiecały polskim rodzinom niewielkie działki ziemi pod uprawę ziemniaków. Na okres Świąt Bożego Narodzenia babcia przeznaczała do zjedzenia trochę więcej kartofli, z których przygotowano nadzieje na pierogi. W zapasie miała trochę mąki, więc wspólnie z mamą narobiły tyle pierogów, żeby cała rodzina mogła najeść się do syta. Pamiętam, że zjadłam ich bardzo dużo. Więcej nie mogłam. Kiedy święta minęły i nastąpiła głodowa rzeczywistość, widziałam te pierogi w marzeniach i żałowałam, że nie zjadłam ich więcej. Babcia i mama tłumaczyły mi, że nie można najeść się na zapas. Przypominam sobie, że w czasie Wigilii i Świąt Bożego Narodzenia podłoga w naszej kajucie była wyścielona grubą warstwą siana. Babcia obawiała się, żeby siano nie zajęło się od kopciucha w razie jakiejś nieostrożności albo od iskry z pieca kuchennego. My z bratem byliśmy szczęśliwi z powodu tego siana – było przytulnie i ciepło, ale byliśmy bardzo ostrożni w postępowaniu z ogniem. Po świętach wróciła głodowa rzeczywistość. Zapas ziemniaków skończył się. Została tylko niewielka garstka przeznaczona do sadzenia na wiosnę i były one nietykalne. Nie było pajek chleba. Pewnego razu podebraliśmy ze Zbysiem po kilka zakazanych ziemniaków i na umówionym z innymi dziećmi spotkaniu, w „mieszkanu” Szydełków upiekliśmy je w paleni-

sku pieca i zjedli z wielkim apetytem. Babcia i mama zauważyły ubytek i gniewały się na nas. Mama pocieszała się, że pozostałe bulwy będzie można do sadzenia dzielić na części o jednym lub dwu oczkach.

Bywało też, że mama w towarzystwie polskich przyjaciółek chodziła do bardzo odległych miejscowości na tak zwaną „wymianę” rzeczy z ubrania na żywność. Pewnego razu przyniosła w zarzuconej na plecy płachcie głowy zmarzniętej kapusty, z której babcia przyrządzała przez kilka dni zupę. Oczekiwaliśmy wiosny mając nadzieję na lepszy byt, ale okazało się, że z jej nadejściem sytuacja jeszcze bardziej pogorszyła się, ponieważ na rzece Czującym ruszyła kra i została całkowicie przerwana dostawa chleba. Chleb był wypiekany w miejscowościach po drugiej stronie rzeki Czującym i przywożony do Bieriozowej promem, a następnie transportem konnym. W tej sytuacji zostaliśmy całkowicie pozbawieni żywności i pewnego ranka babcia powiedziała: „nie ma co jeść, wypada wbić zęby w ścianę”. Pamiętam, że dziadzio Antoni bardzo źle znosił głód – miał okresy depresji – krzyczał i płakał, a my nie mogliśmy mu pomóc.

Na Syberii szybko następują zmiany pór roku. Gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, wtedy szybko ustąpił śnieg i ludzie ruszyli po zbiór zmarzniętych ziemniaków z sowchozowych pól, nie zauważonych, a często celowo zostawianych w czasie wykopków. Ziemniaki były pomarszczone i miękkie, ale można je było zetrzeć na tarce i piec z nich placki na płycie kuchennej. Placki te bez soli kuchennej nie były smaczne. Nie pamiętam, czy przez cały czas, czy tylko przez pewien okres nie mieliśmy dostępu do soli kuchennej, tylko w oborach była sól bydłęca, ale w smaku gorzka i nie nadawała się do celów kuchennych. Wraz z nastaniem wiosny na stepie zaczęły się pojawiać: szczaw, lebioda, pokrzywa, a na moczarach – dzika cebula i czosnek. Ta zielenina była naszą żywnością, przyrządzana na różne sposoby, ale bez dodatku soli pozbawiona smaku. Nie znałam smaku masła, sera, jajek, nie wiedziałam o istnieniu takich potraw.

Zbliżały się Święta Wielkanocne. Okres wielkiego postu przeżywaliśmy modląc się i śpiewając religijne pieśni. Mama opowiadała bratu i mnie o męce Pana Jezusa i zachęcała do okazywania skruchy przed Panem Bogiem i przepraszania za popełnione grzechy. Dbała bardzo o stronę religijną naszego wychowania ucząc modlitw i pieśni religijnych. W okresie Świąt Bożego Narodzenia śpiewaliśmy kolędy, a znaliśmy ich wiele. W okresie Wielkiego Postu śpiewaliśmy najczęściej „Wisi na krzyżu” i „Ludu mój ludu”. Pamiętam, że śpiewając te pieśni ze Stasią Szydełko, zalewałyśmy się łzami i bardzo żałowałyśmy za popełnione grzechy. W okresie wiosny, zwłaszcza w maju, śpiewaliśmy pieśni Maryjne, odmawiałyśmy Litanie Loretąńską i modlitwę Św. Bernarda. Święta Wielkanocne przypadały na okres przedwiośnia lub wczesnej wiosny, czyli na okres największego głodu. Dorośli snuli wspomnienia świąt z przed wojny, o dzieleniu się święconym jajkiem i o suto zastawionym stole. Kiedyś mój sześćdziesięcioletni braciszek wymyślił, że trochę jajek można podebrać z ptasich gniazd i pewnego dnia przyniósł kilkanaście wzorzystych, kolorowych, różnej wielkości ptasich jajek. Mama była niemile tym zaskoczona i tłumaczyła mu, że nie wolno podbierać ptakom jajeczek z ich gniazd, że z nich wylęgają się małe ptaszki. Okazało się, że te jajeczka to były zbuki, czyli częściowo zależzone i zepsute jajo ptasie. Zbysio głęboko przeżył tę swoją porażkę i już nigdy tego nie robił, przeciwnie – strzegł ptasich gniazd.

Latem 1943 r. nastąpił pobór polskiej młodzieży do wojska. Pamiętam ciężarowy samochód pokryty plandeką, który stał w centrum wioski i wspinają-

cych się do niego młodych Polaków i Polki. Otaczały go zapłakane rodziny wznoszące modlitwy i błogosławieństwa. Ja też płakałam, bo wśród tych młodych ludzi znajdował się nasz ukochany stryj Gienek i wielu jego kolegów, między innymi Piotr Cymbor i Józio Szpak. Józio był chory psychicznie, a mimo to zwerbowano go do wojska. Wielu z tych młodych ludzi zginęło pod Lenino i w późniejszych frontowych walkach z Niemcami.

Ciocia Hela z wujkiem Władkiem nie przebywali z nami w Jakuszowej, a także w Bieriozowej. Pracowali i mieszkali z rodziną Włochów w innej miejscowości. Z tej rodziny wzięto do wojska wujka Władka i jego brata – Staszka wraz z żoną Rózią, Tomka, Romka i siostrę Zosię. Cioci Heli nie zabrali ze względu na zły stan zdrowia. Została z teściem i synem Tomka – Stasiem – moim rówieśnikiem. Wzruszający był moment, gdy z Bieriozowej ruszył samochód z polską młodzieżą i gdy rozległ się bardzo głośny śpiew. Wszyscy śpiewali nasz narodowy hymn „Jeszcze Polska nie zginęła” i głośno płakali. Po upływie miesiąca, a może dłuższego okresu od wyjazdu polskiej młodzieży do wojska dołączyła do naszej rodziny w Bieriozowej ciocia Hela. Dzięki niej było nam trochę łatwiej, ponieważ zarabiała szcieniem otrzymując zapłatę w produktach żywnościowych od rosyjskich klientek.

Chyba latem 1943 r. przyszła paczka żywnościowa z PCK zaadresowana do naszej Mamy. Była to niespodzianka, ale i wielkie rozczarowanie w oczach mamy na widok zawartości tej paczki. Pamiętam Jej słowa: „Lepiej żeby przysłali trochę smalcu, mąki i kaszy a nie te delikatesy”. Okazało się, że paczka zawierała, naturalną kawę, herbatę, figi, rodzyunki i trochę słodyczy. Widziałam w oczach mamy zmieszanie i łzy. Jednak przysłowie „Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło” sprawdziło się tym razem, bo ktoś z sybiraków, chyba tubylców doradził mamie żeby wybrała się z step do mieszkających tam Chakasów, koczujących pasterzy owiec z propozycją wymiany herbaty i kawy na owczą wełnę. Zdaniem doradców Chakasi byli smakoszami herbaty i kawy, a zatem gotowi byli zapłacić każdą cenę za towar w syberyjskich warunkach nie do zdobycia. Stało się tak, że pewnego letniego dnia wyruszyliśmy z mamą w daleką wędrówkę po stepie. Szliśmy wydeptanymi ścieżkami i po wielu godzinach zobaczyliśmy Chakaską wioskę. Szczegółów nie pamiętam, ale przypominam sobie, że zostałyśmy zaproszone do obszernej jurty, w której siedział „po turecku” stary Chakas, pewnie zwierzchnik tego plemienia i pykał dużą fajkę. Miał ciemnożółtą płaską twarz i skośne oczy z nieodgadnionym wyrazem. Uważnie wysłuchał oferty mojej mamy, a potem panowało dość długie milczenie. Siedziałyśmy również po turecku na jakimś dywaniku i czekałyśmy na odpowiedź. Handel wymienny okazał się niezwykle dla nas korzystny. Mama cieszyła się, że z uzyskanej dużej ilości wełny będzie mogła „zamówić” dla mnie i brata walonki tj. bardzo ciepłe obuwie, a także dla siebie oraz że tej wełny wystarczy jeszcze na zrobienie pończoch, skarpet, rękawic i swetrów. Część tej wełny miała kolor brązowy i z niej powstały walonki, a część była w kolorze białym. Słodycze z paczki mama wydzielała mnie i Zbysiówi w małych racjach. Jedliśmy je, jakby na pokaz między rosyjskimi rówieśnikami, a oni patrząc na figi pytali: „a eto szto takoje” – odpowiadaliśmy z bratem, że to figi, na co nasi rosyjscy koledzy i koleżanki parskali śmiechem i odpowiadali: „wy duraki – wot eto figa” pokazując przy tym splecione palce.

Czas płynął, a nadzieja powrotu do Polski, do domu była zmienna. Docierały do nas różne pogłoski o możliwościach powrotu do Ojczyzny. Mama podpadała na zdrowiu, traciła siły, zaczęła utykać z powodu mocno bolącej nogi, a ten ból nasilał się z biegiem czasu. Słowa Bóg, Ojczyzna, Polska nie schodziły z jej ust. Pomimo wielkiego cierpienia żartowała, że swoich dolegliwości chyba po to, żeby ten ból zamaskować i nie dawać nam powodu do zmartwienia i obaw o jej zdrowie. Ale ja nie ulegałam tym pozorom, widziałam cierpienie mamy i miałam w sercu wielki, a właściwie rosnący z dnia na dzień lęk. Chorą nogę próbowała leczyć stosując masaż pokrzywą, sporządzała smarowidło z mrówek, które nakładała na bolące kolano albo przykładła do niego pijawki. Od dojenia kilkunastu krów bolały ją ręce. Bardzo cierpiała, a przecież przeżyła dopiero 29 lat. Kochała nas bardzo i była dumna, że ma parkę, ale to Zbysio był jej „oczkiem w głowie”. Miałam uczucie, że zły los ciągle nas z mamą rozdziela.

Nie pamiętam kto i w jaki sposób wykrył u Stasi Szydełko i u mnie „cynge” czyli szkorbut, a jeszcze inaczej – gnilec dziąseł. Leczenie tej choroby polegało na pędzlowaniu jamy ustnej jakimś specyfikiem. Na ten zabieg chodziliśmy ze Stasią do Nowosiołowej – miejscowości odległej od Bieriozowej o kilkanaście kilometrów. Całe szczęście, że to wędrowanie przypadło na okres lata. I to było ostatnie lato wspólnych zabaw i wielkiej przyjaźni z Szydełkównymi, a zwłaszcza ze Stasią. Rodzina Szydełków wyprowadziła się do sąsiedniej wioski odległej od Bieriozowej o kilka kilometrów o nazwie Kargałyk. Bardzo brakowało mi towarzystwa Stasi, miałyśmy tyle wspólnych sekretów – to właśnie ona uświadamiała mnie, że dzieci wychodzą z brzuszka mamy, ku memu wielkiemu zdumieniu.

Do Bieriozowej wrócił z frontu. z powodu inwalidztwa młody Rosjanin o imieniu Misza. Na froncie utracił nogę i chodził wsparty o kulę. To był jedyny kawaler we wsi, cieszył się u dziewcząt wielkim powodzeniem, ponieważ był ładnym chłopcem, pięknie grał na harmonii. Siedząc wieczorami na „krylce” swojego domu śpiewał. Razem z nim śpiewały dziewczęta. Pamiętam niektóre fragmenty tych piosenek, jak np.

Anita głązki gałubyje,
w kawo krasawica rastiosz?
Rastu ja w maminku radnuju och radnuju,
a jej magiłka daleko.

Albo:

Dajcie w ruki mnie garmoń
Załatyje płanki
Piariień Dewoczku damoj
Proważał z gulanki
Oni szli ruka w ruku wiesieło i družno
Taka noczka nie balsza, rozstawatsa nužno

Jeszcze inne:

W etom szale my z niom powstriezczalis
W etom szale on mienia proważał
Ja szcziastliwa lico zakrywała
A on niezna mienia ceławał

Albo:

Spojtie piesniu junosti mojej
Spojtie piesniu junosti poka
Wsio rawno lubimaja
Pracwiot czieriomucha.

Albo:

Tam w Krasnojarsie tiurma bolszaja
Narodu w niej nie pieriesiecz
Ograda kamiennaja wysoka
Czieriez niej nie pierielest.

Bywało, że w czasie letnich wieczorów rosyjskie dziewczęta splecione ramionami spacerowały, idąc szerokim szeregiem przez wioskę śpiewały pięknie „na głosy” piosenki albo czastuszki. Bywało i tak, że Misza grał na harmonii, a one z wdziękiem tańczyły („płasały”) unosząc w palcach „płatok” (chusteczkę). Jako ośmio a potem dziewięciolatka patrzyłam na te popisy z zachwytem i marzyłam, że kiedyś też tak będę tańczyć i śpiewać.

Lato 1943 r. przemknęło szybko, nastąpiła jesień, a potem mroźna zima. Chodziłam do rosyjskiej szkoły, w której nadal uczyła pani Janka Nikusiewicz. Asystowała jej młoda Rosjanka, studentka pedagogiki, odbywająca praktykę w tutejszej szkole. Tej zimy było nie tylko mroźno, ale i głodno. Zbysio i ja często chorowaliśmy. Wysoka gorączka i utrata przytomności bardzo nas osłabiały. Oprócz nauki w rosyjskiej szkole nadal sama uczyłam się czytać i pisać po polsku korzystając z „Potopu” Sienkiewicza, poezji A. Mickiewicza i M. Konopnickiej. Pisałam listy do stryja Gienka, który był w dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Podobno cieszyły go te moje listy i chwalił się wśród kolegów, że otrzymuje je od bratanicy „samouka” języka polskiego.

Ciocia Hela posiadając umiejętności krawieckie przyjmowała od Rosjanek zlecenia na szycie. Robiła to ręcznie, ponieważ nie miała maszyny do szycie. Pamiętam uszyty przez nią kożuszek dla młodej Rosjanki „kosogłazoj” Marusi. Miała wykształcenie zootechniczne i nadzorowała w sowchozie produkcję zwierzęcą. Dobrze zarabiała i była dobrą klientką. Marusia była ładną szczupłą i zgrabną blondynką, ale miała zezą i dlatego nazywano ją „kosogłazą”. Za uszycie pięknego kożuszka dobrze Cioci zapłaciła pieniędzmi, które ciocia odłożyła na czarną godzinę. Pewnego razu przyszła od wujka Władka paczka z ubraniami. Część tych rzeczy ciocia sprzedawała zamożniejszym Rosjanom i znaczną częścią obdarowała Rodzinę. Przypominam sobie, że najpiękniejszą sukienkę kupiła Marusia ; wyglądała w niej, jak modelka.

Mnie z otrzymanych rzeczy w paczce ciocia uszyła piękny „sarafan”, błękitną spódniczkę w kontrafałdy i na szelkach oraz białą jedwabną bluzeczkę. W spódniczce i bluzeczce wystąpiłam na patriotycznej polskiej akademii. Akademia odbyła się wiosną 1944 r. w rosyjskiej szkole, jednak nie pamiętam na jaką okoliczność, a z wiersza, który recytowałam zapamiętałam tylko początkowy fragment „Ziemio Polska, Ziemio Święta...”. Zgromadzeni na uroczystości Polacy ze wzruszenia płakali. Pan Dziunek Nikusiewicz grał na skrzypcach, a polskie dzieci śpiewały „Płynie Wisła płynie po polskiej krainie, a dopóki płynie Polska nie zaginie”.

Rodzina Nikusiewiczów cieszyła się wśród rodaków wielkim autorytetem i stanowiła oparcie dla wygnańców. Panią Jankę, moją nauczycielkę, osobę inteligentną i wykształconą podziwiałam i kochałam. Ale pewnego dnia dowiedziałam się, że rodzina Nikusiewiczów wyjechała z Bieriozowej. W szkole panią Jankę zastąpiła młoda Rosjanka, która przez dłuższy czas odbywała praktykę w zawodzie nauczycielskim pod przewodnictwem pani Janki. Siedziała przeważnie w ostatniej ławce i obserwowała tok lekcji.

Tymczasem w gronie zesłańców rodziła się nadzieja na powrót do Ojczyzny. Mama coraz bardziej traciła zdrowie, coraz częściej i dotkliwiej bolała ją noga, ale pomimo cierpienia miała w sobie dużo radości, nadziei na lepsze jutro i dużo optymizmu. Nie przypominam sobie, kiedy władze sowchozowe przydzieliły polskim rodzinom małe działki gruntu pod uprawę ziemniaków i warzyw. W każdym razie w 1944 r. mieliśmy posadzone ziemniaki gdzieś na polu, a na obrzeżach Bieriozowej dziadzio założył ogród warzywny. Ogrodził go płotem z wikliny i uprawiał różne warzywa. Nie mogłam doczekać się, kiedy wyrosnie marchewka i pomimo prośby dziadzia skierowanej do rodziny, żeby pozwolić warzywom na wyrośnięcie, pewnego dnia wtargnęłam do ogrodu z grupą koleżanek i powyrywałyśmy sporo niewyrośniętych marchewek. Dziadzio bardzo się gniewał, gdy odkrył szkodę, ale ja byłam ostatnią osobą, na którą dziadzio skierowałyby podejrzenie – przecież byłam jego pupilką. Widząc zagniewanie i zgorzenie dziadzia, poczułam się bardzo winna, zawstydzona i pełna obawy, że zostanę zdemaskowana przez najbliższe mi osoby – co za wstyd i hańba! Postanowiłam, że już nigdy w przyszłości w taki sposób nie postąpię. Jednak do winy tej nie przyznałam się.

Następne ważne wydarzenie w życiu naszej rodziny to przeprowadzka z zapluskwionego barku do tzw. „murawańca”, czyli budynku z cegły usytuowanego w centrum wioski. W jego wnętrzu znajdował się piec chlebowy dzielący izbę na dwie części, czyli pokój z jednym oknem i kuchnię. W tak zwanym pokoju stały trzy lub cztery prycze i stół. W kuchni było również jedno okno, a na piecu chlebowym miejsce do spania. Pod piecem znajdowała się wnęka, w której suszyło się drewno na opał. Przed wejściem do kuchni była dość duża sień, w której jedynym meblem była dziadziowa skrzynia z narzędziami. W takim to budynku zamieszkała nasza siedmioosobowa rodzina: Babcia, dziadzio, ciocia Hela, ciocia Jania – wówczas już siedemnastolatka, moja mama, brat i ja ze swoim ulubionym kotem „Kiciem”. Przeprowadzka miała miejsce późnym latem lub wczesną jesienią, pamiętam, że było jeszcze ciepło.

Mama z powodu chorej nogi coraz mocniej utykała, traciła zdrowie i siły, ale nadal musiała ciężko pracować obsługując sowchozowe krowy. Jej cierpienie było moim wielkim cierpieniem i lękiem oraz jakimś niedobrym przeczuciem. W nowym miejscu zamieszkania spałam na piecu chlebowym razem ze swoim kotkiem, który tulił się do mnie, liział moją twarz i swoje łapki. Babcia upominała mnie, że od tego kociego lizania dostanę liszai i rzeczywiście pokażały się na buzi.

W pobliżu naszego „murawańca” znajdowała się „bania”, w której zażywaliśmy co pewien czas kąpiele w oparach grzejącej się w kotłach wody i wylewanej na duży rozgrzany kamień. Zajmowałyśmy z mamą miejsce na szerokiej drewnianej półce i brzożowym małymi miotełkami chłostałyśmy delikatnie

rozgrzane ciało. Pamiętam, zawsze czułam się skrępowana z powodu nagości. Mama wierzyła, że ten brzozowo-parowy masaż uzdrowi jej organizm, a zwłaszcza nogę. W tamtych czasach mydło było dla mnie pojęciem abstrakcyjnym. Do mycia głowy i prania rzeczy, a raczej łachmanów wykorzystywano popiół drzewny robiąc z niego tak zwany ług. Płukanie wypranych rzeczy odbywało się w pobliskim jeziorze. Do celów higienicznych w mojej rodzinie wykorzystywało się poza ługiem naftę i gęste drewniane grzebienie. W ten sposób broniliśmy się również się przed wszawicą i brudem. W „murowańcu” trafiały się również pluskwy, z którymi trwała nieustanna walka. Wodę pitną czerpaliliśmy ze studni znajdującej się w dość dużej odległości od nas. Napełnione wodą cebrzyki trzeba było przynieść do domu przy pomocy koromysła. Koromysło z wiszącymi na jego końcach, napełnionych wodą kubłami, zakładało się na ramiona i niosło do domu. Zaopatrywanie w wodę często było moim udziałem. Dzięki umiejętnościom dziadzia, nabytym w austriackiej szkole zawodowej w czasie młodości, mieliśmy różne niezbędne w życiu przedmioty, jak drewniane kubły, cebrzyki, balię, żarno. Na żarnie rozdrabnialiśmy ziarno zboża wyłuskanego z kłosów zebranych ukradkiem ze ściernisk.

Zima, którą przyszło nam przeżyć w „murowańcu” była bardzo śnieżna i mroźna. Pamiętam bardzo wysoki przekop w śniegu wiodący od drzwi do ulicy. Dziadzio pilnował by padający często śnieg nie odciął nam wyjścia z domu. Oprócz mrozów około 40-50 C panował wielki głód. Skończył się zapas ziemniaków zebranych z działki i nie dowożono przydziału chleba. Przypominam sobie, że naszymi ziemniakami dzieliliśmy się z rodziną Mikołajczaków. Babcia napełniała nimi koszyczek, który właśnie ja co pewien czas nosiłam do ich mieszkania.

Czekaliśmy z utęsknieniem na nadejście wiosny i możliwości pozyskania pożywienia z darów przyrody. Po stajaniu śniegu wyruszyliśmy ze Zbysiem na mokradła i skacząc z kępy na kępę zbieraliśmy szczypior dzikiej cebuli i czosnku. Poza mokradłami zbieraliśmy młodą pokrzywę, a nieco późniejszą wiosną – lebidę. Z tej zieleniny babcia robiła różne potrawy, ale bez soli nie miały one dobrego smaku. Szukaliśmy również pożywienia na „kartofliskach”, na których tu i ówdzie można było znaleźć zmarznięte, pomarszczone bulwy. Tarliśmy je z trudem na tarce i piekli z nich na płytach kuchennych placki, które byłyby znacznie smaczniejsze z dodatkiem soli, ale soli wciąż nie mieliśmy. Pewnego razu wczesną wiosną wybrałyśmy się z ciocią Helą na zbiór kłosów pszenicy na sowchozowe pola bardzo odległe od wioski. Kłosów było niewiele, widocznie ktoś przed nami zdążył je wybierać. Wspominam tę wyprawę dlatego, że na tych bezkresnych i bezleśnych przestrzeniach wiał silny lodowaty wiatr, który przenikał moje ciało „do szpiku kości” i nie było żadnej możliwości ukrycia się przed nim. Obie z ciocią odchorowałyśmy tę wyprawę, a zbiór kłosów był mizerny.

W opał zaopatrywaliśmy się przywożąc z lasu suche kawałki powalonych drzewa, najczęściej brzozowe. Kora brzozy służyła do rozpalania. Po drewno do lasu jeździł dziadzio, albo Jania sowchozowym zaprzęgiem, na co trzeba było uzyskać pozwolenie. Nieraz towarzyszyłam Janci w tej wyprawie. Pamiętam, że do uprzęży koni zaczepiałyśmy dzwonki, które miały odstraszać wilki. Załadowanie wozu drewnem wymagało dużego nakładu pracy. Drewno pochodziło przeważnie z wiatrolomów i wymagało oczyszczenia z gałęzi i odcięcia od korzeni. Po przywiezieniu pod dom trzeba było go po-ciąć, porąbać i ułożyć do schnięcia.

Zdarzało się, że w sowchozie padały zwierzęta, z których w czasie dotkliwego głodu ludzie starali się uzyskać część mięsa nadającego się do jedzenia. Zapamiętałam sytuację, gdy któregoś dnia rano przybiegł do nas młody chłopiec – Polak z informacją do dziadzia, że zdechł koń, z którego trzeba „spuścić krew” póki ciepły. Dziadzio chwycił jakiś ostry nóż i widocznie zrobił co trzeba, bo przyniósł do domu sporo koniny, którą sam upiekł w chlebowym piecu. Nikt z rodziny nie tknął tego mięsa oprócz mnie przekonanej przez dziadzia mówiącego do mnie: „ty Lesiuniu jedz mięso – jest smaczne, a te panusie widać wolą zdychać z głodu”.

W 1944 r. zezwolono na organizowanie polskich szkółek, w których nauczycielami zostawali ludzie bez wykształcenia pedagogicznego. Nauczycielką została ciocia Hela, która przed wojną, ukończyła szkołę zawodową we Lwowie. Organizowano je dla wiejskich dziewcząt w celu zdobywania takich umiejętności, jak krawiectwo, koronkarstwo, gotowanie, prowadzenie gospodarstwa domowego itp. Oprócz tych praktycznych przedmiotów dziewczęta uczyły się języka polskiego, historii, matematyki i innych przedmiotów ogólnokształcących. Dzięki temu wykształceniu powierzono Cioci nauczanie dzieci polskich w dwu szkólkach – w Bieriozowej i w Kargałyku. Nauka odbywała się co drugi dzień. Do tej drugiej szkoły ciocia chodziła pieszo, a ja często jej towarzyszyłam, ponieważ cieszyły mnie spotkania z dziewczętami z rodziny Szydełków. Między Bieziozową a Kargałykiem była duża odległość i pokonywanie jej było najgorsze w czasie zimy ze względów na bezdroża powodowane przez zamiecie śnieżne i zgłodniałe wilki. Kiedyś zdarzyło się, że musiałyśmy z Ciocią zawracać z drogi do Bieriozowej, ponieważ na zaśnieżonych polach niedaleko za wioską ukazał się wilk. Byłam przerażona i zdrętwiała, ale ciocia zachowała spokój i powiedziała „wracamy na Kargałyk”. Jeszcze dzisiaj na wspomnienie tamtej sytuacji czuję obezwładniający strach. Przenocowałyśmy u polskiej rodziny i wczesnym rankiem wyruszałyśmy do Bieriozowej.

Życie na Syberii stawało się coraz trudniejsze. Niemal cała żywność z sowchozu była zabierana na zaopatrzenie armii na froncie i dużych miast. Młodzi ludzie, głównie mężczyźni szli na wojnę, a na roli i przy obsłudze inwentarza pracowali ludzie starzy, kobiety i dzieci.

Mama coraz bardziej cierpiała z powodu chorej nogi, której nie mogła wyprostować. Miała spuchnięte kolano, łydka stawała się coraz szczuplejsza, a temu towarzyszył ból trudny do zniesienia. Cała nasza rodzina cierpiała z powodu jej choroby. Babcia i dziadzio bardzo zatroskani takim stanem jej zdrowia przekonali mamę by w towarzystwie cioci Heli pojechała do Krasnojarska po poradę lekarską. Okazało się że miała w kolanie wodę, którą usunięto. Nastąpiła ulga, ale po pewnym czasie bóle wznowiły się, a mimo to musiały ciężko pracować.

W tych ciężkich czasach dzieciom też nie wolno było próżnować. Pamiętam, że jako ośmio – a potem dziewięcioletnia dziewczynka w czasie wakacji musiałam myć i szorować cielętniki albo wrywać osty i inne chwasty z zasiewów pszenicy. Od wbitych w ciało ości ropiały mi ręce i poobijane stopy – wszak z braku obuwia od wczesnej wiosny aż do jesieni chodziłam „na bosa-ka”. Na przedwiośniu 1944 roku kupiliśmy wspólnie z inną polską rodziną krowę, która reagowała na imię „Miłka”. Jej kupienie było możliwe dzięki pieniądzom cioci Heli, które zarobiła szyciem przeróżnym rzeczy dla Rosjanek. Na-

zwiska współników od kupna krowy nie pamiętam, ale pamiętam zasady użytkowania tego pocziwego zwierzęcia. Otóż mieliśmy prawo do dwukrotnego udoju co drugi dzień. W dniu użytkowania mieliśmy obowiązek opiekowania się Miłką – czyli karmienia, pojenia, utrzymania czystości w obórce i czesania zgrzebłem. Miłka nie należała do krowich piękności, miała dużą głowę, zapadnięty kręgosłup i nisko zawieszona duże wymię ze skąpą zawartością bardzo smacznego mleka. Miała czerwono-brązowe umaszczenie i wielkie pocziwe krowie oczy. W tymże czasie dostaliśmy ze Zbysiem prezenty od mamy, a były to dwie kury. Brat, jako ten mniejszy i bardziej ode mnie przez los pokrzywdzony, otrzymał kurę większą, ładnie upierzoną i codziennie znoszącą jajko. Niestety moja była mała, miała nastroszone pióra, dziwaczny czub na głowie i za każdym razem po zniesieniu jajka zaczynała kwokanie. Zaprzyjaźnione osoby radziły, żeby kurę po rozpoczęciu kwokania moczyć w jeziorze – rzeczywiście po kąpielach przestawała kwokać. Zauważyłam, że po pewnym czasie moja kura zaczęła znikać na całe dni; od czasu do czasu pokazywała się tylko po to, żeby podziobać nieco paszy, przestała znosić jajka i kwokać. Okazało się później, że wysiadywała na jednym jajku, które zniosła w schowku pod piecem chlebowym. Po pewnym czasie wylęgło się jedno śliczne, żółte kurczątko. Pokochałam to malutkie pisklę, ale nie dane mu było długie życie. Zginęło pod naręczem drewna, które dziadzio zrzucił przy piecu na siedzące tam maleństwo, którego nie zauważył. Z powodu śmierci kurczątka cierpieliśmy obydwój z dziadziem. Zostało pochowane z należytym honorem w pobliżu „murowańca”. Jakie były dalsze losy naszych kurek nie pamiętam.

Latem, po wyczerpaniu się zapasu drewna, używaliśmy do palenia w piecu kuchennym „gawiaszy” czyli wyschniętych w słońcu bydlęcych odchodów, które miały kształt okrągłych suszonych placków, leżących na wyskubanej przez bydło stepowej trawie. Zaopatrywanie domu w ten opał było moim i Zbysia obowiązkiem. Chodziliśmy po stepie wypatrując „gawiaszy” i zbierając je do worków, które, a po napełnieniu dzwigaliśmy na plecach do „murowańca”. Latem opuszczała go mama pracując przy bydle na wypasach i Jańcia, która pracowała na „szyngalce” opiekując się jałówkami. Babcia i dziadzio zajęci byli w dzień pracami polowymi i na noc wracali do domu. Ciocia Hela prawdopodobnie odwiedzała swojego teścia i bratanka, którzy mieszkali w innej, daleko położonej wiosce.

Polskie dzieci, w wolnych od obowiązków i pracy chwilach, organizowały sobie różne przedziwne zabawy. Pamiętam przyjaciół z tamtych czasów, np. z rodziny Mikołajczaków Tadeusza, Gienę i Irkę, Dankę Kuzdębówną, Gienka Cymbora, Olka Strychalskiego, a także dzieci rosyjskie, które wraz z matkami zostały wysiedlone z Moskwy. Nasze ulubione zabawy to gry w klasy, w wspomniane już zbijanie kości, gry z kamykami, skakanie na skakance, chodzenie na szczudłach, gry z piłką np. w palanta lub w dwa ognie. Poza tym nauczyłam się od dzieci grać na drewnianym grzebieniu, wystukiwania rytmu na łyżkach a także przy pomocy specjalnie ułożonej dłoni. Bawiliśmy się w chowanego, w „berka” i dużo śpiewaliśmy. Do zadań dzieci należało wspomaganie rodzin w zaopatrywaniu w dary natury nadające się do jedzenia, a więc wykopywaliśmy cebulki tulipanów rosnące na stepie, zbieraliśmy liście szczawiu, lebiody i pokrzyw.

Step wiosną i latem był piękny. Pamiętam barwne wzgórza pokryte kwitnącymi roślinami i wijące się wydeptane ścieżki i wzdłuż nich niebiesko kwitnące

kosańce, tj. rośliny z rodziny kosańcowatych, tzw. „irysy syberyjskie”. Rosły tam dziko przeważnie wzdłuż wydeptanych stepowych ścieżek. Na ogół latem świeciło słońce na błękitnie nieba, ale bywało, że zrywał się wiatr, napędzał czarne deszczowe chmury i wybuchały groźne burze z piorunami i ulewnymi deszczami. Z końcem lata i początkiem jesieni rozpoczynały się przygotowywania do zimy. Dotyczyły głównie zaopatrzenia w żywność i opał. Pewnego razu zaistniała, taka sytuacja, że otrzymaliśmy zezwolenie na zaprzęg roboczego woła do transportu kilkunastu worków ziemniaków z Szyngalki, uprawianych przez ciocię Jańcę na małym poletku leśnej polany. Wspominałam już, że na Szyngalce odległej od Bieriozowej o kilkanaście kilometrów, w okresie lata trzymano sowchozowe młode jałówki, którymi opiekowały się polskie dziewczęta, a przy okazji każda z nich miała swoje ziemniaczane poletko. Mieszkały w drewnianej „izbuszce”, w tajdze i drżały ze strachu przed napaścią wałęsających się po lesie „bradiagów” – ludzi ukrywających się przed sowiecką władzą. Tak się złożyło, że w dniu, w którym otrzymaliśmy zezwolenie na wykorzystanie woła do przywiezienia ziemniaków, nikt z dorosłych z naszej rodziny nie otrzymał tzw. wychodnego i nie miał kto zająć się tą sprawą. Pomyślałam sobie, że kiedyś dziadzio nauczył mnie zakładać wołowi na kark jarzmo i zaprzęgać do wozu. Podjęłam decyzję, że pojedę po ziemniaki z towarzystwem zaprzyjaźnionych rówieśników. Wyprawa byłaby udana, gdyby w drodze powrotnej z Szyngalki wół nie odmówił posłuszeństwa. Miało się ku wieczorowi, gdy położył się na leśnej drodze i nie można go było zachęcić do powstania. Przesiedzieliśmy w lesie do świtu, po czym wół wstał i nagle ruszył w dalszą drogę. Na kilkanaście kilometrów przed Bieriozową spotkaliśmy dziadzia, a nieco dalej mamę. Obydwoje byli przerażeni na myśl, że mogliśmy zbłądzić w tajdze.

W wędrownkach po stepowych ścieżkach miałam wprawę. Już jako siedmiolatka z pięcioletnim Zbysiem chodziliśmy letnią porą przez step do mamy na wypasy i nigdy nie zbłądziliśmy. Byłam nieco starsza, mogłam mieć osiem lat, jak wędrowałam w towarzystwie Stasi Szydełko do Nowosiołowej na pędzlowanie dziąseł opanowanych przez skorbut. Pamiętam, że podziwialiśmy ze Stasią małe zwierzątka mieszkające w norkach umieszczonych przy wydeptanych przez wędrowców ścieżkach. Gdy poczuły idącego człowieka wychodziły z nerek i stawały pionowo na tylnych łapkach przyglądając się wędrowcom, a potem szybko znikwały w swoich podziemnych mieszkaniach. Tubylcy nazywali te zwierzęta suslikami.

Chyba w 1945 r. zaczęły do zesłańców docierać pogłoski o możliwości powrotu do Ojczyzny. W serca wygnańców wstępowała nadzieja, a później gaśła, gdy nic się nie działo. Mama coraz bardziej traciła zdrowie i siły. Noga coraz mocniej bolała, ale w jej sercu trwała nadzieja, że jak wrócimy do Ojczyzny to na pewno wyleczy się i że być może odnajdzie się nasz tato i do nas wróci, a wtedy wszystko zmieni się na lepsze. Od 1945 r. staraniem Związku Patriotów Polskich czasami przychodziły dla nas jakieś zapomogi, które nie zawsze były sprawiedliwie przyznawane i dzielone. Takie opinie nieraz słyszałam z ust dorosłych osób a także od mamy.

Po wyprowadzeniu się rodziny Szydełków z Bieriozowej na Kargałyk zaprzyjaźniłam się z Danką Kuzdębówną oraz bardzo blisko z Irką i Gieną Mikołajczak. Mama dziewcząt miała odmrożone nogi, na których otwierały się rany. Z powodu bolących nóg i innych dolegliwości bardzo cierpiała – podobnie

jak moja mama. Pochodziła ona z zamożnej rodziny, nie była przyzwyczajana do pracy fizycznej, nie radziła sobie w okrutnej syberyjskiej rzeczywistości.

Jesienią 1945 r. perspektywa powrotu do Ojczyzny stawała się coraz bardziej realna. Polacy rozpoczęli starania o odpowiednie dokumenty. Suszono chleb na czas podróży i łatano postrzępione ubrania. Nasza Miłka poszła na ubój, a Kicię podarowałam dieciu Wasi – przyjacielowi naszego dziadzia. Jednak kotek wracał do nas, a ja nabierałam coraz większego przekonania, że powinnam go zabrać do Polski. W końcu mama wytłumaczyła mi, że kicia tak dalekiej podróży nie zniosłaby. Dieć Wasia często odwiedzał dziadzia Antoniego. Obaj lubili dyskutować i politykować pomimo różnicy poglądów. Często kłócili się i dziadzio nieraz wykrzykiwał „ten bolszewik nic nie rozumie” a babcia truchlała z obawy, że przez nieostrożność dziadzia zamiast do Polski mogą nas zawieźć „na białe niedźwiedzie”.

Zima 45/46 r. była bardzo mroźna, napadało dużo śniegu, który trzeba było często odgarniać od okien i drzwi wejściowych. Zdarzało się, że ludzie mający odwagę wędrować w czasie tej srogiej zimy po stepowych bezdrożach zamierzali w czasie chwilowego odpoczynku. Wreszcie nadszedł dzień naszego powrotu do Polski. Wyjeżdżaliśmy saniami podczepionymi do traktorów. Wszystko wskazuje, że to było wczesne przedwiośnie 1946 r. Na saniach umieszczono dzieci, osoby chore, osoby w podeszłym wieku i nędzne tłumoki z pościelą i zapasami żywności, a ludzie zdrowi szli pieszo. Daleko za wioskę odprowadziła nas duża grupa rodowitych Sybiraków. Widać było smutek na ich twarzach, widocznie polubili nas „polaczków”. Niektórzy z nich śpiewali pożegnalne piosenki i mieli w oczach łzy. Nie pamiętam, jak długa była nasza podróż do miasta o nazwie Użur, ale zapamiętałam, że była trudna zwłaszcza dla mamy. Jako osoba chora jechała na saniach, ale przez cały czas upierała się, że pójdzie pieszo, nie chciała żadnych szczególnych względów. W końcu postawiła na swoim, zesza z sań i powędrowała obok nich początkowo dzielnie, choć mocno kulejąc. Potem przyszedł moment osłabienia i upadła, ale podniosła się i próbowała iść dalej i znów upadła. Patrzyłam na ten wysiłek z bólem i przerażeniem. Osoby, które szły obok mamy podniosły ją i nie pozwoliły w dalszej drodze schodzić z sań.

Po upływie 65 lat od tamtych wydarzeń widzę kochaną twarz mojej mamy, wielkie cierpienie i łzy, a potem nocleg w Białym Jarze, w mieszkaniu starej samotnej Rosjanki o wspałym sercu. Odstąpiła nam swoje łóżko, na którym leżała mama, nieprzytomna, rozpalona wysoką gorączką i wydająca jęki trapiącego ją bólu. Jeszcze dzisiaj czuję tę rozpacz i wielki niepokój i jak groźny złodziej zakradającą się myśl, że możemy mamę stracić. Widzę płaczącego i tulącego się do niej, chudego jak trzcinka mojego brata i krzątającą się przy mamie dobrą, czułą rosyjską kobietę, która starała się uśmierzyć jej ból. Przebiegu dalszej podróży do miasta Użur nie pamiętam. Pozostali podróżni nocowali z Białym Jarze w budynku cerkwi zamienionej przez bolszewików w magazyn. W Użurze skończyła się nasza, podróż saniami. W Użurze na czas oczekiwania na sformowanie transportu kolejowego, zakwaterowano nas w prywatnych mieszkaniach. Przypominam sobie, że nasza rodzina stacjonowała w ciepłym i jasnym mieszkaniu jakiejś polskiej rodziny, której losy związane były z Syberią. Użur, który poznawałam w czasie krótkiego pobytu, był zabudowany drewnianymi domami i otoczony lasem. Wzdłuż budynków biegły ułożone

z grubych desek chodniki, po których biegaliśmy z bratem z wielką przyjemnością. Mama poczuła się trochę lepiej – myślę, że dzięki różnym uzdrowicielskim zabiegom kobiet, u których mieszkaliśmy przez te parę dni.

Jak przez mgłę widzę we wspomnieniach długi wąż towarowych wagonów stojących na boczniczy jakiegoś dworca ukrytego w leśnej gęstwinie. Dalsza podróż do Polski odbywała się w podobnych warunkach, a może nawet gorszych od tych, w jakich wieziono nas na zesłanie. Jechaliśmy bardzo długo, czasami były dłuższe postoje na stacjach większych miast. Ludzie wówczas wyskakiwali z wagonów, biegli po wodę do pomp i załatwiali swoje ludzkie potrzeby, a potem szybko wracali do wagonów w obawie, że pociąg może niespodziewanie ruszyć. Taka sytuacja dla spóźnionych osób mogła by okazać się tragiczna. W czasie jazdy ludzie wspólnie odmawiali modlitwy, najczęściej litanię do Matki Bożej Loretańskiej, śpiewali pieśni religijne prosząc Pana Boga o szczęśliwy powrót do Ojczyzny. Nie znam trasy naszej podróży do Polski, ale bardzo dobrze pamiętam dość długi postój pociągu na stacji w jakiejś miejscowości i transport jeńców niemieckich jadący w przeciwnym kierunku do naszego. W wagonach bez dachu tak zwanych „lorkach” widziałam gęsto upchanych wynędzniałych mężczyzn. Pociąg na chwilę zatrzymał się, a ci niemieccy żołnierze, wzięci przez Rosjan do niewoli wyciągali do nas ręce i wołali: chleba! Byłam świadoma, że Niemcy wywołali wojnę w przymierzu z Rosją, ale zrobiło mi się żal tych ludzi i poprosiłam mamę, żeby dała im choć trochę naszych sucharów, których zapas mieliśmy już na wyczerpaniu. Mama powiedziała: „dziecko, a jak my im podamy te suchary? – popatrz ilu ich znajduje się na tej platformie”.

Następny dłuższy postój naszego pociągu mieliśmy już za dawną granicą, czyli w przedwojennej Polsce. Mama czuła się trochę lepiej, była radosna, żywiona nadzieją, że w Ojczyźnie odzyska zdrowie. Gdy przejechaliśmy dawny pas graniczny mama chwyciła swoje połatane z wszytymi od wewnątrz kieszeniami na butelki z mlekiem spodnie „waciaki” i wyrzuciła przez okno pędzącego wagonu wołając: „Niech żyje wolna i niepodległa Polska”! „Waciaki” pofrunęły z wiatrem – a szkoda, bo dzisiaj byłyby wspaniałym muzealnym rekwizytem. W czasie wspomnianego już dłuższego postoju na stacji dawnego kresowego miasta ludzie powychodzili z wagonów udając się w stronę miasta. Panowała piękna, ciepła słoneczna pogoda. Usłyszałam przypadkiem rozmowę kobiet, że blisko stacji kolejowej znajduje się kościół. Jak mglisty sen przypominam sobie, że kiedyś byłam w kościele w Denysowie z mamą i ciociami ubrana w krakowski strój. Kościół i niedziela kojarzyły mi się zawsze ze wspomnieniem, że w sobotę było czyszczenie obuwia „na glanc” całej rodziny, a wykonawcą tej powinności był tato. Na wiadomość o kościele pobiegliśmy z bratem za ludźmi zmierzającymi w kierunku kościoła. Jeszcze dzisiaj czuję moc tych wspomnianych wrażeń doznanych po przekroczeniu progu świątyni. Zachwytiło mnie jej wnętrze, ale najbardziej muzyka organowa i kobiecy śpiew „Ave Maryja”

Pamiętam, że przyjazd przez obszar naszych dawnych ziem polskich przypadł na czas przedświąteczny i poświąteczny Świąt Wielkanocnych. Na postojach w różnych stacjach kolejowych witali nas Polacy – Kresowiacy. Przynosili jedzenie, ubrania i byli bardzo serdeczni. Zachwycał mnie wygląd i sposób bycia tych ludzi. Byli elegancko ubrani, bardzo kulturalni i sympatycz-

ni. Po stronie polskiej nie odczuwaliśmy już głodu, ponieważ oprócz pomocy żywnościowej ze strony rodaków otrzymywaliśmy żywność z PUR- u (Państwowy Urząd Repatriacyjny) w postaci konserw rybnych, żółtych serów, puszek z fasolą i innych produktów. Niestety dopadły nas inne dolegliwości. Stan zdrowia mamy pogarszał się z dnia na dzień, Babcię nękała malaria, a ja miałam początki tyfusu plamistego i brzuszego jednocześnie, o czym nikt nawet by nie pomyślał. Bez skargi znosiłam takie dolegliwości, jak nieustający ból głowy, uczucie chaosu i wielkiego osłabienia.

Ludzie mówili, że nas wiozą na zachód na Ziemię Odzyskane aż do Szczecina. Tak się stało. Do Szczecina z całej naszej rodziny dojechali tylko babcia, dziadzio i ciocia Jańcia. Natomiast my – mama, Zbysio i ja odłączyliśmy się od transportu w Poznaniu i udaliśmy się w dalszą podróż do Bochni, w rodzinne strony naszej matuli. Nie pamiętam kiedy i gdzie odłączyła się od nas ciocia Hela i pojechała do Przeworska, do rodziny wujka Władka. Po naszą trójkę przyjechał do Poznania krewny mamy – wujek Władek.

Tuż przed wyjazdem do Bochni zapamiętałam bardzo smutną sytuację, której byłam świadkiem, gdy stałam na peronie poznańskiego dworca. Z wagonu, w którym ulokowana była rodzina Mikołajczaków, wyniesiono na noszach ciało przykryte białym prześcieradłem. Mówiono, że zmarła pani Mikołajczakowa na skutek gangreny, która wywiązała się na odmrożonych nogach. Nie dojechała do rodzinnego miasta Gniezna, a była już tak blisko. Nigdy nie dowiedziałam się, jakie były dalsze losy jej dzieci, a moich przyjaciół z wygnańczego dzieciństwa.

KRONIKA

- **„SYBERIA – W POSZUKIWANIU PRZESZŁOŚCI I PRZYSZŁOŚCI”**

Naród, który nie szanuje swej przeszłości
nie zasługuje na szacunek terażniejszości
i nie ma prawa do przyszłości
Józef Piłsudski

Kim jesteśmy ?

Wrocławska Fundacja FREYA to grupa młodych ludzi, identyfikujących się z ideą wolontariatu, która działa od 2007 roku. Trzon naszej organizacji stanowią osoby, które swoje doświadczenie zdobywały w Związku Harcerstwa Polskiego w Hufcu Wrocław. Kreatywność, ciekawość świata i pasja do realizowania nietuzinkowych projektów to nasze wyznaczniki.

Co robimy?

Działania Fundacji skupione są wokół przedsięwzięć międzynarodowych, których uczestnikami są młodzi ludzie: dzieci, młodzież oraz liderzy organizacji młodzieżowych. Całoroczna praca naszej Fundacji znajduje każdorazowo finał w akcji letniej, podczas której organizujemy kolonie, obozy w Polsce oraz wyjazdy za granicę. Do tej pory udało nam się zaprosić do współpracy organizacje m.in. z Argentyny, Francji, Białorusi, Francji, Kazachstanu, Litwy, Łotwy, Niemiec, Rosji, Ukrainy, Włoch. Na przestrzeni czterech lat – od kiedy działa Fundacja – zrealizowaliśmy liczne projekty na terenie Polski, m.in.: obozy edukacyjno-rekreacyjne, obozy językowo-kulturalne, kolonie językowe. Co roku, podczas Zlotu Młodzieży Polonijnej POLONICUS, gościmy młodzież z wielu krajów. Nasi wolontariusze wyjeżdżają także za granicę, aby przeprowadzać warsztaty, zajęcia, wizyty studyjne oraz brać udział w międzynarodowych szkoleniach.

Od trzech lat ważnym projektem Fundacji jest przedsięwzięcie patriotyczno-historyczne **„Syberia – w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości”**, które realizujemy w Kraju Ałtajskim na terenie Rosji.

„Syberia – w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości”

Projekt „Syberia – w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości” rozpoczął się w 2009 roku i został zaplanowany do roku 2015. Jest to unikatowe przedsięwzięcie, skupione wokół zagadnień związanych z tragiczną kartą w historii polskiego narodu. Młodzi wolontariusze wyjeżdżają od trzech lat na Syberię, aby odnaleźć ślady rodaków zesłanych w latach II wojny światowej na „nie-ludzką ziemię”. Angażujemy młodych ludzi, by zaszczepić w nich dbałość o historię, aby pamięć o przodkach była wciąż żywa. „Syberia – w poszukiwa-

niu przeszłości i przyszłości” łączy w sobie teraźniejszość z czasem przeszłym. Jest mostem pomiędzy młodzieżą a starszymi ludźmi. Dzięki temu przedsięwzięciu umożliwiamy młodym ludziom aktywne włączenie się w budowanie tożsamości narodowej.

Główne cele naszego projektu to:

1. Poszukiwanie i porządkowanie miejsc spoczynku polskich zesłańców na terenie Kraju Ałtajskiego, które znajdują się głęboko w tajdze. Miejsca te nie są cmentarzami w polskim znaczeniu tego słowa. To miejsca ukryte w lesie, gdzie pojedynczy kamień przypomina o tym, że pochowani są tutaj ludzie.

2. Rozmowy z mieszkańcami wiosek, miast w Kraju Ałtajskim, podczas których staramy się dotrzeć do ich wspomnień o polskich zesłańcach.

3. Praca w Archiwum Miejskim w mieście Barnaul – stolicy Kraju Ałtajskiego. Syberia jest ogromną krainą i nie sposób zbadać ją w całości, dlatego też konkretnym obszarem naszych poszukiwań jest Kraj Ałtajski, gdzie w latach 40. XX wieku w wyniku deportacji trafiło ok. 17. tys. polskich obywateli. W Archiwum Miejskim w Barnaulu znajdują się m.in. spisy polskich obywateli uwolnionych po amnestii ze zsyłki, więzień, obozów pracy; listy osób wywożonych wraz ze spisem bagażu; listy matek proszących o pomoc. Dokumenty te do tej pory nie były znane po stronie polskiej. Naszej Fundacji udało się wydobyć ponad setkę kopii kart dokumentujących pobyt Polaków na Altaju w drugiej połowie XX w. Docelowo opracowujemy spis kilkunastu tysięcy nazwisk i listę miejscowości, w których pracowali nasi rodacy. W najbliższej przyszłości udostępnimy te materiały szerokiemu gronu. Być może umożliwimy komuś odnalezienie informacji o zaginionym członku rodziny. Dokumenty te są kolejnym ważnym zapisem losów osób deportowanych do Związku Radzieckiego.

4. Propagowanie idei wolontariatu wśród młodzieży, która dzięki udziałowi w naszym projekcie może uczyć się historii Polski nie z podręczników szkolnych, lecz pracując w miejscach, gdzie historia ta jest nadal żywa.

Co udało nam się osiągnąć do tej pory?

Trzy lata projektu to kilkadziesiąt tysięcy przejechanych kilometrów, to setki spotkań i rozmów z mieszkańcami Ałtajskiego Kraju, to kilkadziesiąt godzin spędzonych nad dokumentami w archiwach. Od 2009 r. odwiedziliśmy kilkanaście wiosek poszukując śladów rodaków. Najistotniejszymi miejscowościami, w których udało nam się choć usłyszeć o Polakach są: Aja, Barnaul, Belmiesiewa, Bełoje, Bijsk, Bułanicha, Buranowo, Gordziejewo, Górnoałtajsk, Kalistraticha, Kałmanka, Kontoszino, Kosicha, Kutasz, Listwianka, Mnogooziernoje, Pietrowska, Pleszkowo, Troickoje, Zagajnowo, Zawadskoje.

W trakcie projektu odnaleźliśmy stare, katolickie krzyże na kilku cmentarzach, m.in. w: Pietrowce, Listwiance. Ważnym znaleziskiem jest dotarcie do kamienia symbolicznego grobu Polaków w miejscowości Kutasz, gdzie leżą m.in. Maria i Kleofas Mackiewicz, Anna Kamińska – zmarli w 1942 r. na Syberii.

Od dwóch lat pracujemy w Archiwum Miejskim Kraju Ałtajskiego w Barnaulu. Nasze działania zaowocowały przywiezieniem do Polski 5. z 28. tomów „Spisu polskich obywateli oswobodzonych po amnestii z więzień, ła-

grów, specposiołków” oraz kilkuset kopii kart kolejnych dokumentów. To niezwykle ważna część projektu, ponieważ już teraz potwierdzić możemy, że oficjalne dane o Polakach deportowanych do Kraju Altajskiego podawane przez Rosjan, zaniżają liczbę przesiedlonych.

Przez trzy lata dokładaliśmy też swoją „cegiełkę” do budowy kościoła w Bijsku. Kościół ten, prowadzony przez ks. Andrzeja Obuchowskiego kapelana Archidiecezji Wrocławskiej, jest jednym z centrów zarówno katolicyzmu jak i polskości na Syberii.

Nasze plany

W roku 2012 organizujemy kolejną edycję projektu „Syberia – w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości”. Czwarty wyjazd Fundacji do Kraju Altajskiego ma na celu uzupełnienie, w jak największej skali, posiadanego przez nas „Spisu polskich obywateli oswobodzonych po amnestii”. Podejmiemy też działania, które umożliwią nam wgląd w teczki osobowe osób z listy. Wolontariusze będą również jeździć do miejscowości umieszczonych w „Spisie ...”. Nasze poszukiwania skupią się na odnalezieniu świadectw obecności Polaków w Kraju Altajskim oraz uporządkowaniu kolejnych miejsc spoczynku polskich zesłańców.

Znaczenie historyczne oraz sukces trzech dotychczasowych edycji pozwalają określić przedsięwzięcie „**Syberia – w poszukiwaniu przeszłości i przyszłości**” jako niezwykle istotny wkład w badanie historii losów Polaków deportowanych do Związku Radzieckiego w latach 40. Nie można jednak nie docenić również jego wartości w propagowaniu idei wolontariatu oraz szerzenia wartości patriotycznych wśród młodych ludzi.*

Agnieszka Kaniewska

• **PROMOCJA KSIĄŻEK NA TEMAT DUCHOWNYCH ZESŁAŃCÓW SYBERYJSKICH W 1863 ROKU W MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE**

Polskie Towarzystwo Ludoznawcze w drugiej połowie 2011 r. wydało dwie cenne pozycje książkowe z serii „Biblioteka Zesłańca” poświęcone księżom zesłańcom 1863 roku. Są to: S. Teresa Antonietta Frącek RM, *Zestaniec nad brzegami Wołgi. Miniatury z życia abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego 1822-1895* oraz Eugeniusz Niebelski: *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku*. Obie prace są efektem długoletnich badań prowadzonych przez autorów, które wydano w formie książkowej dzięki inicjatywie prof. Antoniego Kuczyńskiego.

Muzeum Niepodległości w Warszawie, które od początku swojej działalności zajmuje się tematyką syberyjską, z radością przyjęło propozycję promowania obydwu książek. Spotkanie promocyjne odbyło się dokładnie w 149

* **Kontakt:** Wrocławska Fundacja Edukacji Europejskiej i Współpracy Międzynarodowej „FREYA”; prezes Małgorzata Czaicka-Moryń – tel: +48 602 177 158; www.freya.org.pl; e-mail: fundacja@freya.org.pl; KRS: 0000281065; REGON: 020549897; NIP: 899-260-94-86; nr rachunku bankowego: DnB NORD 14 1370 1301 0000 1701 4972 2600.

rocznicę napisania przez arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego listu do cara Aleksandra II w obronie represjonowanych Polaków – powstańców, czyli 15 marca 2012 r. Poprowadził go prof. Zbigniew Wójcik – badacz historii i geologii Syberii, autor wielu prac z tych dziedzin, przewodniczący Komisji Badań nad Historią Syberii Komitetu Historii Nauki i Techniki PAN w Warszawie. Głównymi bohaterami spotkania byli oczywiście autorzy: S. Teresa Antonietta Frącek z Domu Generalnego w Warszawie założonego przez abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi, autorka wielu prac na temat życia i działalności Arcybiskupa oraz prof. Eugeniusz Niebelski – historyk i podróżnik po Syberii, kierownik I Katedry Historii Nowożytnej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II oraz zastępca sekretarza Komisji Historycznej PAN w Lublinie. Wśród gości znaleźli się badacze dziejów Syberii i zesłań, m.in. dr Jan Trynkowski, dr Zofia Strzyżewska, pracownicy innych muzeów (Elżbieta Kamińska z MHW), przedstawiciele organizacji pozarządowych (Aneta Hoffman z Fundacji Kresy-Syberia), członkowie Związku Sybiraków, a nawet przedstawicielka ludów syberyjskich Jakutka Paulina Kopestyńska – malarka, autorka prezentowanego na spotkaniu portretu Ewy Felińskiej (matki Zygmunta Szczęsnego), która za prace patriotyczne przebywała w latach 1838-1844 na zesłaniu w Berezowie nad rzeką Ob. Zabrakło niestety przedstawicieli prasy i innych środków masowego przekazu, którzy nie skorzystali z zaproszeń. Być może dziennikarze uznali tematy poruszane w promowanych książkach za mało bulwersujące, przebrzmiałe i niewpływające na kształt aktualnej rzeczywistości. Szkoda, bo postawy ludzkie przedstawione w obydwu książkach są nie tylko godne pamięci i szacunku, ale przede wszystkim mają szansę zainspirować współczesną młodzież pozbawioną wzorców moralnych i zdezorientowaną w ocenach wydarzeń historycznych do wyboru własnych postaw życiowych.

Siostra Teresa Antonietta Frącek wielokrotnie pisała na temat życia i działalności arcybiskupa Zygmunta Szczęsnego Felińskiego wykorzystując dokumenty i zdjęcia znajdujące się w Archiwum Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w Warszawie. Zachęcona przez prof. Antoniego Kuczyńskiego zdecydowała o wydaniu wyników prowadzonych dotychczas badań i poszukiwań w książce *Zesłaniec nad brzegami Wołgi. Miniatury z życia Abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego 1822-1895*. Przedstawiła w niej dziedzictwo duchowe i instytucjonalne pierwszego świętego arcybiskupa warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, któremu przyszło kierować Kościołem Warszawskim w trudnym okresie zaborów. Warszawa nowego arcybiskupa warszawskiego mianowanego przez Piusa IX 6 stycznia 1862 r. przyjęła chłodno, a nawet wrogo. Jego dewiza, aby „stać jak najdalej od polityki, z nikim się nie wiązać, zachować postawę niezależną, postępować wyłącznie zgodnie z sumieniem” nie jednała mu zwolenników. Nie zniechęciło go to jednak do pracy, której poświęcał się tym gorliwiej, im głośniej go krytykowano. Troszczył się o religijne wychowanie dzieci i młodzieży, założył sierociniec i szkołę, które prowadziły siostry Rodziny Maryi. Kierując się doświadczeniem i realną oceną sytuacji starał się wpływać na uspokojenie umysłów, wzywał do rozwagi i pracy dla dobra kraju. Po wybuchu powstania w styczniu 1863 r. stanął jednak w obronie jego inicjatorów. We wspomnianym już liście do cara Aleksandra II, który był bezpośrednią przyczyną jego wywiezienia do Rosji pisał: „Polska nie zadowolili się autonomią administracyjną, ona potrzebuje bytu niepodległego”.

Widać doskonale rozumiał wrodzoną dążność Polaków do życia w Niepodległej Ojczyźnie. Zesłany na czas nieokreślony spędził w Jarosławiu nad Wołgą 20 lat. Tam otaczał opieką duchową i materialną zesłańców syberyjskich, stworzył wspólnotę religijną i zajął się fundacją materialnego kościoła. Po uwolnieniu w 1883 r. został osiedlony we wsi Dźwiniaczka na Podolu w diecezji lwowskiej. Wśród żyjącej w wiosce ludności polsko-ukraińskiej prowadził prace oświatowe, wskrzeszał ducha odrodzenia religijnego, zachęcał do zgodnego współżycia bez podziałów narodowościowych. Zmarł w Krakowie, ale przez 25 lat aż do odzyskania niepodległości przez Polskę, jego doczesne szczątki spoczywały na cmentarzu w Dźwiniaczce, gdzie otaczali je czcياً zarówno Polacy jak też Ukraińcy. W 1920 r. prochy Arcybiskupa sprowadzono do Warszawy i złożono w Katedrze św. Jana Chrzciciela. Beatyfikowany przez Jana Pawła II 18 stycznia 2002 r. w Krakowie i kanonizowany przez Benedykta XVI 11 października 2009 r. w Watykanie stał się trzecim (obok bł. Władysława z Gielniowa i MB Łaskawej) patronem Warszawy. Książka S. Teresy Antonietty Frącek jest bogato ilustrowana głównie dokumentami i fotografiami z Archiwum Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi. Większość z fotografii była prezentowana przez autorkę podczas jej wartkiej i niezwykle ciekawej opowieści na spotkaniu w Muzeum Niepodległości. Postać Arcybiskupa Felińskiego przybliżyła zorganizowana przez Siostry Rodziny Maryi mała wystawa publikacji jego autorstwa oraz wydawnictw biograficznych na jego temat innych autorów. W miejscu spotkania zaprezentowano też portret Św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego namalowany przez Jan Chrzyszczca na uroczystość kanonizacji (własność Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi).

W drugiej z prezentowanych książek: *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku* prof. Eugeniusz Niebelski przedstawił wyniki swoich penetracji rosyjskich archiwów, gdzie znalazł materiały dokumentujące losy księży zesłanych do Tunki na Syberii. Po upadku powstania styczniowego na ziemiach polskich znane były ogólnie losy świeckich zesłańców, niewiele jednak wiadano o księżach wywiezionych na Syberię. Dopiero wydane w 1875 r. w Poznaniu wspomnienia kapucyna Wacława Nowakowskiego *Wspomnienia o duchowieństwie polskim znajdującym się na wygnaniu w Syberii w Tunce* rozpozyszechniły wiedzę na ten temat nie tylko w kraju, ale także wśród emigrantów. Jeszcze tego samego roku hr Władysław Plater założył w Szwajcarii „Międzynarodowe Towarzystwo”, którego celem było zbieranie środków pieniężnych na pomoc dla zesłanych księży. Publikowano imienne spisy zesłanych oraz ich wzruszającą, budzącą współczucie korespondencję do osób bliskich. Działania te były zainspirowane dopiero co odkrytymi wiadomościami na temat Tunki, jako miejsca zesłań osób duchownych. Tunka to wieś buriacka położona na dawnym trakcie handlowym między jeziorami Bajkał a Kosogół (Mongolia). W latach 1866-1875 przewieziono tutaj duchownych skazanych po 1963 r. na zesłanie do różnych miejscowości syberyjskich, głównie na terenie guberni irkuckiej i jenisejskiej. Prof. Niebelski barwnie opowiedział o życiu księży zesłańców skupionych w jednej wiosce, gdzie prowadzili życie religijne, kulturalne, oświatowe i towarzyskie. Zgodnie ze swym powołaniem sprawowali mimo zakazu msze święte i nabożeństwa, hodowali kwiaty i warzywa, uprawiali pole, a nawet zajmowali się jubilerstwem. W wiosce działał sklep „Artel” założony przez spółkę ze składowego kapitału, apteka, dwóch księży zajmowało się praktyką lekarską. Prowadzono szeroko zakrojoną działalność naukowo-

oświatową, studiowali teologię, filozofię i języki obce, powstało wiele prac naukowych z różnych dziedzin. Oczywiście, jak w każdym skupisku ludzkim nie obywało się bez swarów i waśni, ale generalnie księża skutecznie współpracowali ze sobą. Ogółem przebywało w Tunce ok. 160 księży, z tego ponad 30-tu zmarło (pochowano ich w wiosce), do Królestwa Polskiego powróciło ok. 20, do Galicji 24, inni wyjechali z Tunki osiedlając się w różnych rejonach Rosji, kilku pozostało z przymusu lub z wyboru w Tunce. Ostatni z tunkijskiej wspólnoty ks. Stanisław Pomirski opuścił wioskę w 1920 r., nie cieszył się jednak długo wolnością, gdyż w drodze został schwytyany przez bolszewickich żołnierzy i osadzony w kijowskim więzieniu. Tam wykonał z metalu krzyż, z którym powrócił do Polski, zmarł w diecezji płockiej w Kowalewku 1929 r. W muzealnym spotkaniu uczestniczył potomek rodziny ks. Pomirskiego p. Marek Kacprzak, który przywiózł przechowywany w rodzinnych zbiorach krzyż wykonany w kijowskim więzieniu. Możliwość obejrzenia, dotknięcia, a nawet ucałowania go podniosła muzealny charakter spotkania. Goście mieli też okazję obejrzeć prezentację archiwalnych oraz współczesnych fotografii wykonanych w Tunce przez autora książki, który wyruszył w podróż po Syberii, aby z autopsji poznać opisywany region. Fotografie te wzbogacają książkę poświęconą Tunce, która dzięki nim jest nie tylko opracowaniem historycznym, ale także posiada walor podróżniczy.

Późna pora nie pozwoliła na rozwinięcie dyskusji na tematy poruszane w prezentowanych książkach. Autorom zadawano przede wszystkim pytania dotyczące miejsca przechowywania dokumentacji na temat konkretnych osób, sposobu poszukiwania informacji na ich temat oraz innych miejsc zesłań księży.

Biblioteka Naukowa Muzeum Niepodległości została wzbogacona o kilkanaście pozycji ofiarowanych przez Siostry Franciszkańki Rodziny Maryi (książki autorstwa abp Zygmunta Szczęsnego Felńskiego oraz jego biografie innych autorów prezentowane na wystawie towarzyszącej prezentacji) oraz Polskie Towarzystwo Ludoznawcze (książki prezentowane na spotkaniu), za co składamy darczyńcom serdeczne podziękowania.

Regina Madej-Janiszek

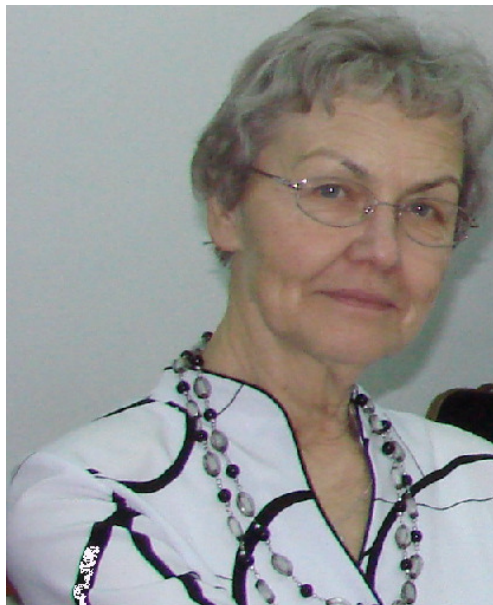
• POŻEGNANIE SYBIRACZKI

9 marca 2012 roku pożegnaliśmy nieodżałowanej pamięci Panią Krystynę Weber z domu Plucińską. Krystyna urodziła się w Wilnie 19 stycznia 1937 roku. Jako trzyletnie dziecko, 13 kwietnia 1940 roku wraz z rodziną została wywieziona do Kazachstanu. Ojciec Krystyny służył w Korpusie Ochrony Pogranicza – co było główną przyczyną skazania małej Krysi i sześciolatniej siostry oraz kilkudniowego braciszka na ponad 6-letnią poniewierkę.

Przez sześć lat żyła w tragicznych warunkach w Dymitrowce, powiat łazowski, województwo Pawłodar gdzie pozostał grób siostry. Ciężka praca, głód, mrozy i insekty spowodowały, że po powrocie do Polski z Mamą i braciszkiem, ciężko chorowała.

Działalność w Związku Sybiraków rozpoczęła w 1992 roku, początkowo jako członek zarządu Oddziału, później jako skarbnik koła w Toruniu. Funkcje te pełniła do ostatnich chwil swego życia.

Wszystko, czego się podejmowała wykonywała z wielkim zaangażowaniem i odpowiedzialnością. Była Człowiekiem prawym, uczciwym i bardzo wrażliwym na krzywdę ludzką. Często zdarzało się, że chora i słaba przychodziła na dyżury do Związku ze świadomością, że jest Sybirakom niezbędna. Rzadko spotyka się Człowieka tak lubianego i szanowanego. Krystyna dla każdego miała czas, dobre słowo i miły uśmiech. Zawsze skromna, cicha i bardzo pracowita. Najtrudniejsze zdrowotnie były dla Niej ostatnie lata i tygodnie.



Krystyna Weber (1937-2012)

W Jej powojennym życiu najważniejsze były: brat z rodziną, synowie i wnuki. Zawsze mówiła o tym z dumą. I druga rodzina, równie bliska, to Sybiracy. Zawsze mówiła o nich, że w czasach sowieckiej niewoli przeszli przez „białe piekło”.

Toruńscy Sybiracy żegnają Krysie jako Siostrę i Przyjaciółkę. Z wielkim żalem i bólem żegna Cię, Kochana Krysio, nasz Sztandar i Hymn Sybiraków.

Cześć Jej pamięci!

*Zarząd Oddziału i Koła
Związku Sybiraków w Toruniu*

• **Śp. URSZULA PASZKOWSKA (Trella) 20.X.1926 – 2. VI. 2011**

Lila, bo tak ją nazywałyśmy, urodziła się na Kresach, w Drohobyczu, córka Stefanii i Ludwika. Ojciec – urzędnik państwowy, matka – nauczycielka. Dwa tygodnie przed wybuchem wojny ojciec umiera.

13 kwietnia 1940 r. Lila z matką, bratem, babcią i dziadkiem zostaje deportowana na Sybir. W 1942 r. wraz z armią Andersa opuszcza „niehumanitarną ziemię” przez Morze Kaspijskie do Pahlewi i do przejściowego obozu w Teheranie, gdzie właśnie w 1943 r. ją poznaje. Uczęszczałyśmy go gimnazjum i należałyśmy do jednej harcerskiej drużyny w pierwszym obozie.

Następnie po likwidacji obozu przemieszczają nas do Indii, do przejściowego obozu w Karachi, a potem do Valivade. Mieszkałyśmy w tym samym bloku. Tu Lila uzupełnia przerwana naukę i uzyskuje Dyploma in Basic Nursing. Pracuje w szpitalu i na placówkach Czerwonego Krzyża

Gdy obóz jest likwidowany (1947) Lila z mamą i bratem Bogusiem wyjeżdża do Afryki do obozu w Koja (Uganda). Pracuje w szpitalu w Kampala przez następne dwa lata. Następuje znów likwidacja obozu o Lila wraz z rodziną przybywa do Australii. W Perth, po odpracowaniu w szpitalu jednego roku z dwuletniego kontraktu, zostaje w 1951 r. przyjęta na trzyletnie studia pielęgniarskie. Po ich ukończeniu przyjeżdża do Melbourne, gdzie pracuje w swoim zawodzie. Tu poznaje Lecha Paszkowskiego i wychodzi za mąż. Ma dwoje dzieci: córkę Jolantę i syna Romualda.



Urszula Paszkowska (1926-2011)

Lila miała wiele różnych zainteresowań. Lubiła podróżowanie, operę i teatr. Była prezeską Stowarzyszenia Sybiraków przez dziesięć lat. I tu właśnie, w Australii, we wczesnych latach 50-tych spotkałyśmy się ponownie. Tu ześmy się zaprzyjaźniły i bardzo miłe wspominam nasze spotkania, wspólne wyjazdy na wycieczki.

Lilia była bardzo dobrą żoną, matką i babcią. Pozostawiła urocze wnuki, którymi opiekowała się troskliwie.

Żegnaj Lilu – część Twojej pamięci!

Lala Rosenthal (Szczanowska)

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Wacław Sieroszewski. Zesłaniec – etnograf – literat – polityk, pod red. nauk. Antoniego Kuczyńskiego i Mirosława Marczyka, Katedra Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2011, ss. 432.**

Problematyka syberyjska jest obecna w polskiej nauce, literaturze i kulturze już od początków XIX w. Wtedy to zaczęły się ukazywać wspomnienia, prace naukowe i literackie poświęcone syberyjskim losom Polaków. Tak było również w okresie międzywojennym. Sytuacja ta uległa zmianie po 1945 r. Realia polityczne i wszechobecna cenzura powodowały, że w kraju ukazywały się nieliczne publikacje poświęcone tej tematyce. Inna sytuacja panowała na zachodzie Europy, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, gdzie po zakończeniu wojny ukazało się wiele wspomnień i publikacji poświęconych obecności polskiej na Syberii, przede wszystkim podczas II wojny światowej.

Po zmianach w 1989 roku, wzmożło się zainteresowanie dziejami Polaków na Syberii. Dużą rolę odegrało tutaj Polskie Towarzystwo Ludoznawcze we Wrocławiu, które zainicjowało serię wydawniczą „Biblioteka Zesłańca”. W jej składzie opublikowano wspomnienia i monografie naukowe dotyczące polskich losów na Syberii w XX wieku, jak i w okresie wcześniejszym.

Obok Towarzystwa Ludoznawczego szczególną rolę w propagowaniu tej tematyki odgrywa Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego, kierowany przez profesora Antoniego Kuczyńskiego. Od lat organizuje on międzynarodowe konferencje naukowe poświęcone związkom polsko-syberyjskim. W 2011 r. ukazała się książka będąca pokłosiem międzynarodowej konferencji poświęconej życiu i różnym aspektom działalności Wacława Sieroszewskiego. Praca ta ma charakter pionierski. Wypowiedzieli się w niej wybitni znawcy tematu: historycy, etnolodzy, religioznawcy i literaturoznawcy, wśród nich potomek bohatera niniejszej publikacji profesor Andrzej Sieroszewski. Tekst zatytułowany „Wacław Sieroszewski w kręgu rodziny i przyjaciół” jest w istocie bardzo interesującą, krótką biografią Sieroszewskiego, opisującą jego życie i działalność publiczną widzianą z perspektywy rodzinnej. Autor wspomina także o jakuckiej córce pisarza, owocu romansu z miejscową kobietą. Potomek pisarza pisze, że pozostała ona po 1921 roku na terenie ZSRR. Jak stwierdza na zakończenie kontakt między nią a resztą rodziny został całkowicie zerwany po objęciu władzy przez Stalina. Dalsze teksty opisują już bardziej dokładnie różnorodne aspekty życia i działalności bohatera niniejszego tomu. Mamy więc teksty obrazujące twórc-

czość pisarską Sieroszewskiego. Z pośród nich szczególną uwagę zwracają, ze względu na poruszaną w nich problematykę, teksty Jadwigi Zacharskiej „Egzotyka i miłość w powieściach Wacława Sieroszewskiego” oraz Mariusza Kulika „Obraz powstania bokserów w twórczości Wacława Sieroszewskiego”. O różnych aspektach twórczości literackiej bohatera niniejszych studiów piszą również Andrzej Makowiecki, Lidia Kuchtówna, Grażyna Legutko i Maria Olszewska. Wiele miejsca w niniejszej pracy poświęcono też fascynacji Sieroszewskiego Jakucją. Mówią o tym artykuły księdza Franciszka Rosińskiego (OFM) „Wacław Sieroszewski – badacz szamanizmu jakuckiego”, Katarzyny Lesicz-Stanisławskiej „Co widzę, jak patrzę, w jaki sposób opisuję. Sieroszewskiego wzorzec plemienności jako wynik podróży przez Jakucję”, czy też Zbigniewa Wójcika „Problematyka przyrodnicza w książkach Wacława Sieroszewskiego o Jakutach”. Równie interesujące są teksty dr Tomasza Skrzyńskiego oraz Wiesława Śladkowskiego. Obaj autorzy opisują w nich publiczną działalność Sieroszewskiego podczas pobytu we Francji przed I wojną światową. Wtedy to bowiem bohater prezentowanej tu książki zaangażował się szeroko w działalność niepodległościową, pełniąc między innymi funkcję nieoficjalnego przedstawiciela Tymczasowej Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych oraz przedstawiciela Polskiego Skarbu Wojskowego. Obaj autorzy zwracają również uwagę, że Sieroszewski obok działalności stricte politycznej był głęboko zaangażowany w działalność w Towarzystwie Artystów Polskich we Francji, którego zresztą był przez pewien czas przewodniczącym. Jak czytamy dalej to właśnie podczas pobytu na emigracji powstało wiele utworów literackich takich jak powieść „Beniowski i Ocean” (efekt fascynacji twórczością Juliusza Słowackiego), czy chyba jedna z bardziej znanych i fascynujących bajek jego autorstwa zatytułowana „Dary Wiatru Północnego”.

Spośród wielu artykułów opublikowanych w niniejszym zbiorze, warto również zwrócić szczególną uwagę na tekst Mahmuda Taha Żuka „Udział Wacława Sieroszewskiego (1858-1945) w Ruchu Prometejskim II RP”. Ten krótki tekst dotyczy udziału pisarza w jednym chyba z najważniejszych przedsięwzięć politycznych II RP, którego celem było wspieranie niepodległościowych aspiracji narodów ujarzmionych przez ZSRR, zwłaszcza na Kaukazie.

W tym wielotematycznym studium została wyraźnie zarysowana działalność W. Sieroszewskiego na polu etnografii, literatury i polityki. Oczywiście kwestie te omówione zostały częstokroć skrótowo. Trzeba wyrazić głęboką wdzięczność organizatorom konferencji jak i wydawcy niniejszej publikacji. Dzięki niej przypominano bowiem szerszej opinii, zapomnianą nieco postać pisarza, etnografa i polityka. Wydaje się, że choć niektóre z poruszanych problemów (np. kwestia udziału Sieroszewskiego w Ruchu Prometejskim) wymagają dalszych badań, to warto sięgnąć po tę publikację. Szczególnie godna polecenia jest ta praca dla tych, którzy interesują się losami Polaków na bezkresnych terenach imperium rosyjskiego. Na pewno znajdą w niej wiele ciekawych i mało znanych informacji dotyczących tej ze wszech miar interesującej problematyki. Na podkreślenie zasługuje staranność edytorska omawianego dzieła.

Tomasz Dudek

- **Krystyna Orzechowska-Juzwenko, *Dlaczego? – Wspomnienia syberyjskie i inne*, Wydawca: Oddział Instytutu Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu we Wrocławiu, Wrocław 2011, ss. 132.**

Książka wspomnieniowa wybitnej uczonej Krystyny Orzechowskiej-Juzwenko, choć dobrze wpisuje się w literaturę dotyczącą przeżyć z okresu drugiej wojny światowej, zsyłek, tragedii rodzinnych i represji, to jednak ma charakter specyficzny: autorka bowiem przeżywała te najstraszniejsze zdarzenia swego życia jako dziecko, które jest szczególnie bezbronne wobec krzywdy i podatne na zranienie. Jeszcze po dziesięcioleciach po tych koszmarach wojennych wciąż nasuwa się jej uporczywe pytanie, na które trudno o dobrą odpowiedź: „dlaczego”. Ciosy życiowe były tym dotkliwsze, że pierwsze lata jej dzieciństwa były bardzo radosne; przyszła na świat w dobrze sytuowanej rodzinie mieszczańskiej o tradycjach patriotycznych i społecznikowskich. Pierwsze lata były przepełnione „szczęściem, poczuciem bezpieczeństwa wśród bliskich mi osób” (s. 19). A jednak złowieszczo utknęły w jej pamięci na całe życie słowa staruszki, która stojąc w 1939 r. przed zgłiszczami swego domostwa rzekła do dziecka: „Widzisz, jak się może nagle skończyć piękne życie stworzeń bezsilnych wobec żywiołu. Takim żywiołem będzie niedługo pożoga, obejmie ona cały nasz świat, a my będziemy podobnie wobec niej bezsilni” (s.19).

Wybuch II wojny światowej wdarł się jak niszczycielski orkan w jej życie. Wraz z rodziną uciekając z Łodzi, wśród ciągłych bombardowań w drodze, spoglądając na rannych i poszarpane trupy, ruiny, niekiedy ledwie uszedłszy śmierci, nareszcie dotarli do Pińska, znajdującego się już pod władzą sowiecką, gdzie zakwalifikowano ich jako spiecpieriesieleńców-bieżenników. Tam przez funkcjonariuszy NKWD zostali załadowani do wagonów towarowych i wywiezieni na zsyłkę do tajgi nad Dźwiną północną w obwodzie archangielskim (s. 29). Panowały tam warunki niezmiernie trudne, wymagano pracy ponad siły, jedzenie było marne, warunki sanitarne straszne, a śmiertelność wysoka.

Pewną ulgę zesłańcom przyniosło podpisanie porozumienia Sikorski-Majski w 1941 r. Na mocy amnestii dla polskich obywateli mogli się przenieść w inny rejon, dzięki czemu udało się im wyjechać, a właściwie zbiec z tajgi i pojechać do miasta Kungur na Ural, gdzie przyszło im żyć przez 5 lat do marca 1946 r. I tu życie wygnańców było trudne, szczególnie po zerwaniu stosunków polsko-radzieckich po odkryciu grobów katyńskich w 1943 r. Niejednokrotnie spotykali się z wrogością, szykanami. Przerażający był widok wygłodniałych dzieci, które przywieziono z oblężonego Leningradu. Uporczywa była walka o biologiczne przetrwanie. Najcięższy jednak cios spadł na rodzinę, gdy NKGB aresztowało ojca, który przez rząd Władysława Sikorskiego został mianowany mężem zaufania Ambasady RP na rejon kungurskiego obwodu. Poddał go nieludzkim torturom i osadzono w łagrze, gdzie został zamordowany przez zbira 14 XII 1947 r.

Wczesną wiosną 1946 r. nastolatka w nędznym ubiorze wraz z pozostałą rodziną w wagonie towarowym mogła wrócić do wytęsknionej Polski, gdzie nie zastali już nikogo z bliskich, bo np., cała rodzina matki zginęła w łódzkim getcie (s.103). Nowe życie dla dziewczyny rozpoczęło się na Ziemiach Zachod-

nich: nauka szkolna, studia na Akademii Medycznej we Wrocławiu, praca naukowa i niełatwe życie codzienne w realiach okresu stalinowskiego i poststalinowskiego w PRL-u.

Niniejsza książka w naszych czasach, gdy coraz mniej jest świadków ówczesnych tragicznych dni i doświadczeń, jest szczególnie ważna dla nowego pokolenia Polaków, dla których ów okres staje się jakąś bledniejącą, odległą historią, a osoby, które wówczas decydowały o naszym profilu ideowym i naszej politycznej i ekonomicznej terażniejszości stopniowo nabierają cech pomnikowości, czasem monumentalności, martyrologii czy trochę już przebrzmiałego heroizmu lub patosu. A przecież był to groźny czas tyranii, donosicielstwa, pogardy dla cudzych poglądów, kiedy np. najgorszym epitetem w Kungurze było: „Ty krieszczonna poliaczka”, albo gdy w jednej z głównych cerkwi Kijowa zrobiono muzeum ateizmu (s. 44). Wolną Polskę nosiło się w pamięci, sercu, umyśle, była celem marzeń i dążeń, sensem niezliczonych ofiar i danin życia.

Choć los życiowy we wczesnych latach zaprowadził autorkę do „ziemi niehumanitarnej”, to jednak nie żywi urazu do tamtych ludzi, niejednokrotnie też ciężko doświadczonych życiowo, którzy czasem nawet wygnańcom okazywali pomoc i życzliwość, a zdarzało się, nawet przyjaźń. Podziwiała tamtejszą przyrodę, ogromną odporność psychiczną i cierpliwość ludzi, sama zresztą mimo traumatyzujących przeżyć nie załamała się życiowo, ale próbowała zawsze, podobnie jak jej rodzina, przetrwać nawałnice losowe, i wiele udało się jej w życiu osiągnąć, czy to w okresie deportacji, czy po powrocie do Ojczyzny.

Wspomnienia napisane są interesująco, językiem żywym, zrozumiałym, na dobrym poziomie publikacyjnym. Chociaż autorka pisze czasem o swych tragicznych przeżyciach, to jednak nie epatuje czytelnika szczegółowymi opisami okrucieństw, drastycznych sytuacji i swoimi cierpieniami. Opisy są rzeczowe, poruszają zagadnienia istotne, nie gubią się w szczegółach, czasem są wprost skrótowe. Cała książka jest bogato ilustrowana, dobrze udokumentowana, zaopatrzona w przypisy, nawet w indeks osób i skorowidz geograficzny, edycyjnie bardzo starannie opracowana. A zarazem ujmuje swoją bezpośredniością, humanistycznym podejściem i daleko posuniętą ludzką wyrozumiałością i refleksyjnością. Owszem, autorka stawia odwieczne pytanie – dlaczego? Na zaistniałe zło, cierpienia, niszczenie wartości, nie ma zadowalającej odpowiedzi, a nawet jeśli by była, to i tak cierpienia i rany nie przestałyby boleć.

Franciszek M. Rosiński

LISTY DO REDAKCJI

Szan. Pan
Prof. Antoni Kuczyński
Redaktor Naczelny kwartalnika „Zesłaniec”
Wrocław

W odpowiedzi na apel Redakcji kwartalnika „Zesłaniec”, Zarząd Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków podjął uchwałę o przekazaniu 250 zł (dwieście pięćdziesiąt) na rzecz tego czasopisma.

Doceniamy wielkie zasługi Wydawców „Zesłańca” dla propagowania pamięci i wiedzy o represjach sowieckich na obywatelach polskich w okresie drugiej wojny światowej, a także o zesłankach na Syberię polskich powstańców XIX wieku i ich dorobku naukowym w pracach badawczych na wschodnich obszarach imperium rosyjskiego.

Składamy Redakcji gratulacje i dużo dobrych życzeń z okazji 50. numeru „Zesłańca”. Mamy nadzieję na wiele następnych numerów.

Rozumiejąc trudności finansowe Wydawnictwa pragniemy naszą skromną darowizną przyczynić się do ich pomniejszenia.

Z wyrazami szacunku,
w imieniu Zarządu Krakowskiego Oddziału Związku Sybiraków

Prezes Związku Oddziału Kraków
Mgr inż. Aleksandra Szemioth

*

Szanowny Pan
Profesor Antoni Kuczyński

Zapoznałem się z treścią pisma Oddziału w Krakowie dotyczącego „Zesłańca” wraz z przekazem na 250 zł z dnia 7 marca. Podzielamy pozytywną opinię o pracy redakcyjnej Pana Profesora i wyrażamy dodatkowo pozytywną opinię o wkładzie pracy Pana Wiesława Krawczyńskiego. W związku z wydaniem nr 50 „Zesłańca” prosimy przyjąć gratulacje i najlepsze życzenia.

Z poważaniem
Stanisław Sikorski
Sekretarz Generalny
Zarządu Głównego Związku Sybiraków